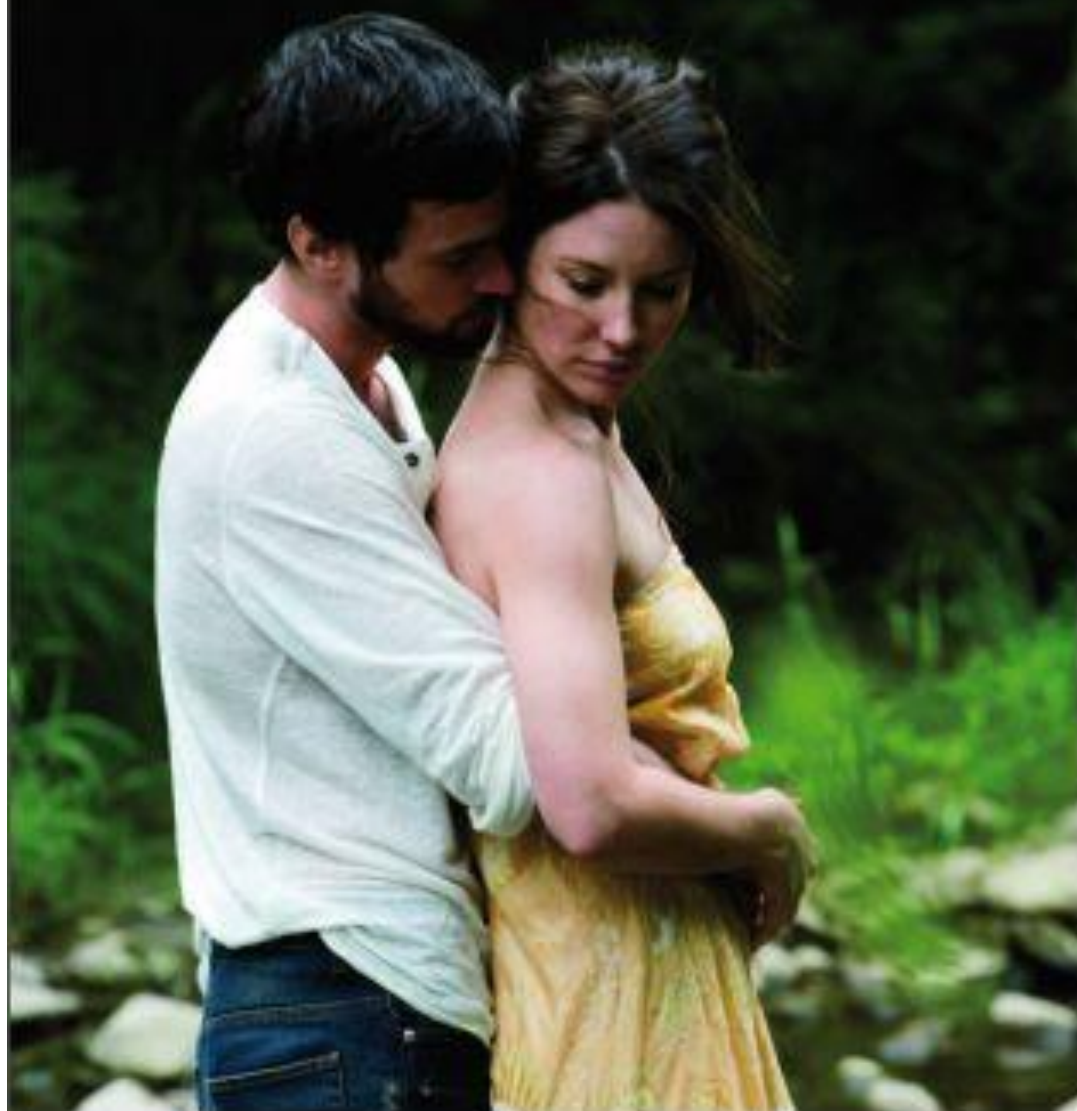


guillaume  
**musso**

POTEM...



# Musso Guillaume

## Potem...

Nowojorski adwokat Nathan Del Amico robi karierę kosztem zaniedbywanej córki i żony, która decyduje się odejść, choć nadal go kocha. Pewnego razu w kancelarii Nathana zjawia się Garrett, człowiek obdarzony szczególnym darem - dostrzega świetlistą aureolę nad osobami, które mają rychło zejść z tego świata. Rolą Posłańców, bo tak nazywani są ludzie obdarzeni podobną cechą, jest podtrzymywanie na duchu skazanych na śmierć. Garrett w sposób zawoalowany mówi Nathanowi, że i on wkrótce umrze. Od tej pory Del Amico inaczej patrzy na świat, próbuje naprawić swoje błędy. Ścigając się z czasem, nie od razu pojmuje, że jego przeznaczeniem jest zostać Posłańcem...

## Prolog

*Wyspa Nantucket, Massachusetts, jesień 1972*

Jezioro znajdowało się we wschodniej części wyspy, za bagnami, które otaczały pola żurawiny. Pogoda była piękna.

Po kilku dniach chłodu znowu zrobiło się ciepło, woda w jeziorze połyskiwała jaskrawymi barwami babiego lata

— Hej! Patrz!

Chłopiec stanął tuż przy brzegu i spojrzał w kierunku, który wskazywała jego towarzyszka. Między liśćmi płynął duży ptak. Nieskazitelna biel upierzenia, czarny jak węgiel dziób i długa szyja przydawały mu majestatycznego wdzięku.

Łabędź.

Kiedy ptak znalazł się kilka metrów od dzieci, zanurzył w wodzie głowę i szyję. Po chwili znów się ukazał i wydał długi, słodki, melodyjny krzyk, zupełnie inny niż syczenie łabędzi z żółtymi dziobami, które są ozdobą parków.

— Chcę go pogłaskać!

Dziewczynka podeszła do brzegu i wyciągnęła rękę. Przestraszony ptak tak gwałtownie nastroszył pióra, że dziewczynka straciła równowagę.

Wpadła do wody, a łabędź odleciał, bijąc mocno skrzydłami.

Natychmiast straciła oddech, zimna woda zaczęła ją dławić. Była dobrą pływaczką jak na swój wiek. W morzu często udawało jej się przepłynąć żabką kilkaset metrów. Jednak

woda w jeziorze była lodowata, a brzeg wysoki. Zaczęła płynąć z całych sił, lecz po chwili wpadła w popłoch, gdy zrozumiała, że nie da rady wspiąć się na brzeg. Poczula się małeńka i bezsilna, woda nieuchronnie wciągała ją w głębinę.

Kiedy chłopiec zobaczył, że jego przyjaciółka jest w niebezpieczeństwie, nie wahał się ani chwili: zrzucił buty i w ubraniu wskoczył do wody.

— Złap się mnie, nic się nie bój!

Dziewczynka uchwyciła się go i razem dotarli jakoś do brzegu. Chłopiec podtrzymał ją z całych sił i dzięki jego pomocy udało jej się wdrapać na brzeg.

Gdy jednak sam chciał wydostać się na powierzchnię, poczuł, że słabnie. Jakby jakieś silne ręce wciągały go na dno jeziora. Zaczął się dusić, serce waliło mu jak młotem, głowa pękała z bólu.

Walczył, dopóki nie poczuł, że woda zalewa mu płuca. Wtedy, nie mając sił, by się opierać, zrezygnował i zniknął pod wodą. Popękały mu bębunki w uszach, otoczyły go ciemności. Zrozumiał, że to już koniec.

Nic, tylko zimna, przerażająca ciemność.

Ciemność.

Ciemność.

A potem, niespodziewanie... Światło.

1

*Są tacy, którzy rodzą się wielcy...*

*i tacy, którzy wielkość zdobyli...*

**Szekspir**

*Manhattan, dni dzisiejsze, 9 grudnia*

Jak co rano Nathana Del Amico obudziły jednocześnie dwa dzwonki. Zawsze nastawiał dwa budziki: jeden włączony do sieci, drugi na baterie. Mallory uważała, że to śmieszne.

Zjadłszy połowę zawartości talerza z płatkami kukurydzianymi, włożył dres i znoszone reeboki, po czym wyszedł jak co dzień pobiegać.

W lustrze windy zobaczył młodego jeszcze mężczyznę o miłej powierzchowności, lecz ze zmęczoną twarzą.

Przydałyby ci się wakacje, Nathanie, pomyślał, przyglądając się z bliska niebieskawym cieniom pod oczami.

Zasunął zamek błyskawiczny bluzy pod samą szyję, włożył rękawice na futrze i wełnianą czapkę z emblematem drużyny Jankesów.

Nathan mieszkał na dwudziestym trzecim piętrze San Remo Building, jednego z luksusowych apartamentowców na Górnym Manhattanie, który stał po zachodniej stronie Central Parku. Był wczesny ranek, domy dopiero wyłaniały się z porannej

mgły. Poprzedniego wieczoru służby meteorologiczne zapowiadały śnieg, ale jeszcze nie padało. Pobiegnął truchtem w górę ulicy. Widoczne wszędzie bożonarodzeniowe dekoracje i zawieszane na wszystkich drzwiach wieńce z ostrokrzewu tworzyły świąteczny nastrój. Nathan minął Muzeum Historii Naturalnej i przebiegłszy ze sto metrów, znalazł się w Central Parku.

O tak wczesnej porze i ze względu na zimno nie było tu prawie nikogo. Od strony rzeki Hudson wiał lodowaty wiatr. Ścieżka do joggingu prowadziła wokół sztucznego jeziora, znajdującego się w środku parku. Mimo iż radzono Nathanowi, aby nie zapuszczał się tam, gdy jest ciemno, skręcił na tę ścieżkę bez obawy. Biegał nią od wielu lat i nigdy nie przydarzyło mu się nic przykrego. Narzucił sobie równe tempo. Powietrze było ostre, ale za nic w świecie nie zrezygnowałby z tej codziennej godziny treningu.

Po trzech kwadransach intensywnego biegu zatrzymał się na wysokości Traverse Road. Napił się wody i usiadł na moment na trawniku.

Pomyślał o łagodnych zimach w Kalifornii, o wybrzeżu w San Diego z dziesiątkami kilometrów plaż, idealnych do uprawiania biegów.

Przypomniał sobie głośne wybuchy śmiechu swojej córeczki Bonnie. Bardzo mu jej brakowało.

Wyobraźnia podsunęła mu także obraz twarzy żony, Mallory, i jej wielkich jak ocean oczu. Przemógł się jednak, by o niej nie myśleć.

Nie rozdrapuj tej rany.

Nadal siedział jednak na trawie, nie mogąc uwolnić się od uczucia ogromnej pustki po jej odejściu, które dręczyło go już od wielu miesięcy. Nigdy nie podejrzewał, że cierpienie może przybrać taką formę.

Był samotny i nieszczęśliwy. Oczy zaszły mu łzami, które natychmiast osuszył wiatr.

Znów napił się wody. Od momentu obudzenia się czuł w piersi dziwny ostry ból, utrudniający oddychanie.

Zaczęły padać pierwsze płatki śniegu. Podniósł się więc i truchtem wrócił do San Remo, by przed pójściem do pracy wziąć prysznic.

Nathan trzasnął drzwiczkami taksówki. W ciemnym garniturze, świeżo ogolony, wszedł do przeszklonego wieżowca, w którym znajdowały się biura Marble&March, na rogu Park

Avenue i 52. Ulicy.

Ze wszystkich kancelarii adwokackich Marble prosperowała najlepiej. W całych Stanach zatrudniała ponad dziewięciuset pracowników na etacie, z czego prawie połowę w Nowym Jorku.

Nathan zaczął karierę w filii w San Diego, gdzie bardzo szybko tak się wybił, że Ashley Jordan, partner firmy, zaproponował jego kandydaturę na członka rady zarządzającej. W tym czasie rozwijała działalność kancelaria w Nowym Jorku i Nathan, w wieku trzydziestu jeden lat, spakował walizki, by wrócić do miasta, w którym dorastał i gdzie czekało na niego odpowiedzialne stanowisko zastępcy dyrektora wydziału. Taki awans w jego wieku to rzecz wyjątkowa. Nathan zrealizował swoje ambicje: został jednym z najbardziej renomowanych adwokatów, a zarazem jednym z najmłodszych. Odniósł sukces. I to nie drogą pomnażania pieniędzy na giełdzie lub wykorzystania stosunków rodzinnych. Nie, on zdobył pieniądze własną pracą. Broniąc klientów indywidualnych i spółki, zmuszając wszystkich do respektowania prawa. Błyskotliwy, bogaty, dumny z siebie. Takim był Nathan Del Amico. Widziany przez innych.

Całe przedpołudnie spędził na spotkaniach z podległymi mu współpracownikami, by ustalić stanowiska w bieżących sprawach. Koło dwunastej Abby przyniosła mu kawę, precelki sezamowe i serek śmietankowy.

Abby była jego asystentką od wielu lat. Pochodziła z Kalifornii. Zgodziła się wyjechać do Nowego Jorku, bo dobrze im się razem pracowało. Niezameżna, w średnim wieku, oddana pracy, darzyła Nathana absolutnym zaufaniem, a on zawsze bez wahania powierzał jej ważne sprawy. Była wyjątkowo pracowita, dzięki czemu nadała za coraz szybszym tempem narzucanym przez szefa, choć musiała dodawać sobie sił, popijając po kryjomu soki owocowe z dodatkiem witamin i kofeiny. Ponieważ Nathan przez najbliższą godzinę nie miał żadnego spotkania, skorzystał z tego i rozluźnił krawat. Ból w piersi nie ustępował. Pomasażował sobie skronie i spryskał twarz zimną wodą. Przestań myśleć o Mallory.

— Nathanie?

Abby weszła bez pukania, jak robiła to zazwyczaj, gdy byli sami.

Przypomniała mu, jaki ma program na popołudnie, po czym dodała:

— Dziś rano dzwonił jakiś przyjaciel Ashleya Jordana. Chce jak najszybciej się z tobą spotkać. Nazywa się Garrett Goodrich...

— Goodrich? Nigdy o takim nie słyszałem.

— Zrozumiałam, że to jego kolega z dzieciństwa, znany lekarz.

— A do czego ja mogę być potrzebny temu panu? — zdziwił się Nathan.

— Nie mam pojęcia, nie powiedział niczego konkretnego. Zaznaczył tylko, że po Jordanie ty jesteś najlepszy.

To prawda. W całej mojej karierze nie przegrałem żadnego procesu. Ani jednego.

— Połącz mnie z Ashleyem.

— Godzinę temu wyjechał do Baltimore. A w sprawie Kyle'a...

— Ach tak! O której godzinie ma przyjść ten Goodrich?

— Zaproponowałam mu siedemnastą. Wychodząc z pokoju, dorzuciła:



— Pewnie chodzi o jakiś kruczek w sprawach medycznych.

— I ja tak sędę — zgodził się z nią Nathan i znów pogrążył w papierach.

— Trzeba go będzie wysłać do wydziału na czwartym piętrze.

Goodrich pojawił się parę minut przed siedemnastą. Abby od razu wprowadziła go do gabinetu Nathana.

Był to mężczyzna w sile wieku, wysoki, potężnie zbudowany. Długi elegancki płaszcz i ciemny garnitur podkreślały jeszcze jego wzrost.

Wszedł do gabinetu pewnym krokiem. Człowieka o tak władczej postawie trudno byłoby nie zauważyć.

Energicznym ruchem zdjął płaszcz i podał go Abby. Przygładził dłonią szpakowate, niesforne włosy — musiał mieć ze sześćdziesiąt lat, ale nie miał śladów łysiny — a potem krótką bródkę, patrząc na adwokata żywymi, przenikliwymi oczami.

Gdy Nathan napotkał jego wzrok, nagle poczuł się źle. Jego oddech dziwnie przyspieszył, a po sekundzie zakręciło mu się w głowie.

*I ujrzałem innego anioła, stojącego w słońcu\**.

Apokalipsa św. Jana, 19,17

— Czy pan się dobrze czuje, panie Del Amico? Boże, co się ze mną dzieje?

— To nic... to tylko zawrót głowy — odpowiedział Nathan, otrząsając się.

— To pewnie z przepracowania...

Goodrich nie wyglądał na przekonanego.

— Jestem lekarzem, chętnie pana zbadam — zaproponował donośnym głosem.

Nathan zmusił się do uśmiechu.

— Dziękuję, już wszystko w porządku.

— Naprawdę?

— Zapewniam pana.

Nie czekając na zaproszenie, Goodrich zasiadł w jednym ze skórzanych foteli i zaczął rozglądać się po gabinecie. Atmosferę dostatku tworzyły półki wypełnione starymi książkami, ogromne, stojące na środku biurko, dostawiony do niego stół konferencyjny z orzechowego drewna oraz elegancka mała kanapa.

— Czego pan ode mnie oczekuje, doktorze Goodrich? — zapytał Nathan po krótkiej chwili milczenia.

Lekarz, założywszy nogę na nogę, kiwał się lekko w fotelu.

**\* Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa, 1990.**

— Niczego od pana nie oczekuję, Nathanie... Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

Jego ton wskazywał na to, że nie ma co do tego żadnej wątpliwości.

Nathan nie dał się zbić z tropu.

— Przyszedł pan do mnie w sprawie zawodowej, prawda? Nasza kancelaria występuje w imieniu lekarzy, oskarżanych przez pacjentów...

— Mnie to na szczęście nie dotyczy — przerwał mu Goodrich. — Kiedy za dużo wypiję, nie operuję. Głupio byłoby uciąć pacjentowi prawą nogę zamiast lewej, prawda?

Nathan uśmiechnął się lekko.

— Jaki więc ma pan problem doktorze Goodrich?

— No cóż, mam kilka kilogramów nadwagi...

— To nie wymaga pomocy adwokata, chyba się pan ze mną zgodzi?

— Oczywiście.

Ten facet bierze mnie za idiotę.

W pokoju zapadła ciężka, pełna napięcia cisza. Nathan nie dawał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Doświadczenie zawodowe uczyniło go twardym i zawsze panującym nad sytuacją negocjatorem.

Spojrzał uważnie na swojego rozmówcę. Gdzie on już widział to szerokie i wysokie czoło, tę silną szczękę, te gęste, zrosnięte brwi? W oczach Goodricha nie było śladu wrogości, a mimo to adwokat poczuł się zagrożony.

— Napije się pan czegoś? — zapytał, siląc się na spokojny ton.

— Chętnie, szklanekę wody mineralnej, jeśli można.

— Myślę, że się znajdzie — zapewnił gościa Nathan, podnosząc słuchawkę, by połączyć się z Abby.

W oczekiwaniu na wodę Goodrich podniósł się z fotela i z zainteresowaniem oglądał książki na półkach.

No tak, czuje się jak u siebie w domu. Nathana zaczęło ogarniać rozdrażnienie.

Wróciwszy na fotel, lekarz spojrział na srebrny przycisk do papieru w kształcie łabędzia, stojący na biurku.

— Można by tym zabić człowieka — mruknął, ważąc go w rękę.

— Rzeczywiście — przyznał Nathan, nie kryjąc zniecierpliwienia.

— Dużo się mówi o łabędziach w starych tekstach celtyckich — rzekł Goodrich jakby sam do siebie.

— Interesuje się pan kulturą celtycką?

— Rodzina mojej matki pochodzi z Irlandii.

— Podobnie jak rodzina mojej żony.

— Chciał pan powiedzieć byłej żony. Nathan zmierzył go ostrym spojrzeniem.

— Ashley mówił mi, że jest pan rozwiedziony — wyjaśnił spokojnie Goodrich, cały czas kręcąc się w obitym skórą fotelu.

Masz nauczkę, żeby nie opowiadać o swoich problemach temu draniowi.

— W księgach celtyckich — podjął Goodrich — istoty z tamtego świata, które schodzą na ziemię, często przybierają postać łabędzia.

— Bardzo to poetyckie, ale czy może mi pan wyjaśnić, co... W tym momencie weszła Abby, przynosząc na tacy butelkę z gazowaną wodą i dwie duże szklanki.

Lekarz odstawił łabędzia. Pił powoli wodę, jakby delektował się każdym bąbelkiem.

— Zranił się pan? — zapytał, pokazując na zadrapanie widoczne na lewej ręce adwokata.

Nathan wzruszył ramionami.

— To głupstwo, zadrapałem się o kratę podczas porannego biegu.

Goodrich odstawił szklankę i powiedział takim tonem, jakby wygłaszał wykład:

— Dokładnie w tym momencie, kiedy pan o tym mówi, setki komórek pańskiej skóry są w trakcie regeneracji. Gdy

umiera jedna komórka, druga dzieli się, by ją zastąpić — to zjawisko homeostazy tkankowej.

— Jestem zachwycony tą informacją.

— Jednocześnie neurony w pańskim mózgu są nieustannie niszczone, od dnia, w którym skończył pan dwadzieścia lat...

— Dotyczy to, jak sądzę, wszystkich istot ludzkich.

— Oczywiście, w ten sposób utrzymywana jest stała równowaga między powstawaniem i obumieraniem.

To jakiś wariat.

— Dlaczego pan mi to mówi?

— Bo śmierć jest wszędzie. W każdym człowieku. We wszystkich stadiach jego życia istnieje napięcie między tymi dwoma przeciwstawnymi siłami: siłą życia i siłą śmierci.

Nathan wstał.

— Pan pozwoli? — pokazał ręką drzwi.

— Proszę się nie krepować.

Nathan wyszedł z gabinetu i skierował się do jednego z wolnych stanowisk komputerowych w sekretariacie. Szybko połączył się z Internetem i znalazł strony dotyczące szpitali w Nowym Jorku.

Mężczyzna, który siedział przy jego biurku, nie był oszustem. Nie był także kaznodzieją ani umyślowo chorym, który uciekł z zakładu psychiatrycznego. Rzeczywiście nazywał się Garrett Goodrich, był chirurgiem specjalizującym się w onkologii, przedtem pracował na oddziale wewnętrznym w szpitalu Medical General w Bostonie, obecnie w szpitalu Staten Island, jest ordynatorem oddziału opieki paliatywnej.

Ten człowiek to gruba ryba, prawdziwa znakomitość w świecie medycznym. To nie ulegało żadnej wątpliwości — zamieszczone w Internecie zdjęcie pasowało do wypielegnowanej twarzy sześćdziesięciolatka, który czekał na niego w sąsiednim pokoju.

Nathan przeczytał uważnie CV swojego gościa. Sam nigdy nie był w żadnym ze szpitali, w których pracował doktor

Garrett Goodrich. Dlaczego więc jego twarz wydała mu się znajoma? Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, wrócił do gabinetu.

— Tak więc, Garrett, mówił pan o śmierci? Mogę zwracać się do pana po imieniu?

— Mówiłem o życiu, Del Amico, o życiu i o przemijaniu. Nathan skorzystał z tej ostatniej uwagi i ostentacyjnie spojrzął na zegarek, dając gościowi do zrozumienia, że jego czas rzeczywiście już minął, a jego własny jest bardzo cenny.

— Za dużo pan pracuje — zauważył niezmiśnany tym Goodrich.

— Jestem naprawdę bardzo wzruszony, że ktoś troszczy się o moje zdrowie.

Znowu zapadła cisza, ciężąca im coraz bardziej.

— Ostatni raz pytam, w czym mogę być pomocny, panie Goodrich?

— Sądzę, że to ja mogę być potrzebny panu, Nathanie.

— Jak na razie, nie widzę w czym.

— Przyjdzie na to czas. Sam się pan przekona, że pewne doświadczenia mogą być bolesne.

— Do czego robi pan aluzję?

— Do tego, że trzeba być dobrze przygotowanym.

— Nie rozumiem.

— Kto wie, co wydarzy się jutro? Konieczne jest, abyśmy zrozumieli, że nie wolno nam się mylić w wyborze priorytetów w życiu.

— Bardzo głęboka myśl — zażartował Nathan. — Czy to groźba?

— Nie, nie groźba. To przesłanie. Przesłanie?

Choć w spojrzeniu Goodricha nadal nie było wrogości, Nathan nie czuł się z tego powodu spokojniejszy.

Wyrzucić go za drzwi, Nat. Ten facet bredzi. Nie daj się wciągnąć w jego grę.

— Może nie powinienem tego mówić, ale gdyby nie to, że został pan zarekomendowany przez Ashleya Jordana, wezwałbym strażników i kazał wyrzucić pana za drzwi.

— Nie sędzę, żeby zrobił pan coś takiego — uśmiechnął się Goodrich. — Muszę przy tym pana poinformować, że nie znam Ashleya Jordana.

— Zrozumiałem, że jest pan jego przyjacielem!

— Tylko w ten sposób mogłem się do pana dostać.

— Chwileczkę. Jeśli nie zna pan Jordana, to kto panu powiedział, że jestem rozwiedziony?

— Ma pan to wypisane na twarzy.

Tym razem miarka się przebrała... Nathan wstał gwałtownie i otworzył drzwi, nie ukrywając gniewu.

— Pan wybaczy, jestem zajęty!

Goodrich podniósł się z fotela. Gdy patrzyło się na jego masywną sylwetkę pod światło, sprawiał wrażenie olbrzyma nie do pokonania.

Ruszył do drzwi i przekroczył próg gabinetu, nie oglądając się za siebie.

— Ale czego pan właściwie ode mnie chce?! — zawołał Nathan, zupełnie zbity z tropu.

— Myślę, że pan to wie, Nathanie — odrzekł Goodrich, będąc już na korytarzu.

— Ale ja nic nie wiem! — odkrzyknął adwokat. Trzasnął drzwiami, po czym szybko je otworzył i zawołał:

— Nawet nie wiem, kim pan jest! Ale Garrett Goodrich był już daleko.

3

*Udana kariera to coś cudownego,  
ale nie można się do niej przytulić w nocy,  
gdy jest ci zimno.*

### **Marilyn Monroe**

Gdy Nathan został sam w gabinecie, przymknął oczy i przycisnął do czoła szklankę z zimną wodą. Przeczuiwał, że ten incydent będzie miał następstwa i że jeszcze usłyszy o Garreecie Goodrichu.

Nie był w stanie zabrać się do pracy. Zalewająca go fala gorąca i coraz silniejszy ból w piersi uniemożliwiały mu skoncentrowanie się na czymkolwiek.

Ze szklanką w ręku wstał z krzesła, podszedł do okna i spojrzał na oświetlony niebieskawymi refleksami Helmsey Building. Ta niewysoka budowla, stojąca w sąsiedztwie ogromnego, brzydkiego budynku Met Life, dzięki eleganckiej wieży z dachem w kształcie piramidy wyglądała jak prawdziwy klejnot.

Przez kilka minut obserwował samochody sunące na południe pod dwoma gigantycznymi portalami, spinającymi aleję.

Śnieg padał bez przerwy, otulając miasto białym całunem.

Stojąc przy tym oknie, zawsze czuł się źle. 11 września pracował przy komputerze, gdy usłyszał pierwszą eksplozję. Nigdy nie zapomni tego strasznego dnia grozy, słupów czarnego dymu, który przesłonił czyste niebo, a potem tej monstrialnej chmury pyłu unoszącej się z rozpadających się wież. Po raz



pierwszy Manhattan i jego wieżowce wydały mu się małe, słabe, efemeryczne.

Jak większość jego znajomych starał się nie rozpamiętywać przeżytego wówczas koszmaru. Życie wróciło do normy. *Business as usual*. A jednak Nowy Jork, jak twierdzili ludzie, nie był już tym samym miastem.

Raczej nic z tego nie będzie.

Mimo to wziął część dokumentów, włożył do teczki i ku wielkiemu zdziwieniu Abby oznajmił, że przejrzy je w domu.

Całe wieki nie wychodził z biura tak wcześnie. Zazwyczaj pracował czternaście godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu, a od czasu rozwodu często przychodził tu nawet w niedziele. Ze wszystkich prawników to on miał na koncie najwięcej przepracowanych godzin. Do tego trzeba dodać prestiż, jaki zyskał po swoim ostatnim błyskotliwym sukcesie. Kiedy wszyscy uznali, że sprawa jest nie do załatwienia, udało się mu po długich mediacjach doprowadzić do fuzji przedsiębiorstw Downey i NewWax, czym zasłużył sobie na pochwalny artykuł w „National Lawyer”, jednym z najbardziej renomowanych pism o tematyce prawniczej. Nathan irytował większość swoich kolegów. Był zbyt wzorcowy, zbyt doskonały. Nie wystarczało mu, że jest przystojny. Nigdy nie zapominał powiedzieć „dzień dobry” sekretarkom, podziękować portierowi, który sprowadzał mu samochód, a na dodatek poświęcał kilka godzin w miesiącu na udzielanie darmowych porad niezamożnym klientom.

Świeże powietrze dobrze mu zrobiło. Śnieg prawie przestał padać i ruch na ulicy nie był zbyt duży. Rozglądając się za taksówką, usłyszał chór dzieci, ubranych w białe stroje liturgiczne, które śpiewały *Ave verum corpus* przed kościołem Św. Bartłomieja. Melodia tej pieśni wydała mu się słodka i jednocześnie niepokojąca.

W domu znalazł się tuż po osiemnastej. Zrobił sobie gorącą herbatę i usiadł przy telefonie.

Choć w San Diego była teraz piętnasta, miał nadzieję, że zastanie w domu Bonnie i Mallory. Chciał omówić szczegóły przyjazdu córki na święta. Niepewnie wykręcił numer ich telefonu. Po trzech sygnałach usłyszał głos:

— Tu mieszkanie Mallory Wexler. Nie mogę teraz rozmawiać, ale... Jej głos sprawił mu przyjemność. Czuł się, jakby dostał porcję tlenu, którego od dawna był pozbawiony. Nagle nastąpiła przerwa w nagranej informacji.

— Halo?

Nathan nadludzkim wysiłkiem przybrał wesoły ton, wierny głupiej starej zasadzie, by nigdy nie okazywać słabości, nawet kobiecie, która zna go od dzieciństwa.

— Witaj, Mallory.

Od jak dawna nie mówił do niej „kochanie”?

— Dzień dobry — odpowiedziała chłodno.

— U was wszystko w porządku?

— Czego chcesz? — przerwała mu ostro.

No tak, jeszcze nie nadszedł ten dzień, kiedy zechcesz, porozmawiać ze mną normalnie.

— Dzwonię tylko po to, żeby ustalić szczegóły wyjazdu Bonnie. Czy jest w domu?

— Wyszła na lekcję gry na skrzypcach. Wróci za godzinę.

— Czy mogłabyś podać mi godzinę jej przylotu? Wydaje mi się, że samolot przylatuje wczesnym wieczorem...

— Bonnie wróci za godzinę — powtórzyła Mallory, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę.

— Doskonale, do usłyszenia... Ale ona już odłożyła słuchawkę.

Nigdy by nie przypuszczał, że ich stosunki mogą się do tego stopnia ochłodzić. Jak dwoje ludzi, którzy byli sobie tak bliscy, mogło stać się prawdziwymi wrogami? Jak to w ogóle moż-

liwe? Usiadł na kanapie w salonie, błędząc wzrokiem po suficie. Co za naiwność! Oczywiście, że to możliwe! Wystarczy się rozejrzeć: rozwody, kłamstwa, znużenie... W jego zawodzie konkurencja jest bezlitosna.

Tylko ci mogą mieć nadzieję na sukces, którzy robią to kosztem życia rodzinnego i własnych przyjemności. Każdy z klientów kancelarii wart jest kilkanaście milionów dolarów, a to wymaga absolutnej dyspozycyjności ze strony zatrudnionych w niej adwokatów. Takie są warunki tej gry, cena, którą płaci się, żeby znaleźć się w szeregach wielkich. I Nathan je zaakceptował. W zamian za to jego miesięczna pensja sięgała czterdziestu pięciu tysięcy dolarów, nie licząc innych korzyści. Oznaczało to także, że jako członek zarządu otrzymywał roczną premię w wysokości pół miliona dolarów. Jego konto w banku po raz pierwszy przekroczyło milion. A to dopiero początek.

Jednak jego życie prywatne potoczyło się całkiem inaczej niż pełne sukcesów życie zawodowe. Przez ostatnie lata ich małżeństwo stopniowo się rozpadało. Praca w kancelarii pochłaniała go coraz bardziej.

Dochodziło do tego, że nie miał czasu na zjedzenie śniadania z rodziną czy na sprawdzenie prac domowych córeczki. Kiedy zdał sobie sprawę z rozmiaru szkód, było już za późno, bo od rozwodu upłynęło kilka miesięcy. Z pewnością nie on jeden znalazł się w takiej sytuacji — w jego kancelarii ponad połowa kolegów była w separacji z żonami, nie stanowiło to jednak żadnego pocieszenia.

Nathan martwił się o Bonnie, która bardzo przeżyła rozwód rodziców. Choć miała już siedem lat, czasami moczyła się w nocy i miewała, jak mówiła matka, częste stany lękowe. Nathan dzwonił do niej co wieczór, ale wolałby być przy niej.

Nie, człowiek, który śpi sam, nie mając nikogo u swojego boku, który od trzech miesięcy nie widział córki, nie wygrał w życiu nic, choćby nawet był milionerem.

Zdjął z palca ślubną obrączkę, którą nadal nosił, i przeczytał fragment z *Pieśni nad pieśniami*, wygrawerowany przed ich ślubem na życzenie Mallory:

*Bo jak śmierć potężna jest miłość,*

*Znal na pamięć dalszy ciąg poematu:*

*Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki\*.*

Jakie to głupie i banalne, dobre dla zakochanych smarkaczy. Miłość nie jest czymś absolutnym, co oprze się upływowi czasu i wszelkim próbom. A przecież wierzył dość długo, że tworzą parę wyjątkową, że ich małżeństwo jest czymś magicznym, irracjonalnym, przypieczętowanym jeszcze w dzieciństwie. Poznali się z Mallory, gdy mieli po sześć lat. Od samego początku związała się między nimi niewidzialna nić, jakby przeznaczenie chciało uczynić ich naturalnymi sprzymierzeńcami w walce z trudami życia.

Spojrzał na stojące na komódce fotografie, przedstawiające byłą żonę. Przez chwilę przyglądał się najnowszej, którą zdobył dzięki Bonnie. Bez wątpienia bladość twarzy Mallory świadczyła o tym, iż separacja była dla niej trudnym okresem, ale pozostały te same długie rzęsy, śliczny nosek, białe zęby. W dniu, w którym zrobiono to zdjęcie podczas przechadzki plażą Silver Strand, ze srebrzystymi muszelkami, Mallory zaplotła włosy w warkocze, które upięła do góry szylkretową klamrą. Małe okulary w metalowych oprawkach upodobiały ją do Nicole Kidman w filmie *Oczy szeroko otwarte*, choć Mallory nie lubiła tego porównania. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdyż ubrana była w jeden ze swoich kolorowych pulowerów, które robiła sama i w których wyglądała szykownie i zarazem trochę niedbale.

\* Op. cit. 24

Uzyskawszy tytuł doktora ochrony środowiska, Mallory wykładała na uniwersytecie, ale kiedy przeprowadziła się do domu swojej babki w pobliżu San Diego, zrezygnowała z tej pracy i zaangażowała się bez reszty w działalność przeróżnych organizacji pomagających najbardziej potrzebującym. Z domu kierowała lokalną siecią jednej z organizacji pozarządowych, a poza tym malowała akwarele i robiła różne drobne przedmioty ozdabiane muszelkami, które sprzedawała turystom podczas wakacji w Nantucket. Mallory nigdy nie zależało ani na pieniądzach, ani na karierze. Lubiła powtarzać, że spacer po lesie lub plaży nie kosztuje ani dolara, ale Nathan nie przywiązywał wagi do tych banalnych stwierdzeń.

Łatwo tak mówić, bo nigdy niczego jej nie brakowało.

Mallory pochodziła z zamożnej i szanowanej rodziny. Jej ojciec był partnerem zarządzającym w jednej z najlepiej prosperujących kancelarii prawniczych w Bostonie. Nie musiała się wysilać, żeby osiągnąć wysoki status społeczny. Miała go od urodzenia.

Nathan przez chwilę odtwarzał w pamięci położenie wszystkich pieprzyków na jej ciele. Po czym, zmusiwszy się, by o tym nie myśleć, otworzył jedną z teczek z dokumentami. Włączył laptopa, napisał swoje uwagi i zredagował kilka listów, które miała wysłać Abby.

Wreszcie o dziewiętnastej trzydzieści odezwał się tak niecierpliwie oczekiwany dzwonek telefonu.

— Cześć, tatusiu!

— Cześć, wiewióreczko!

Bonnie, jak zwykle podczas ich codziennych rozmów, zrelacjonowała mu ze szczegółami wszystkie wydarzenia minionego dnia. Opowiedziała o tygrysach i hipopotamach, które oglądała podczas szkolnej wycieczki do zoo w parku Balboa. Zapytał, jak jej poszło w szkole i o mecz piłki nożnej, w którym wzięła udział poprzedniego dnia. Paradoksalnie nigdy nie rozmawiał z córką tyle co teraz, gdy mieszkała trzy tysiące kilometrów od niego.

Nagle zmieniła temat:

— Mam prośbę, tatusiu.

— Zgadzą się na wszystko, kochanie.

— Boję się lecieć sama samolotem. Chciałabym, żebyś przyjechał po mnie w sobotę.

— Bonnie, przecież jesteś już dużą dziewczynką.

W tę sobotę miał bardzo ważne spotkanie, na którym należało przyjąć ostateczne ustalenia w sprawie porozumienia między dwiema firmami.

Pracował nad tym od wielu miesięcy. I to on nalegał, żeby odbyło się to w tym terminie.

— Proszę cię, tatusiu, przyjedź po mnie!

Nathan wyczuł, że dziewczynka jest bliska płaczu. Bonnie nie była kapryśna. Najwyraźniej naprawdę się bała. Nathan za nic w świecie nie chciał sprawiać jej przykrości, a tym bardziej w takim momencie.

— Zgoda, kochanie. Przyjadę. Obiecuję.

Bonnie uspokoiła się i porozmawiali jeszcze trochę. Żeby poprawić jej nastrój, opowiedział bajeczkę, doskonale naśladowując Kubusia Puchatka, zachwalającego miód.

Kocham cię, moja maleńka.

Po odłożeniu słuchawki zastanawiał się przez moment nad konsekwencjami przesunięcia sobotniego spotkania na inny dzień.

Oczywiście mógłby zlecić komuś, by pojechał po Bonnie do Kalifornii.

Szybko jednak zrezygnował z tego głupiego pomysłu. Czegoś takiego Mallory nigdy by mu nie wybaczyła. A poza tym obiecał córce, że to on po nią przyjedzie. Nie może sprawić jej zawodu. Trudno, znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji.

Nagrał jeszcze kilka uwag na dyktafon, a potem zasnął na kanapie, nie zdejmując butów ani nie gasząc światła.

Obudził się nagle na dźwięk telefonu. Był to Peter, strażnik, dzwonił z dyżurki.

— Ktoś do pana. Niejaki doktor Garrett Goodrich.

Nathan spojrział na zegarek. Psiakrew, już dwudziesta pierwsza! Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z tym typem.

— Proszę go nie wpuszczać, Peter, nie znam tego pana.

— Niech się pan nie wygłupia! — krzyknął Goodrich, który zapewne wyrwał strażnikowi słuchawkę z ręki. — To bardzo ważne!

Boże! Czym zgrzeszyłem, żeby zasłużyć na coś takiego?

Milczał przez chwilę, trąc powieki. W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że nie odzyska spokoju, dopóki nie skończy z Goodrichem. Przedtem jednak musi dowiedzieć się, czego naprawdę chce od niego ten człowiek.

— W porządku, Peter, wpuść go.

Zapiął koszulę, otworzył drzwi apartamentu i stanął na progu, by stawić czoło lekarzowi, któremu dotarcie na dwudzieste trzecie piętro zajęło niewiele czasu.

— Co pan tu robi, Garrett? Nie wie pan, która godzina?

— Piękny apartament — odrzekł lekarz, zerkając do środka.

— Pytałem, po co pan przyszedł.

— Uważam, że powinien pan ze mną wyjść, Del Amico.

— Niech się pan wynosi! Nie jestem na pańskie rozkazy!

— A może by mi pan zaufał? — próbował uspokoić go Garrett.

— A jaką mam pewność, że nie jest pan niebezpieczny?

— Absolutnie żadnej — przyznał Garrett, wzruszając ramionami. —

Zapewniam pana, że każdy człowiek jest potencjalnie niebezpieczny.

Goodrich szedł spokojnie ulicą, z rękami w kieszeniach, opatulony w długi płaszcz, a obok niego, niekryjący irytacji, Nathan, którego przewyższał o głowę.

— Ależ lodowaty chłód!

— Czy pan zawsze tak narzeka? — zapytał Garrett. — Latem w tym mieście jest straszliwie duszno. Dopiero zimą w Nowym Jorku daje się żyć.

— Idiotyzm!

— Poza tym zimno konserwuje, zabija mikroby i... Nathan nie dał mu czasu na rozwinięcie tej myśli.

— Weźmy przynajmniej taksówkę.

Podbiegł na skraj chodnika i zaczął machać ręką, by zatrzymać jakiś samochód.

— Stój! Stój!

— Niech pan przestanie wrzeszczeć, jest pan śmieszny.

— Jeśli panu się wydaje, że dla pańskiej przyjemności dam sobie odmrozić tyłek, to grubo się pan myli.

Obok nich przejechały dwie taksówki.

W końcu złapali żółtą taksówkę na wysokości Century Apartments.

Kiedy do niej wsiedli, Goodrich podał kierowcy adres: skrzyżowanie 5. Alei i 34. Ulicy.

Nathan zacierał dla rozgrzewki ręce. Radio nadawało starą piosenkę Sinatry.

Na Broadwayu roilo się od ludzi. Z powodu świąt wiele sklepów było otwartych przez całą noc.

— Doszlibyśmy szybciej na piechotę — zauważył Goodrich, nie kryjąc satysfakcji, gdy samochód utknął w korku.

Nathan odpowiedział mu niezbyt miłym spojrzeniem.

Po kilku minutach taksówka skręciła w 7. Aleję, gdzie ruch był trochę mniejszy. Dojechała do 34. Ulicy, skręciła w lewo i po stu metrach zatrzymała się.

Goodrich zapłacił za kurs i wysiedli z wozu.

Znajdowali się u stóp jednej z najsłynniejszych budowli Manhattanu — Empire State Building.



*Stoi za tobą anioł z ognistym mieczem,  
przykłada go do twoich pleców  
i spycha cię w przepaść!*

**Victor Hugo**

Nathan spojrział w górę. Po zburzeniu Twin Towers stary Empire State znowu stał się najwyższym drapaczem chmur na Manhattanie. Elegancki, a zarazem potężny budynek, stojący na solidnym fundamencie, dominował nad Środkowym Manhattanem. Jego ostatnie trzydzieści pięter tonęło w powodzi czerwonych i zielonych świateł, jak zawsze w czasie świąt.

— Chce pan tam wjechać? — zapytał Nathan, wskazując na oświetloną iglicę, przecinającą czerń nocy.

— Mam już nawet bilety — odrzekł Goodrich, wyciągając z kieszeni dwa niebieskie kartoniki. — Jest mi pan winien sześć dolarów...

Rozdrażniony Nathan pokiwał tylko głową i ruszył za lekarzem.

Weszli do głównego holu w stylu art déco. Zegar znajdujący się za recepcją wskazywał dwudziestą drugą trzydzieści, a tablica informacyjna przypominała gościom, że sprzedaż biletów będzie odbywać się jeszcze przez godzinę, ponieważ budynek można zwiedzać tylko do północy. Stojąca obok gigantyczna miedziana makieta wieżowca błyszczała niczym rozpalone słońce. Boże Narodzenie to okres nasilonego ruchu turystycznego w Nowym Jorku i dlatego, pomimo późnej godziny,

przed okienkami udekorowanymi zdjęciami sławnych osobistości, które w ciągu wielu lat odwiedziły ten wieżowiec, tłoczyło się mnóstwo ludzi. Bilety kupione przez Goodricha pozwoliły im uniknąć stania w długiej kolejce. Skierowano ich na drugie piętro, skąd odjeżdżały windy na platformę widokową. Wprawdzie śnieg już nie padał, ale napis na tablicy informacyjnej uprzedzał, że z powodu chmur przesłaniających niebo widoczność jest mocno ograniczona.

Ekspresowa winda zawiozła ich w ciągu minuty na osiemdziesiąte piętro. Przesiedli się do następnej windy, jadącej na osiemdziesiąte szóste piętro, na wysokość trzystu dwudziestu metrów. Znaleźli się w sali obserwacyjnej ze szklanymi ścianami.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zostać tutaj, w ogrzewanym pomieszczeniu — powiedział Nathan, rozpinając pasek płaszcza.

— Radzę panu iść za mną — odrzekł Goodrich tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wyszli na otwarty taras. Wiejący od strony East River lodowaty wiatr był tak przenikliwy, że Nathan żałował, iż nie włożył szalika ani czapki.

— Moja matka wciąż powtarzała: „Kto nie wszedł na szczyt Empire State Building, ten nie zna Nowego Jorku”! — Goodrich starał się przekrzyczeć huk wiatru.

To miejsce naprawdę było magiczne. Duch Cary Granta czekał nadaremnie przy windzie na Deborah Kerr. Trochę dalej para Japończyków oparta o balustradę udawała Toma Hanksa i Meg Ryan w ostatniej scenie z filmu *Bezszenność w Seattle*.

Nathan podszedł do balustrady i wychylił się. Noc, zimno i chmury nadawały miastu tajemniczy charakter. Szybko uległ urokowi panoramy, która się przed nim otwierała. Dzięki temu, że budynek stał w samym centrum miasta, z jego tarasu roztaczał się najpiękniejszy widok na Manhattan.

Można było dostrzec bardzo wyraźnie iglicę Chrysler Building oraz Times Square, gdzie zapewne panował ożywiony ruch.

— Nie byłem tu od czasów dzieciństwa — przyznał Nathan, wrzucając monetę do otworu w lunecie.

Jadące osiemdziesiąt sześć pięter poniżej samochody były tak maleńkie, a strumień pojazdów na jezdni wydawał się tak odległy, jakby działo się to na innej planecie. Natomiast most Brooklyński znajdował się nieprawdopodobnie blisko, a jego błyszcząca światłami konstrukcja odbijała się w czarnej powierzchni East River.

Nathan i Garrett milczeli dłuższą chwilę, podziwiając światła miasta. Twarze owiewał im lodowato zimny wiatr. Wśród ludzi, którzy tego wieczoru znaleźli się tu, ponad trzysta metrów nad ziemią, panowała miła atmosfera porozumienia. Para zakochanych całowała się namiętnie, zachwycona tym, że między ich wargami przeskakują iskry. Grupa francuskich turystów porównywała to miejsce do wieży Eiffla, podczas gdy para z Wyoming opowiadała każdemu, kto chciał ich słuchać, jak poznali się w tym właśnie miejscu dwadzieścia pięć lat temu. Dzieciaki, opatulone w ciepłe kurtki, bawiły się w chowanego w tłumie dorosłych. Ponad ich głowami wiatr przeganiał chmury z nieprawdopodobną szybkością, odsłaniając od czasu do czasu kawałek nieba, na którym pojawiała się połyskująca gwiazda. Była to naprawdę piękna noc. Pierwszy przerwał milczenie Garrett.

— Ten chłopak w pomarańczowej kurtce... — szepnął na ucho Nathanowi.

— Słucham?

— Niech pan spojrzy na tego chłopaka w pomarańczowej kurtce.

Nathan zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie chłopakowi, którego pokazał mu Goodrich. Miał około dwudziestu lat. Przed chwilą wszedł na platformę. Dół twarzy osłaniała mu

krótka blond bródka, a na ramiona opadały brudne, straszliwie splątane długie włosy. Dwa razy obszedł balustradę, przechodząc bardzo blisko Nathana, który dostrzegł jego rozgorączkowany, niespokojny wzrok. Najwyraźniej był czymś zdenerwowany, a jego twarz naznaczona cierpieniem, stanowiła duży kontrast ze śmiechem i dobrym humorem innych zwiedzających.

Nathan pomyślał, że może jest pod wpływem narkotyków.

— Nazywa się Kevin Williamson — poinformował Goodrich.

— Pan go zna?

— Nie osobiście, ale znam historię jego życia. Jego ojciec rzucił się stąd w epoce, kiedy nie było tu krat zapobiegających samobójstwom.

Przychodzi tu regularnie od tygodnia.

— Skąd pan wie?

— Powiedzmy, że przeprowadziłem małe dochodzenie. Nathan milczał przez chwilę, po czym zapytał:

— Ale co to ma wspólnego ze mną?

— Wszystko, co ma związek z egzystencją podobnych nam ludzi, dotyczy także i nas — odrzekł lekarz, jakby chodziło o rzecz najnormalniejszą w świecie.

Wiatr wiał teraz jeszcze mocniej. Nathan nachylił się do Goodricha.

— Na Boga, Garrett, dlaczego każe mi pan patrzeć na tego człowieka?

— Ponieważ on zaraz umrze — odpowiedział z powagą Goodrich.

— Pan... pan oszalał! — wykrzyknął Nathan. Jednak mówiąc te słowa, nie mógł oderwać wzroku od sylwetki Kevina. Czuł narastający niepokój.

Nic się nie stanie. Takie rzeczy się nie zdarzają...

Nie minęła jednak minuta od niesamowitej przepowiedni Goodricha, kiedy młodzieniec wyjął z kieszeni kurtki rewolwer. Przez kilka sekund patrzył z przerażeniem na broń, która drżała w jego ręku.

Początkowo nikt nie zauważał tego dziwnego zachowania, aż nagle jakaś kobieta krzyknęła:

— Ten człowiek ma broń!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na chłopaka.

Ogarnięty paniką Kevin wymierzył broń w swoją głowę. Jego wargi drżały. Z oczu płynęły łzy. Nagle wydał żałosny okrzyk, który zgubił się w ciemnościach nocy.

— Niech pan tego nie robi! — zawołał jakiś ojciec rodziny, podczas gdy pozostali rzucili się w popłochu do sali pod dachem.

Nathan stał jak wryty, wpatrzony w chłopaka. Zafascynowany i jednocześnie przerażony tym, co widzi, nie śmiał zrobić najmniejszego ruchu w obawie, by nie przyspieszyć tego, czego nie da się uniknąć. Nie czuł już zimna. Przeciwnie, przez jego ciało przeszła fala gorąca.

Żeby tylko nie strzelił...

Nie strzelaj. Nie strzelaj, chłopcze...

Ale Kevin podniósł oczy, spojrzał ostatni raz w niebo bez gwiazd i nacisnął spust.

W nowojorską noc wdarł się huk wystrzału. Chłopak runął na ziemię.

Wydawało się, że czas stanął na moment.

A potem rozległy się przerażone krzyki, zapanowało zamieszanie. Tłum rzucił się do wind. Przestraszeni ludzie popychali się nawzajem, biegnąc w różnych kierunkach. Niektórzy sięgnęli po telefony komórkowe... szybko... szybko... trzeba uprzedzić rodzinę... uprzedzić bliskich. Od tamtego wrześnieowego poranka większość nowojorczyków czuła się bez przerwy zagrożona. Przeżyli wówczas straszny szok, a i turyści mieli świadomość tego, że podczas zwiedzania Manhattanu może się zdarzyć wszystko.

Nathan i parę jeszcze innych osób pozostało na platformie. Wokół leżącego Kevina utworzył się krąg. Para zakochanych, opryskanych jego krwią, płakała w milczeniu.

— Proszę się odsunąć! — To wołał strażnik z ochrony, pochylając się nad leżącym.

Wyjął walkie-talkie i połączył się z recepcją:

— Wezwijcie straż pożarną i karetkę pogotowia! Na osiemdziesiątym szóstym piętrze mamy rannego od kuli.

Pochyliwszy się ponownie nad Kevinem, stwierdził, że niestety już żadna pomoc nie jest potrzebna. Chyba tylko by przewieźć ciało do kostnicy. Stojący kilka metrów dalej Nathan nie był w stanie oderwać wzroku od zwłok chłopaka. Twarz zmarłego zastygła na zawsze w wyrazie bólu i przerażenia. Z wytrzeszczonych szklistych oczu ziała pustka. Za uchem widoczny był osmalony, czerwony otwór rany postrzałowej. Czaszka pękła, wypływał z niej mózg zmieszany z krwią. Nathan wiedział, że nigdy już nie uda mu się pozbyć z pamięci tego obrazu, że będzie on wracał, by dręczyć go w nocnych koszmarach lub w chwilach samotności.

Powoli zaczęli wracać ciekawscy. Jakiś mały chłopiec zgubił rodziców i stał o trzy metry od ciała, wpatrując się jak zahipnotyzowany w kałużę krwi.

Nathan wziął chłopca na ręce, by odgrodzić go od tego ponurego widoku.  
— Chodź ze mną, mały. Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze, nie martw się.

Kiedy się podnosił, zobaczył, że Goodrich znika w tłumie. Pobiegnął w jego kierunku.

— Garrett! Na litość boską, niech pan poczeka!

Z dzieckiem uwieszonym u szyi, Nathan torował sobie drogę łokciami, bo dogonić lekarza.

— Skąd pan wiedział? — krzyknął, łapiąc go w końcu za ramię.

Goodrich zignorował jednak pytanie. Nathan próbował go zatrzymać, ale podeszli rodzice chłopca, szczęśliwi, że odnaleźli synka.

— Och, James, ale nas przestraszyłeś!

Nathan z trudem uniknął czulej sceny. Dogonił lekarza w momencie, gdy ten wsiadał do wolnej windy.

— Dlaczego pan nic nie zrobił, Garrett?

Na ułamek sekundy ich spojrzenia się skrzyżowały. Drzwi windy były już prawie zamknięte, gdy Nathan wykrzyczał ostatnie pytanie:

— Dlaczego pan nic nie zrobił, skoro pan wiedział, że on umrze?!

## 5

*Niechętnie wierzymy w to,  
co jest trudne do uwierzenia.*

**Owidiusz**

*10 grudnia*

Tej nocy Nathan niewiele spał. Następnego dnia obudził się późno, zlany zimnym potem, i pierwszą rzeczą, jaką poczuł, był ból w piersi, który wcale nie ustępował. Pomasował prawy bok, lecz ból stał się jeszcze ostrzejszy. Nie poprawił mu samopoczucia sen przypominający o tym, jak tonął, co najlepiej świadczyło o drażącym go niepokojem, spowodowanym z pewnością słowami Goodricha o łabędziu. Wstał z łóżka i poczuł, że się chwieje. Był przy tym tak rozgorączkowany, że wsunął pod pachę termometr. 37,8. Nic alarmującego. Mimo to, ponieważ nie był w formie, a ponadto zrobiło się późno, zrezygnował z biegania. Czekał go bardzo ciężki dzień. Z apteczki wyjął tabletki prozacu i połknął jedną, popijając wodą. Brał je regularnie, odkąd... utracił wewnętrzną harmonię. Zebrał dokumenty rozsypane na kanapie. Poprzedniego wieczoru niewiele pracował. Dziś zamierzał to nadrobić. Tym



bardziej że powinien doprowadzić do rozwiązania sprawy firmy Rightby's. Ten słynny dom aukcyjny, którego był rzecznikiem, został oskarżony o naruszenie prawa antymonopolowego przez dogadanie się ze swoim głównym konkurentem w sprawie jednakowych stawek prowizji od sprzedaży dzieł sztuki. Sprawa była bardzo skomplikowana i spędził nad nią wiele godzin. Jeśli jednak uda mu się osiągnąć pozytywny wynik, jego reputacja ogromnie na tym zyska.

Choć był już spóźniony, długo stał pod ciepłym prysznicem, rozmyślając o samobójstwie Kevina Williamsona. Przypomniał sobie słowa Goodricha: „Sądzę, że to ja jestem panu potrzebny, Nathanie. Przekona się pan, że pewne doświadczenia mogą być bolesne”. Mówił też coś „o konieczności przygotowania się”.

Czego właściwie ten facet od niego chce? To zaczyna być niepokojące. Może należy zawiadomić policję? Przecież wczoraj zginął człowiek, co nie jest błahą sprawą.

No tak, ale to było samobójstwo. Może to potwierdzić wielu ludzi. Jednak Goodrich w dużym stopniu ponosi za to odpowiedzialność. Miał przecież informacje, których nie powinien zachowywać dla siebie.

Nathan wyszedł z kabiny prysznicowej i wytarł się energicznie.

Najlepiej w ogóle o tym nie myśleć. Szkoda czasu. Nie zgodzi się nigdy więcej na spotkanie z Goodrichem. Nigdy...

I wtedy wszystko wróci do normy.

Przed wyjściem z domu połknął jeszcze dwie pastylki aspiryny i jedną witaminy C.

Zdawał sobie sprawę, że powinien ograniczyć zażywanie lekarstw. Ale jeszcze nie dziś. Nie jest na to gotowy.

Minęła dobra chwila, zanim udało mu się złapać taksówkę. Skręcili przy Columbus Circle i minęli Grand Army Plaża. Wymieniając kilka zdawkowych zdań z kierowcą Pakistań-

czykiem, pomyślał, że na pewno się spóźni. Na dodatek przed GM Building cofała właśnie jakaś ciężarówka, powodując rosnący zator na Madison Avenue. Nathan wysiadł z taksówki i ruszył piechotą korytarzem z metalu i szkła, który tworzyły wieżowce na Park Avenue. Jego uszy zaatakował uliczny zgiełk, krzyki sprzedawców kanapek i wreszcie głośny klakson limuzyny z przyciemnionymi szybami, która o mało go nie przejechała. Nagle odniósł wrażenie, że jest mu ciasno, że przytłacza go to nieprzyjazne miejsce. Gdy znalazł się przed budynkiem Marble&March, którego imponujące wejście miało sklepienie z mozaiką w stylu bizantyjskim, poczuł ulgę. Wysiadł najpierw na trzydziestym piętrze, gdzie prawnicy mieli do swojej dyspozycji obszerną salę wypoczynkową oraz małą kawiarenkę. Gdy miał dużo pracy, często zostawał tu na noc. Wyjął kilka dokumentów ze swojej szafki i wjechał na wyższe piętro, gdzie znajdował się jego gabinet. Rzadko się spóźniał i dlatego sekretarka przywitała go pytającym spojrzeniem.

— Bądź tak dobra, Abby, przynieś mi pocztę i potrójną kawę.

Abby obróciła się na kręconym fotelu, patrząc na niego z dezaprobatą.

— Poczta leży na pańskim biurku już od godziny. A jeśli chodzi o kawę, to czy jest pan pewien, że mam przynieść potrójną?

— Tak, proszę o bardzo mocną kawę bez mleka.

Wszedł do gabinetu, poświęcił dwadzieścia minut na przejrzanie poczty, potem sprawdził pocztę elektroniczną, dopijając kawę. Miał wiadomość od współpracownika, który prosił go o pomoc w jakiejś kwestii prawniczej, dotyczącej sprawy Rightby's. Zabierał się, by mu odpowiedzieć, gdy...

Nie, absolutnie nie mógł się skoncentrować. Nie będzie udawał, że nic się nie stało. Musi wyjaśnić tę sprawę. Wyłączył komputer, złapał płaszcz i wyszedł z gabinetu.

- Abby, poproś portiera, żeby sprowadził mi taksówkę, i odwołaj wszystkie przedpołudniowe spotkania.
- Miał się pan spotkać z panem Jordanem...
- Postaraj się przełożyć to na wczesne popołudnie, sądzę, że pan Jordan jest wolny o tej porze.
- Nie wiem, czy będzie zachwycony.
- Nie martw się o to.

Był już na korytarzu, gdy zawołała za nim:

- Panu jest potrzebny odpoczynek! Nie pierwszy raz to mówię!
  - South Ferry Terminal — rzucił, zamykając drzwiczki taksówki.
- Dzięki dwudziestu dolarom, które obiecał kierowcy, zdążył na prom odpływający o dziesiątej na Staten Island. Do tej pięknej dzielnicy Nowego Jorku prom płynął dwadzieścia pięć minut. Nie cieszył go jednak wspaniały widok Dolnego Manhattanu ani Statua Wolności. Chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Gdy tylko prom przybił do brzegu, Nathan przywołał taksówkę, która zawiozła go do szpitala miejskiego Staten Island.

Szpital zajmował obszerny teren przy St. George, na północnym krańcu wyspy.

Zatrzymali się przy centrum chirurgii. Śnieg nie padał od poprzedniego wieczoru, niebo było szare od chmur.

Nathan szybkim krokiem wszedł do budynku, ale zatrzymała go recepcjonistka.

- Proszę pana, wizyty zaczynają się dopiero...
  - Chciałbym się widzieć z doktorem Goodrichem — przerwał jej ostro.
- Czasami prozac miał na niego dziwny wpływ.  
Recepcjonistka znalazła w komputerze plan operacji.
- Profesor skończył właśnie biopsję i za chwilę przystąpi

do pobrania wycinka węzła chłonnego. Nie może się pan teraz z nim zobaczyć.

— Proszę go jednak powiadomić, że przyszedłem. Sprawa jest pilna. Nazywam się Del Amico.

Recepcjonistka obiecała, że przekaże to profesorowi, a tymczasem zaproponowała Nathanowi, by usiadł w poczekalni.

Goodrich zjawił się po kwadransie. Był w niebieskiej lekarskiej bluzie i czepku na głowie. Nathan zerwał się na równe nogi:

— Na litość boską, Garrett, zechce mi pan wyjaśnić...

— Później. Teraz jestem zajęty.

— Nie puszczę pana! Przyszedł pan niespodziewanie do mojego biura, potem zmusił mnie pan, bym oglądał tragiczne samobójstwo, komentując to tylko stwierdzeniem, że każde życie ma swój kres. To staje się nie do zniesienia!

— Porozmawiamy potem. Na górze czeka mężczyzna, któremu mam usunąć guz...

Nathan z trudem nad sobą panował. Miał ochotę rzucić się na niego z pięściami.

— ...ale jeśli pan chce, może pan pójść ze mną—powiedział Goodrich, odchodząc.

— Co takiego?

— Proszę pójść ze mną i asystować przy operacji. To bardzo pouczające. Nathan westchnął. Zdawał sobie sprawę, że Garrett narzuca mu swoją wolę, ale nie umiał się przeciwstawić. Zresztą, skoro już tu jest...

Bez protestu poddał się procedurze obowiązującej chirurgów. Umył mydłem ręce aż do łokci i wytarł je gąbką nasączoną środkiem odkażającym, po czym nałożył maskę chirurgiczną, zakrywającą usta i nos.

— Co mamy w programie? — zapytał jakby od niechcienia.

— Usunięcie przelyku z otwarciem jamy brzusznej i klatki piersiowej — odpowiedział Goodrich, popychając dwuskrzydłowe drzwi.

Nathan bez słowa wszedł za nim na salę operacyjną, gdzie czekali już instrumentariuszka i chirurg asystent.

Gdy tylko znalazł się w tej sali bez okien, ze sztucznym oświetleniem, zrozumiał, że nie spodoba mu się to, co zaraz zobaczy.

Jakie to przerażające! Jak większość ludzi nie cierpiał zapachu szpitala, który przywoływał złe wspomnienia.

Stanął w najdalszym kącie i przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem.

— To nowotwór złośliwy — poinformował Goodrich kolegę, — Pacjent ma pięćdziesiąt lat, jest nałogowym palaczem, rozpoznanie ustalone dość późno. Błona śluzowa nacieczona. Kilka przerzutów w wątrobie.

Z tacy, na której leżały narzędzia chirurgiczne, wziął skalpel i dał znak, by rozpocząć operację.

— Zaczynamy.

Nathan mógł oglądać przebieg operacji na małym monitorze, umieszczonym za głową pacjenta.

Przecięcie więzadła trójkątnego... uwolnienie rozworu przełykowego przepony...

Po chwili na ekranie widać już było tylko krwawy kłęb narządów wewnętrznych. Jak chirurdzy to znoszą? Nie był hipochondrykiem, ale w tym momencie nie mógł nie myśleć o dokuczającym mu bólu w piersi. Z lękiem obserwował Goodricha, zajętego swoją robotą.

Nie, to nie jest szalenie. To doskonały lekarz. Człowiek, który wstaje rano, by ratować ludziom życie. Ale czego chce ode mnie?

W którymś momencie lekarz asystujący Goodrichowi zaczął mówić coś o lidze koszykówki, ale Garrett natychmiast zgromił go spojrzeniem.

Nathan odwrócił oczy od ekranu, podczas gdy operacja trwała dalej.

Wprowadzenie sondy do żołądka... założenie drenażu klatki piersiowej i jamy brzusznej...

Teraz Nathanowi wszystkie sprawy, którymi się zajmował — spotkania, miliony dolarów na koncie — wydały się zupełnie bez znaczenia.

Kiedy operacja dobiegała końca, rytm serca chorego nagle przyspieszył.

— Cholera! — krzyknął asystent. — Ma tachykardię!

— To się zdarza — odrzekł spokojnie Goodrich. — Źle znosi przepełnienie serca krwią.

W chwili gdy Garrett zlecał siostrze zrobienie zastrzyku, Nathan poczuł, że do gardła podchodzi mu żółć. Wybiegł z sali operacyjnej, dopadł umywalki w toalecie i długo wymiotował.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że od prawie dwudziestu czterech godzin nic nie jadł.

Goodrich odnalazł go po dziesięciu minutach.

— Przeżyje? — zapytał Nathan z lękiem, wycierając czoło.

— Będzie żył dłużej, niż gdybyśmy nic nie zrobili. Teraz przynajmniej może normalnie jeść i trawić. Przez jakiś czas.

— Operacja się udała — poinformował Goodrich żonę pacjenta. —

Oczywiście pewne komplikacje pooperacyjne zawsze są możliwe, ale jestem dobrej myśli.

— Dziękuję, panie doktorze — powiedziała kobieta z wdzięcznością. — Uratował mu pan życie.

— Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

— Panu też dziękuję. — Kobieta uściśnęła rękę Nathanowi. Wzięła go za asystenta chirurga. Nathan, wciąż pod wrażeniem operacji, nie wyprowadził jej z błędu.

Szpitalna kawiarnia znajdowała się na pierwszym piętrze, nad parkingiem.

Usiadłszy naprzeciwko siebie, zamówili kawę. Na stoliku stał koszyczek z ciastkami.

— Ma pan ochotę na pączka? Są trochę za tłuste, ale... Nathan pokręcił głową.

— Jeszcze czuję w ustach gorycz.

Po twarzy lekarza przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

— No dobrze, słucham pana.

— O nie, Garrett, to ja chcę usłyszeć, dlaczego przyszedł pan do mnie do biura i skąd pan wiedział, że Kevin zamierza wpakować sobie kulkę w łeb.

Goodrich nalał sobie kawy, dolał dużo mleka i posłodził. Ściągnął brwi.

— Nie wiem, czy jest pan już na to gotowy, Nathanie.

— Gotowy na co?

— Na to, co zamierzam panu powiedzieć.

— Jestem gotowy na wszystko, ale gdyby pan mógł trochę się pospieszyć...

Goodrich zignorował tę uwagę.

— Czy zechciałby pan z łaski swojej nie spoglądać co chwila na zegarek? Nathan westchnął.

— Dobrze, mamy czas — powiedział, rozluźniając krawat i zdejmując marynarkę.

Goodrich ugryzł kęs pączka i popił kawą.

— Uważa mnie pan za szaleńca, prawda?

— Przyznaję, że się nad tym zastanawiam — odpowiedział Nathan z uśmiechem.

— Czy słyszał pan o oddziałach opieki paliatywnej?

— Przeczytałem, że jest pan ordynatorem takiego oddziału w tym szpitalu.

— To prawda. Jak pan wie, chodzi o opiekę nad chorymi, którym medycyna nie może już pomóc.

— A pan wspiera ich duchowo...

— Tak. Mają przed sobą zaledwie kilka tygodni życia i są tego świadomi. To sytuacja bardzo trudna do zaakceptowania.

Była już druga po południu. W dużej sali kawiarni znajdowało się niewielu ludzi. Nathan wyjął papierosa, ale go nie zapalił.

— Nasza misja polega na tym, by towarzyszyć im aż do śmierci — mówił dalej Goodrich. — Sprawić, żeby ten krótki czas, jaki im został, przeżyli tak, aby mogli odejść w spokoju. — Przerwał na kilka sekund i dodał: — Żeby odeszli pogodzeni ze sobą i z innymi.

— Rozumiem, ale co to ma wspólnego ze mną?

— Co to ma wspólnego z panem? — wybuchnął Goodrich. — Pan myśli tylko o sobie! Jak może dotyczyć nędza tego świata Nathana Del Amico, słynnego adwokata, który dostaje czterysta dolarów za godzinę? Czy nie może pan choć na chwilę zapomnieć o swojej mizernej osobie?

Tego już było za wiele. Nathan uderzył pięścią w stół.

— Posłuchaj, draniu! Od czasu kiedy byłem w szkole podstawowej, nikt nie zwracał się do mnie w ten sposób! Nie mam zamiaru tego słuchać! Zerwał się z krzesła i żeby się uspokoić, poszedł zamówić przy barze butelkę wody mineralnej.

Wszyscy w kawiarni przerwali rozmowy i patrzyli na niego z wyrzutem. Opanuj się. Jesteś przecież w szpitalu.

Otworzył butelkę i wypił połowę jej zawartości. Minęła dobra minuta, zanim znów usiadł przy stoliku.

Wbił wzrok w Goodricha, dając mu do zrozumienia, że nic sobie nie robi z jego słów.

— Proszę mówić dalej — powiedział spokojnie, choć w jego głosie słychać było skrywaną wrogość.

Napięcie między dwoma mężczyznami było wręcz namacalne. Mimo to lekarz podjął temat w miejscu, w którym mu przerwano.

— Oddziały opieki paliatywnej są przeznaczone dla cho-



rych, wobec których medycyna jest bezsilna. Istnieją jednak takie zgony, których absolutnie nie da się przewidzieć.

— Wypadki?

— Tak, wypadki, ale też choroby zbyt późno wykryte. Nathan domyślał się, że dochodzą do ważnego punktu. Cały czas czuł w piersi ściskający niczym imadło ból.

— Jak już panu tłumaczyłem — podjął Goodrich — łatwiej jest umierać, kiedy zrealizowało się wszystkie swoje zamiary.

— Przecież to niemożliwe w wypadku nieoczekiwanej śmierci!

— Nie zawsze.

— Jak to nie zawsze?

— To właśnie jest zadanie Posłańców.

— Posłańców?

— Tak, Nathanie, istnieją ludzie, przygotowujący do przejścia na tamten świat tych, którzy mają umrzeć.

Adwokat pokiwał głową. Tamten świat! To jakiś obłąd!

— Chce mi pan wmówić, że niektórzy ludzie wiedzą z góry, kto umrze?

— Coś w tym rodzaju — potwierdził z powagą Garrett. — Rolą Posłańców jest ułatwić spokojne przejście ze świata żywych do świata umarłych. Pomagają tym, którzy mają niedługo umrzeć, uporządkować przed śmiercią wszystkie sprawy.

Nathan westchnął

— Jeśli chodzi o mnie, to źle pan trafił. Mam raczej empiryczne podejście do życia.

— Zdaję sobie sprawę, że trudno uwierzyć w to, co panu mówię.

Nathan wzruszył ramionami i spojrział w okno. Co ja tu w ogóle robię?

Za przymgloną szybą widać byłokjgbv wełni stych chmur, przecinające szare niebo.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, jest pan jednym z tych...

— ...z tych Posłańców.

— I dlatego wiedział pan o Kevinie?

— Właśnie.

Nie powinien dać się wciągnąć w tę grę. Nic nie zyska, słuchając bredni tego pomyleńca. Mimo to nie mógł powstrzymać się od zadania kolejnego pytania:

— Pan jednak nic dla niego nie zrobił, prawda?

— Co ma pan na myśli?

— W jaki sposób przygotował go pan do przejścia na tamtą stronę? W czym ułatwił mu pan „spokojne przejście ze świata żywych do świata umarłych”? Kevin nie sprawiał wrażenia zbyt spokojnego w chwili, gdy się zabijał...

— Nie zawsze możemy interweniować — przyznał Goodrich. — Ten chłopak bardzo chciał ze sobą skończyć. Na szczęście nie zdarza się to zbyt często.

Nathan ciągle jednak miał wątpliwości.

— Przecież mógłby mu pan przeszkodzić. Można było uprzedzić strażników budynku lub policję...

Garrett nie pozwolił mu dokończyć zdania:

— To by niewiele zmieniło. Nikt nie zna godziny swojej śmierci. Nie da się zapobiec ostatecznemu rozstrzygnięciu.

Ostateczne rozstrzygnięcie... Posłańcy... Tamten świat... To dlaczego nie wierzyć w czyściec i piekło?

Nathan zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem ze złośliwym uśmiechem zapytał:

— Pan naprawdę sądzi, że ja w to wszystko uwierzę?

— Nie musi pan w to wierzyć, żeby tak było naprawdę.

— Powtarzam jeszcze raz: traci pan czas, nie jestem człowiekiem religijnym.

— Religia nie ma z tym nic wspólnego.

— Powiem panu otwarcie, że zaczynam myśleć, iż stracił pan rozum. Chyba powinienem zasygnalizować to dyrektorowi szpitala.

— Znaczyłoby to, że jestem szalony już od dwudziestu lat. A czy nie uprzedziłem pana o śmierci Kevina?

— To niczego nie dowodzi. Można na wiele sposobów wyjaśnić, w jaki sposób przewidział pan jego samobójstwo.

— Na przykład?

— Indoktrynacja, wpływ jakiejś sekty, narkotyki...

— Uwierz mi, Nathanie, to nie jest pole mojego działania. Chcę pana po prostu przekonać, że mam zdolność przewidywania czyjejś śmierci, zanim jeszcze pojawią się pierwsze zapowiadające ją sygnały, i staram się przygotować ludzi na to, co ich czeka.

— A skąd bierze się ta pańska moc?

— To nie takie proste.

Nathan wstał, włożył marynarkę i płaszcz.

— Dostyc się już na dziś nasłuchiwałem.

— Zgadza się z panem — rzekł Garrett.

Nathan ruszył do wyjścia, ale w chwili gdy miał przejść przez automatycznie otwierane drzwi, gwałtownie zawrócił, podszedł do Goodricha i powiedział:

— Niech mi pan wybaczy, że znowu nawiążę do mojej mizernej osoby, ale czy pan przypadkiem nie próbuje dać mi do zrozumienia, że chodzi właśnie o mnie?

Zapadła cisza.

— Chce pan, bym zdał sobie sprawę, że nadeszła moja godzina, że to już koniec mojej działalności?

Goodrich się zmieszał. Wydawało się, że wolałby nie kontynuować tej rozmowy, ale rozumiał, że nie ma wyjścia.

— Niczego takiego nie sugerowałem.

Nathan jednak nie zwrócił uwagi na jego słowa. Był zdenerwowany, mówił szybko podniesionym głosem:

— A więc kiedy już ma pan tę swoją wizję, przychodzi pan do ludzi i oznajmia: „Uwaga, został wam tylko tydzień życia, więc pospieszcie się z uporządkowaniem swoich spraw”?

Garrett próbował go uspokoić:

— Niczego nie mówię ludziom, którzy mają umrzeć. Wystarczy, że o tym wiem.

— No to powodzenia, Posłańcu!

Tym razem Nathan opuścił kawiarnię na dobre. Goodrich dopił kawę.  
Przez szybę widział sylwetkę Del Amico, który oddalał się w biel i chłód.  
Płatki zamarzającego śniegu spadały mu na włosy i twarz, ale on  
wydawał się tego nie czuć.  
Z radia stojącego przy barze dochodziły dźwięki muzyki jazzowej, granej  
na fortepianie przez Billa Evansa.  
Była to smutna melodia.

6

*Czy nie zrobiło się zimniej?*

*Czy nie zapadają coraz bardziej mroczne noce?*

*Czy nie należy zapalać latarni od samego rana?*

**Nietzsche**

— Ile wolnych dni wzięłem w ciągu ostatnich trzech lat?

Była osiemnasta. Siedząc w gabinecie Ashleya Jordana, Nathan przekonywał go, by dał mu dwa tygodnie urlopu. Stosunki między nimi cechowała pewna złożoność. Na początku Nathan był protegowanym Jordana, ale potem, po kolejnych odniesionych przez niego sukcesach, szefa zaczęła denerwować ambicja młodego współpracownika. Miał mu za złe, że bierze na siebie tak dużo spraw. Nathan szybko zrozumiał, że Jordan nie jest typem człowieka, który potrafi połączyć interesy z przyjaźnią. Wiedział też doskonale, że gdyby wpadł w prawdziwe kłopoty, nie u niego powinien szukać pomocy.

Nathan westchnął. Nie ma się co oszukiwać: rozmowa z Garrettem i samobójstwo Kevina głęboko nim wstrząsnęły. Nie mówiąc o bólu, który w dalszym ciągu odczuwał w piersi.

Nie bardzo wiedział, co myśleć o bzdurach, jakie wygadywał Goodrich na temat Posłańców. Jednak jedna rzecz była pewna — potrzebuje odpoczynku, wolnego czasu, by zająć się córką.

Powtórzył pytanie:

— Ile wolnych dni wzięłem przez te ostatnie lata?

— Właściwie ani jednego — przyznał Jordan.

— Ile spraw przegrałem?

Jordan nie mógł powstrzymać uśmiechu. Znał ten refren na pamięć.

Nathan był zdolnym adwokatem, ale nie grzeszył skromnością.

— Nie przegrałeś żadnej sprawy w ostatnich latach.

— Nie przegrałem ani jednej sprawy w całej mojej karierze — poprawił go Nathan.

Jordan przytaknął, po czym zapytał:

— To z powodu Mallory, tak? Nathan pominął to pytanie milczeniem.

— Słuchaj, będę miał przy sobie laptopa i komórkę, w razie czego będzie się można ze mną skontaktować.

— Dobra. Bierz urlop, skoro tego chcesz. Nie potrzebujesz na to mojego pozwolenia. Sam zajmę się sprawą Rightby's.

Uznawszy rozmowę za zakończoną, wpatrzył się w liczby widoczne na ekranie jego komputera.

Nathan jednak nie był usatysfakcjonowany.

— Proszę o trochę czasu, który poświęcę mojej córce i nie widzę w tym żadnego problemu — powiedział podniesionym głosem.

— Rzeczywiście to nie jest problem — odrzekł Jordan, spoglądając na niego. — Problem polega na tym, że mnie nie uprzedziłeś, a dobrze wiesz, że w naszym zawodzie wszystko musi być z góry ustalone.

*11 grudnia*

Budzik zadzwonił o piątej trzydzieści.

Mimo iż spał dobrych kilka godzin, ból w piersi nie zniknął. Przeciwnie, był coraz silniejszy. Nathan miał wrażenie, jakby coś paliło go ogniem pod mostkiem. Ból promieniował na całe lewe ramię.

Nie odważył się więc wstać natychmiast po przebudzeniu.

Leżąc w łóżku, oddychał głęboko, żeby się uspokoić. Po kilku chwilach ból ustąpił, ale Nathan jeszcze przez dziesięć minut nie wstawał, zastanawiając się, co będzie robił tego dnia. W końcu podjął decyzję. Mój Boże! Nie mogę biernie poddawać się losowi. Muszę wiedzieć! Wstał i poszedł wziąć prysznic. Miał wielką ochotę na kawę, ale oparł się tej pokusie: jeśli chce, by pobrano mu krew do analizy, musi być na czczo.

Ubrał się ciepło, po czym zjechał windą do holu. Zatrzymał się na moment, by jak zawsze wymienić kilka uprzejmych uwag z portierem.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry, Peter. Jak się spisała wczoraj drużyna Knicksów?

— Wygrali z Seattle różnicą dwudziestu punktów. Ward miał kilka dobrych wsadów.

— Świetnie, mam nadzieję, że tak samo uda im się w Miami!

— Nie wybiera się pan dziś pobiegać?

— Trochę nawala mi zdrowie.

— Życzę szybkiej poprawy...

— Dziękuję, Peter, dobrego dnia.

Na dworze było jeszcze ciemno, a poranne powietrze lodowate.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i spojrzał w górę na dwie wieże San Remo. Odnalazł okno swojego apartamentu na dwudziestym trzecim piętrze w wieży północnej. Jak za każdym razem przemknęła mu przez głowę ta sama myśl, że mimo wszystko nieźle mu się wiedzie.

Nieźle jak na chłopca, który wychował się w biednej dzielnicy na południe od Queens.

Miał ciężkie dzieciństwo, naznaczone ubóstwem i wyrzeczeniami. Było to życie skromne, ale nie nieszczęśliwe, chociaż zdarzało się, że jadali z matką tylko dzięki talonom żywnościowym, rozdawanym przez opiekę społeczną.

Mimo wszystko jest nieźle!

Tak, bo 145 Central Park West to bez wątpienia jedno z najbardziej prestiżowych miejsc w mieście. Dokładnie naprzeciwko parku, w odległości tylko dwóch domów od metra, którym tutejsi mieszkańcy z oczywistych powodów nie jeżdżą zbyt często. W stu trzydziestu sześciu apartamentach, mieszczących się w tym budynku, mieszkali ludzie interesu, tuzy finansjery, stare nowojorskie rodziny, gwiazdy filmu i piosenki. To tutaj mieszkała aż do śmierci Rita Hayworth. Podobno mieli tu apartamenty Dustin Hoffman i Paul Simon.

Codziennie spoglądał na szczyt budynku z dwiema bliźniaczymi wieżami w stylu romańskim, nadającymi mu wygląd średniowiecznej katedry.

Mimo wszystko jest nieźle!

Jednak miał świadomość tego, że nawet jako wzięty adwokat nigdy nie mógłby sobie pozwolić na kupno takiego apartamentu, gdyby nie historia z jego teściem. Teraz już byłym teściem — Jeffreyem Wexlerem.

Przez długi czas, gdy Wexler przyjeżdżał do Nowego Jorku w interesach, zatrzymywał się w apartamencie w San Remo. Był to człowiek zasadniczy, bezkompromisowy, typowy przedstawiciel bostońskiej elity. Apartament należał do rodziny Wexlerów od zawsze. To znaczy od kryzysu ekonomicznego w 1930 roku, kiedy został wzniesiony ten budynek według projektu Emery'ego Totha, znanego architekta mającego już w swoim dorobku wiele prestiżowych budowli w sąsiedztwie Central Parku.

Do utrzymania porządku w apartamencie Wexler wynajął Włoszkę Eleanor Del Amico, mieszkającą z synem w Queens. Początkowo jego żona była przeciwna zatrudnieniu kobiety samotnie wychowującej dziecko. Kiedy jednak stwierdzili, że Eleanor wywiązuje się dobrze ze swoich obowiązków, powierzyli jej także opiekę nad domem w Nantucket, dokąd jeździli na wakacje.

W ten sposób Nathan przez kilka lat spędzał z matką letnie miesiące na tej wyspie. I tam właśnie poznał Mallory, co odmieniło jego życie.



Z zazdrością przyglądał się tym WASP-om\*, którzy zdawali się nie poddawać wpływowi czasu. On także chciałby mieć dzieciństwo z lekcjami gry na pianinie, z morskimi rejsami na jachtach, z przejazdami mercedesami. Oczywiście to wszystko było poza jego zasięgiem; nie miał ani ojca, ani brata, ani pieniędzy. Nie nosił mundurka z emblematem prywatnej szkoły ani niebieskiego puloweru z metką znanej firmy. Jednak dzięki Mallory mógł zakosztować choć odrobinę tego ponadczasowego życia. Bywał niekiedy zapraszany na wystawne pikniki, urządzone w cienistych zakątkach Nantucket. Wiele razy towarzyszył Wexlerowi podczas wypraw wędkarskich, które nieodmiennie kończyły się mrożoną kawą i czekoladowym batonikiem. Nawet niezwykle dystygowana Elizabeth Wexler pozwalała mu czasem wypożyczać książki z biblioteki, mieszczącej się w ich wielkim domu, gdzie wszystko było gładkie, czyste i uporządkowane.

Jednak mimo pozornej życzliwości Wexlerowie byli trochę zażenowani, że to syn gospodyni uratował ich córkę przed utonięciem pewnego wrześnieowego dnia w 1972 roku.

I to uczucie nie zmniejszało się, przeciwnie, z biegiem lat przekształciło się w otwartą wrogość, zwłaszcza od momentu, gdy oboje z Mallory oznajmili, że chcą razem zamieszkać, a potem się pobrać.

Wexlerowie użyli wszelkich sposobów, żeby odsunąć córkę od ukochanego. Nic jednak nie wskórali. Mallory była uparta. Nie pomogło odwoływanie się do jej rozsądku. Nic sobie nie

**\* WASP — White Anglosaxon Protestant — członek amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego.**

robiła z gróźb ani lodowatej ciszy, coraz częściej zapadającej w czasie rodzinnych posiłków.

Tak było aż do pamiętnego Bożego Narodzenia w 1986 roku, kiedy to podczas wigilijnej wieczerzy zebrała się u nich duża część bostońskiej elity. Mallory wparadowała z Nathanem pod rękę i przedstawiła go wszystkim obecnym jako przyszłego męża. Wtedy dopiero Jeffrey i Lisa Wexlerowie zrozumieli, że nie mogą wiecznie przeciwstawiać się decyzji córki, że jeśli nie chcą jej utracić, muszą zaakceptować Del Amico.

Nathan był szczerze zdumiony, że Mallory z taką determinacją narzuciła im swój wybór. Pokochał ją za to jeszcze bardziej. W jego pamięci na zawsze pozostanie wieczór, kiedy Mallory, na oczach wielu świadków, wobec całego świata wyznała mu miłość. Jednak nawet po ceremonii ślubnej Wexlerowie tak naprawdę nie uznali go za swojego. Ani po tym, jak uzyskał dyplom na uniwersytecie Columbia, ani wtedy, gdy przyjęto go do renomowanej kancelarii adwokackiej. Nie była to kwestia pieniędzy, ale pochodzenia społecznego. W tym środowisku urodzenie od samego początku ustawiało człowieka na określonej pozycji. Nie mógł się z tego wyzwolić bez względu na to, czego dokonał i jak wielką zdobył fortunę.

Dla nich zawsze pozostanie synem gospodyni, którego byli zmuszeni zaakceptować, by nie stracić córki. Kimś, kto nie pochodzi z ich kręgu i nigdy nie będzie tak naprawdę należał do ich rodziny.

Potem, w 1995 roku, odbył się ten proces.

Sprawa nie leżała bezpośrednio w kompetencji Nathana, ale kiedy zobaczył jej akta w kancelarii Marble&March, zaczął nalegać, by powierzono ją właśnie jemu.

Sama sprawa nie była skomplikowana: kiedy wielka spółka informatyczna kupiła firmę SoftOnline, jeden z jej członków założycieli uznał, iż został z niej usunięty przez nowych akcjonariuszy niezgodnie z prawem i zażądał odszkodowania

w wysokości dwudziestu milionów dolarów. Firma odmówiła zapłacenia takiej sumy. Wówczas poszkodowany zagroził procesem i zgłosił się do kancelarii Marble&March.

W tym samym czasie akcjonariusze, których firma znajdowała się w Bostonie, wynajęli adwokatów z kancelarii Branagh&Mitchell, w której jednym z członków zarządu był nie kto inny tylko Jeffrey Wexler.

Mallory prosiła męża, by odmówił wzięcia w tej sprawy. Bała się, że jego udział doprowadzi do rozdzwieniu w rodzinie, tym bardziej że Wexler miał nadzorować sprawę z ramienia swojej kancelarii.

Jednak Nathan jej nie posłuchał. Chciał im pokazać, co potrafi chłystek taki jak on. Skontaktował się z Jeffreyem, by go uprzedzić, że nie tylko bierze tę sprawę, ale zamierza ją wygrać.

Wexler posłał go do wszystkich diabłów.

W tego rodzaju sprawach prawie nigdy nie dochodzi do procesu. Załatwia się je na ogół przez porozumienie stron, a zadaniem adwokatów jest uzyskać jak najlepsze warunki.

Za radą Wexlera firma zaproponowała sześć i pół miliona dolarów. Była to uczciwa propozycja. Większość adwokatów przyjęłaby ją bez wahania. Jednak Nathan, stawiając wszystko na jedną kartę, przekonał klienta, by nie ustępował.

Na kilka dni przed procesem Branagh&Mitchell zaproponowali osiem milionów dolarów. Tym razem Nathan dobrze się namyślił, zanim odmówił. I wtedy Wexler wypowiedział słowa, których Nathan nigdy nie zapomni:

— Zdobył pan już moją córkę, Del Amico. Czy nie wystarczy panu takie trofeum?

— Nie zdobyłem pańskiej córki w takim sensie, jak to pan ujął. Kocham ją, ale tego nie jest pan w stanie zrozumieć.

— Rozgniotę pana jak karalucha!

— I znów ta pogarda! Ale w tej sprawie nie na wiele się panu przyda.

— Niech się pan dobrze zastanowi. Jeśli przez pana ten

człowiek straci osiem milionów, koniec z pańską karierą. Doskonale pan wie, jak krucha jest dobra reputacja adwokata.

— Niech się pan zajmie własną reputacją.

— Ma pan jedną szansę na dziesięć, żeby wygrać ten proces.

— O co jest pan gotów się założyć?

— Daję własną głowę.

— Nie żądam aż tyle.

— Więc czego?

Nathan pomyślał przez chwilę.

— Apartament w San Remo.

— Pan oszalał!

— Sądziłem, że lubi pan ryzyko.

— I tak nie ma pan żadnych szans...

— Przed sekundą mówił pan o jednej na dziesięć... Wexler był tak pewny siebie, że w końcu dał się wciągnąć w tę grę.

— Zgoda. Jeśli pan wygra, dostanie pan ten apartament. Będzie to prezent z okazji urodzin Bonnie. Proszę wziąć pod uwagę, że niczego nie żądam, jeśli pan przegra. I tak będzie pan miał wtedy dużo kłopotów, a ja nie chcę, aby moja córka została bez grosza.

Nathan zdawał sobie sprawę, że nie robi dobrze, wykorzystując sprawę klienta, by załatwić własne interesy, ale taka okazja mogła się więcej nie powtórzyć.

Sprawa wyglądała na względnie prostą, ale wynik nie był taki oczywisty, gdyż zależał od oceny sędziego. Odrzucając propozycję Wexlera, klient Nathana ryzykował, że straci wszystko.

Jeffrey był doświadczonym adwokatem. Obiektywnie miał rację, mówiąc, że szanse jego przeciwnika na zwycięstwo są nikłe.

Nathan jednak w końcu zwyciężył.

Tak zdecydował sędzia Frederick J. Livingstone z Nowego Jorku, który orzekł, iż wina leży po stronie SoftOnline, która musi zapłacić byłemu pracownikowi swadzieścia milionów dolarów.

Trzeba przyznać, że Wexler przyjął porażkę bez sprzeciwu, a miesiąc później opróżnił ze swych rzeczy apartament w San Remo.

Mallory nie pomyliła się oczywiście w swoich przewidywaniach. Proces nie poprawił relacji między Nathanem i teściami. Doszło do całkowitego zerwania stosunków z Jeffreyem, z którym Nathan nie zamienił słowa od siedmiu miesięcy. Podejrzewał nawet, że Wexler po cichu cieszył się z rozvodu córki. Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego.

Nathan pomyślał o swojej matce.

Nie odwiedziła go w tym apartamencie, ponieważ zmarła na raka trzy miesiące przed procesem.

Nie zmienia to faktu, że jej syn mieszka na dwudziestym trzecim piętrze apartamentowca pod numerem 145 przy Central Park West.

Tam, gdzie Eleanor Del Amico sprzątała przez prawie dziesięć lat.

Eleanor nie miała łatwego życia.

Jej rodzice, pochodzący z Gaety, portu rybackiego na północ od Neapolu, wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, gdy miała dziewięć lat. Nigdy nie zdołała nauczyć się dobrze angielskiego i szybko musiała zrezygnować ze szkoły.

W wieku dwudziestu lat poznała Vittorio Del Amico, robotnika budowlanego, który pracował przy budowie Lincoln Center. Umiał pięknie mówić i miał uwodzicielski uśmiech. Kiedy po kilku miesiącach okazało się, że Eleanor jest w ciąży, postanowili się pobrać. Jednak po jakimś czasie przekonała się, że Vittorio jest człowiekiem gwałtownym i mało odpowiedzialnym. W końcu zniknął, nie podając adresu.

Po odejściu męża Eleanor musiała sama sobie radzić z utrzymaniem i wychowaniem synka. Brała po dwie, trzy prace naraz, żeby jakoś związać koniec z końcem. Była sprzątaczką, służącą, recepcjonistką w nędznych hotelikach — nie bała się

żadnej pracy, znosząc wiele upokorzeń. Nie mając przyjaciół ani bliskich krewnych, musiała polegać tylko na sobie.

W ich domu nie było pralki ani magnetowidu, ale nigdy nie chodzili głodni. Żyli skromnie, lecz godnie. Nathan zawsze był czysto ubrany i miał wszystkie niezbędne przybory szkolne.

Matka musiała być bardzo zmęczona, lecz Nathan nigdy nie widział, by się nad sobą rozczuła albo pozwalała sobie na choćby małe przyjemności. Nie wyjeżdżała na wakacje, nie czytała książek, nie chodziła do kina ani do restauracji.

Dla Eleanor Del Amico najważniejszą sprawą było dobrze wychować syna. Ponieważ sama nie była wykształcona, dokładała wszelkich starań, by mógł skończyć szkołę. Brak dyplomu zastępowała bezwarunkową, niezniszczalną miłością. Często powtarzała synowi, że cieszy się, iż ma syna, a nie córkę, dodając przy tym: „Łatwiej sobie poradzisz w świecie zdominowanym przez mężczyzn”.

Przez pierwsze dziesięć lat jego życia matka była jak słońce, które oświetlało każdy jego dzień, była czarodziejką z czułością ocierającą wilgotną chusteczką jego czoło, by odpędzić nocne koszmary. Przed wyjściem do pracy zawsze pisała mu kilka miłych słów na karteczce, którą zostawiała obok dzbanka z kakao, czasami znajdował też kilka drobnych monet.

Matka była dla niego ideałem, dopóki nie zaczął rozdzielać ich stopniowo dystans społeczny.

Najpierw odkrył fascynujący świat Wexlerów, a potem uśmiechnęło się do niego szczęście i dostał się do Wallace School, prywatnej szkoły na Manhattanie, która co roku przyjmowała kilkunastu uczniów ze szkół z biedniejszych dzielnic. Wiele razy był zapraszany do kolegów, którzy mieszkali w eleganckich apartamentowcach we Wschodnim Manhattanie lub Gramercy Park. Wtedy to zaczął wstydzić się matki, jej słabej znajomości angielskiego, błędów gramatycznych, śmiesznego akcentu. Wstydził się tego, że jej niski status społeczny jest tak widoczny w sposobie mówienia i manierach.

Po raz pierwszy jej miłość wydała mu się zaborcza i stopniowo zaczął się z niej wyzwalać.

Podczas studiów ich stosunki jeszcze bardziej się rozluźniły, a gdy się ożenił, nie zmieniło się to na lepsze. Nie działało się tak jednak z winy Mallory, która wręcz nalegała, by zajął się matką. Wina leżała wyłącznie po jego stronie. Był zbyt zajęty pokonywaniem kolejnych szczybli pełnej sukcesów kariery, by zdać sobie sprawę, że matka bardziej potrzebowała jego miłości niż jego pieniędzy.

Aż pewnego ponurego listopadowego ranka 1991 roku zadzwoniono do niego ze szpitala z wiadomością o śmierci matki. I wtedy wróciła dawna miłość. Jak większość synów przed nim dręczyły go teraz wyrzuty sumienia, rozpamiętywał momenty, gdy był wobec niej niewdzięczny i obojętny.

Od tamtej pory nie było dnia, by o niej nie myślał. Za każdym razem, gdy widział na ulicy kobietę skromnie ubraną, przemęczoną pracą, wspominał swoją matkę i żałował, że nie był lepszym synem. Było już jednak za późno. Wymówki, jakie sobie robił, na nic nie mogły się już zdać.

Chociaż co tydzień kładł na grobie matki świeże kwiaty, wiedział, że nie wynagrodzą jej tego, że gdy żyła, spędzał z nią zbyt mało czasu.

W szufladzie szpitalnej szafki znalazł dwie fotografie.

Pierwsza pochodziła z 1967 roku. Zrobiona była w jakieś niedzielne popołudnie, nad morzem, w parku rozrywki na Coney Island. Nathan miał wówczas trzy lata. Na zdjęciu ściska w rączce loda i z zachwytem przygląda się ozłoconym słońcem górcom. Matka trzyma go z dumą na rękach. To jedna z niewielu fotografii, na których się uśmiecha.

Druga fotografia została zrobiona podczas ceremonii wręczania dyplomów ukończenia studiów na wydziale prawa uniwersytetu Columbia. W todze i eleganckim garniturze wyglądał, jakby rzucał wyzwanie całemu światu. Przyszłość należała do niego.

Zanim matkę zabrano do szpitala, wyjęła to zdjęcie z ramki stojącej na poczesnym miejscu w jej salonie. Umierając, chciała mieć przy sobie ten symbol sukcesu syna, sukcesu, który zarazem go od niej oddalił.

Nathan z trudem odpędził smutne myśli. Było już po szóstej.

Zszedł do podziemnego parkingu pod sąsiednim budynkiem, gdzie wynajmował dwa miejsca parkingowe. Na jednym stał jaguar coupe, na drugim land-rover, ciemnogrnatowy luksusowy samochód terenowy z napędem na cztery koła.

Kupili go, gdy postanowili mieć drugie dziecko. Wybrała go Mallory.

Ten potężny, wysoki samochód wydawał się jej szczególnie bezpieczny.

A ona zawsze dbała o bezpieczeństwo rodziny. Było to dla niej najważniejsze przy podejmowaniu wszelkich decyzji.

Po co mi teraz dwa samochody?

Otworzył drzwiczki jaguara. Od roku myślał o tym, żeby sprzedać rovera, ale wciąż brakowało mu czasu. Już miał ruszyć, kiedy doszedł do wniosku, że chyba lepiej będzie pojechać dżipem, bo jeździe mogą być śliskie.

Wewnątrz wozu wciąż jeszcze unosił się zapach Mallory. Zapalając silnik, postanowił, że sprzeda samochód sportowy, a zatrzyma rovera.

Przejechał dwa piętra parkingu, włożył kartę magnetyczną, by otworzyć barierkę, i wyjechał na ciemne jeszcze ulice miasta.

Śnieg już nie padał. Pogoda była niezdecydowana, odwilżowa.

W schowku na rękawiczki znalazł starą płytę Leonarda Cohena. Jedną z ulubionych Mallory. Włożył płytę do odtwarzacza. Żona szczególnie lubiła muzykę folkową, wyrażającą jakiś protest. Kilka lat temu pojechała do Europy, do Genewy, by manifestować przeciwko zgubnym skutkom glo-



balizacji. Podczas ostatnich wyborów prezydenckich uczestniczyła aktywnie w kampanii na rzecz Ralpha Nadera\*, a odkąd zamieszkała na Wschodnim Wybrzeżu, nie opuściła ani jednej manifestacji w Waszyngtonie przeciw Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu i Bankowi Światowemu. Mallory protestowała przeciw wszystkiemu: zadłużeniu i nędzy w krajach Trzeciego Świata, degradacji środowiska, zatrudnianiu dzieci... W ostatnich latach walczyła zdecydowanie z zagrożeniem wynikającym z genetycznie modyfikowanej żywności. Poświęcała wiele czasu organizacji domagającej się zaniechania używania w rolnictwie nawozów i pestycydów. Dwa lata przed rozwodem pojechał z nią na kilka dni do Indii, gdzie jej organizacja wprowadzała ambitny program dostarczenia zdrowych nasion tamtejszym rolnikom, aby nakłonić ich do pozostania przy tradycyjnej metodzie uprawy.

Nathan dość sceptycznie odnosił się do szlachetności bogaczy, ale po jakimś czasie musiał przyznać, że ma to sens, zwłaszcza że sam nie robił nic w tym kierunku.

I chociaż czasami żartował z wojowniczości żony, w głębi duszy ją podziwiał, bo zdawał sobie sprawę, że gdyby lepsze jutro świata miało zależeć od ludzi takich jak on, to długo musieliby na nie czekać.

Ruch o tej porze nie był jeszcze zbyt duży. Za pół godziny zmieni się to radykalnie. Skierował się na Dolny Manhattan i nie myśląc już o niczym, słuchał chrapliwego głosu Cohena.

Niedaleko Foley Square zerknął we wsteczne lustro. Na jednym z foteli z tyłu leżał pled z motywem Normana Rock-

**\* Ralph Nader — prawnik, aktywnie działający na rzecz obrony praw konsumentów. Przyczynił się do powstania wielu organizacji i stowarzyszeń monitorujących działalność monopolistów i organizacji użyteczności publicznej. Mawia o sobie: „Obywatel w pełnym wymiarze godzin. Najważniejsze biuro w Ameryce, dostępne dla każdego”.**

wella, kupiony u Bloomingdale'a na początku ich małżeństwa. Bonnie lubiła się nim otulać, gdy jechali we trójkę.

Nie, nie śnił — samochód nadal przesiąknięty był perfumami Mallory, zapachem wanilii i ciętych kwiatów. W tym momencie bardzo mu jej brakowało. Czuł jej obecność tak intensywnie, że wydawało mu się, jakby niczym duch siedziała tuż obok, na sąsiednim fotelu.

A przecież wszystko mogłoby potoczyć się inaczej, gdyby nie problem pieniędzy, różnica w statusie społecznym, potrzeba prześcignięcia samego siebie, byleby tylko pokazać, że zasługuje na Mallory. Bardzo szybko stał się cynicznym indywidualistą, pozbywając się resztek wrażliwości. Po to, żeby być najlepszym, nie usprawiedliwiał się przed samym sobą ze swoich słabości.

Rozpamiętując to wszystko, przestraszył się nagle, że nigdy już nie zobaczy Mallory. Poza córką nie miał bliskiej rodziny ani prawdziwego przyjaciela. Jeśli umrze, kto o nim pomyśli? Jordan? Abby?

Wjeżdżając w ulicę Lafayette, czuł, jak przytłacza go ogromna fala smutku.

Gdy znalazł się na moście Brooklyńskim, miał wrażenie, że został zamknięty w klatce stalowych lin, wiszących nad mostem. Dwa jego łuki, przywodzące na myśl wejście do gotyckiej budowli, kontrastowały z nowoczesnymi bryłami drapaczy chmur, których linia została na zawsze zakłócona po zniknięciu dwóch bliźniaczych wież. Było to głupie, ale za każdym razem, gdy przejeżdżał tędy w mgliste dni, spodziewał się, że za moment ujrzy wyłaniające się zza zakrętu ich błyszczące fasady i sylwetki wbijające się w niebo.

Nagle minęło go kilka karetek pogotowia, z wyciem syren pędzących w kierunku Brooklynu. Gdzieś niedaleko, w tę zimną noc, musiał zdarzyć się poważny wypadek. Mój Boże, taki właśnie jest Nowy Jork! Kochał i jednocześnie nienawidził to miasto.

Przegapił zjazd z mostu i znalazł się na wąskich uliczkach

Brooklyn Heights. Pokręcił się kilka chwil po tej spokojnej dzielnicy, zanim trafił na przejazd do ulicy Fulton. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer, który wcześniej postarał się zapamiętać.

— Doktor Bowly, słucham.

Klinika doktora Bowly'ego znana była z dobrej jakości usług. Kancelaria posyłała tam kandydatów do pracy, aby przeszli niezbędne badania. Od jakiegoś czasu klinika rozszerzyła działalność, tworząc centrum odwykowe dla wybranej klienteli Wschodniego Wybrzeża.

— Mówi Nathan Del Amico z kancelarii Marble&March. Chciałbym zrobić kompletne badania kontrolne.

— Połączę pana z rejestracją — rzucił lekarz, wściekły, że ktoś zakłóca mu spokój o tak wczesnej porze i w dodatku z tak błahego powodu.

— Ale ja, panie doktorze, chcę omówić to tylko z panem. Lekarz milczał przez chwilę, najwyraźniej zaskoczony.

— Słucham, o co chodzi?

— Chciałbym, aby zrobiono mi wszystkie badania — analiza krwi, rentgen, elektrokardiogram...

— Zapewniam pana, że umowa z pańską firmą obejmuje wszystko. — Nathan usłyszał, jak lekarz wystukuje coś na klawiaturze komputera. — Możemy panu wyznaczyć termin za dziesięć dni — zaproponował Bowly.

— Chcę być przyjęty za dziesięć minut — przerwał mu Nathan.

— Pan... pan chyba żartuje?

Nathan dojechał do Park Slope. Rozmawiając przez telefon, skręcił w kierunku dzielnicy eleganckich rezydencji, położonej na zachód od Prospect Park. Tonem bardzo oficjalnym powiedział:

— Nasza kancelaria broniła pana w pewnej sprawie finansowej. Jeśli dobrze pamiętam, było to jakieś trzy lata temu...

— Rzeczywiście — przyznał coraz bardziej zdziwiony Bowly. — Spisaliście się świetnie i zostałem uniewinniony.

— Wiem — odrzekł Nathan. — Jeden z moich współpracowników zajmował się pańską sprawą. Mówiono, że sfałszował pan jakieś dokumenty dla urzędu podatkowego.

— Ale... Właściwie do czego pan zmierza?

— Powiedzmy, że mam znajomych we władzach skarbowych, które zainteresowałyby się tymi informacjami.

— Ależ to wbrew zasadom waszego zawodu!

— Oczywiście — zgodził się Nathan — ale nie zostawia mi pan wyboru. Gdy wjeżdżał w ulicę Penitent, oślepiły go światła samochodu jadącego z przeciwka. Co za osioł!

Odrzucił telefon i gwałtownie skręcił w prawo. Z trudem uniknął zderzenia.

— Halo? — zawołał, biorąc telefon do ręki.

Był przekonany, że Bowly odłożył słuchawkę, ale po dłuższej ciszy lekarz trochę pewniejszym tonem powiedział:

— Nie mam zamiaru ustępować wobec takiego szantażu. Jeśli sądzi pan, że zrobiło to na mnie jakieś wrażenie...

— Nie proszę znowu o tak wiele — westchnął Nathan. — Tylko o komplet badań. Oczywiście zapłacę za nie pełną cenę.

Znalazł miejsce do parkowania niedaleko kliniki. Niebo pojaśniało, zaczynał wstawać dzień.

Zatrzasnął drzwiczki, zamknął je pilotem, po czym poszedł ulicą, wzdłuż której stały latarnie z kutego żelaza.

— Nie podobają mi się pańskie metody, ale zobaczę, co da się zrobić. O której chciałby pan przyjechać? — odezwał się Bowly po kolejnej chwili ciszy.

— Już przyjechałem — odrzekł Nathan, pchając drzwi kliniki.

7

*Zmarli są niewidzialni,  
ale nie są nieobecni.*

### **Święty Augustyn**

Wprowadzono go do chłodnego, słabo oświetlonego pokoju. Na kanapce leżała informacja w plastikowej okładce, wyszczególniająca kolejne etapy badania. Nathan zastosował się do zawartych w niej instrukcji: rozebrał się, włożył bawełnianą bluzę, umył ręce, wysiusiał się do specjalnego pojemnika, a potem laborant pobrał mu krew.

Poznał prawie całą klinikę. Zaopatrzony w kartę magnetyczną, przechodził z pokoju do pokoju, gdzie był przyjmowany przez kolejnych specjalistów.

Ta przyjemna niewątpliwie procedura zaczynała się od podstawowego badania, przeprowadzanego przez doktora Blackthrowa, niemłodego już szczupłego mężczyznę o szpakowatych włosach.

Kiedy doktor zbadał i dokładnie opukał Nathana, zaczął go wypytywać o rodzinę i dalszych krewnych.

Nie, nie miał nigdy żadnych problemów ze zdrowiem, poza reumatyzmem stawowym w wieku dziesięciu lat i mononuk-leozą w wieku lat dziewiętnastu.

Nie, nie chorował na żadną chorobę weneryczną.

Nie, nie wie, na co umarł jego ojciec. Zresztą nie wie nawet, czy w ogóle umarł.

Nie, matka nie umarła na chorobę wieńcową. Nie, nie była diabetyczką. Dziadkowie? Nie zna ich.

Potem nastąpiły pytania dotyczące jego stylu życia.

Nie, nie pije i nie pali od narodzin córki. Tak, rzeczywiście ma w kieszeni paczkę papierosów, ale nie pali ich, są tam tylko po to, by miał czym zająć ręce.

Tak, niekiedy zażywa leki antydepresyjne. Tabletki przeciwłękowe także, jak większość ludzi, którzy mają nerwowe życie.

Został więc wysłany do specjalisty od stresów, u którego przeszedł bardzo skomplikowany test, mający wykazać stopień jego lęków związanych z zawodem i problemami rodzinnymi.

Tak, jest po rozwodzie.

Tak, niedawno przeżył śmierć kogoś bliskiego. Nie, nie ma hipoteki.

Tak, jego sytuacja finansowa ostatnio się zmieniła... ale na lepsze.

Jakaś zmiana w nawykach związanych ze snem? Nie ma żadnych nawyków i może w tym tkwi problem.

Pod koniec tego seansu lekarz udzielił mu całego szeregu zbytecznych porad, które miały ułatwić samokontrolę w „lękowych sytuacjach psychoemocjonalnych”.

Nathan słuchał tego wszystkiego, tłumiąc złość.

Nie zamierzam zostać mistrzem zen, chcę się tylko dowiedzieć, czy w najbliższym czasie zagraża coś mojemu życiu.

Badanie kardiologiczne wyglądało zdecydowanie poważniej.

Kardiolog miał minę człowieka potrafiącego zrozumieć innych. Nathan opowiedział mu o bólu w piersi, który dokucza mu już od kilku dni.

Lekarz wysłuchał go uważnie, pytając o okoliczności występowania bólu i jego intensywność. Zmierzył mu ciśnienie po próbie wysiłkowej na bieżni

i dokonał pomiaru rytmu serca.

Później zrobiono mu EKG i echo serca metodą Dopplera — jeśli coś się dzieje, z pewnością zostanie wykryte.

Potem przyszła kolej na badania laryngologiczne — gardła, nosa, zatok i uszu.

Nie zgodził się na audiogram, bo nie miał żadnych kłopotów ze słuchem.

Musiał natomiast przejść wziernikowanie krtani oraz rentgen płuc, gdyż jego zapewnienia, że już nie pali, nikogo nie przekonały.

— Przyznaję, czasami zdarza mi się wypalić papierosa, sami państwo rozumiecie...

Nie okazał entuzjazmu wobec perspektywy badania endo-skopowego odbytnicy, ale zapewniono go, że nie jest to bolesne.

Wchodząc na urologię, przewidywał, że będą go wypytywali pod kątem prostaty. I nie pomylił się.

Nie, nie wstaje trzy razy w nocy, żeby siusiać. Nie, nie ma z tym żadnych kłopotów. Zresztą chyba jest za młody na przerost prostaty, prawda?

Na koniec zrobiono mu USG brzucha. Na ekranie mógł zobaczyć swoją wątrobę, trzustkę, śledzionę i pęcherz moczowy.

Spojrzał na zegarek: była druga po południu. Uff! Nareszcie koniec!

Kręciło mu się w głowie i zbierało na wymioty. Przez te kilka godzin zrobiono mu więcej badań niż przez całe jego życie.

— Wyniki otrzyma pan za dwa tygodnie — usłyszał za sobą czyjś głos. Odwróciwszy się, zobaczył doktora Bowly'ego, który patrzył na niego surowo.

— Jak to za dwa tygodnie?! — zawołał z oburzeniem. — Nie mogę czekać aż dwóch tygodni. Jestem osłabiony, chory! Muszę wiedzieć, co mi jest!

— Proszę się uspokoić — odrzekł lekarz — żartowałem. Ogólne wyniki będą gotowe za godzinę. — Przyjrzał się uważniej adwokatowi i powiedział zaniepokojony: — Rzeczywiście wygląda pan na zmęczonego. Jeśli chce pan trochę

odpocząć, mamy wolny pokój na drugim piętrze. Poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła panu coś do zjedzenia.

Nathan przyjął tę propozycję. Wziął swoje ubranie, wszedł do wskazanego pokoju na drugim piętrze, gdzie ubrał się, a potem padł na łóżko.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był uśmiech Mallory.

Mallory była światłem. Mallory była promieniem słońca. Zawsze pełna energii i radości. Łatwo nawiązywała kontakt z ludźmi, podczas gdy on zawsze miał z tym problemy. Kiedyś postanowili odmalować mieszkanie. Przez kilka dni nie zamienił ani słowa z malarzem, gdy tymczasem Mallory wystarczyła godzina, by poznać całe jego życie: od nazwy miasta, gdzie się urodził, po imiona jego dzieci. Nathan nie lekcewał ludzi, ale po prostu nie umiał z nimi rozmawiać. Mallory była nastawiona do ludzi pozytywnie i dlatego zdobywała ich zaufanie. Nathan, w przeciwieństwie do żony, nie miał złudzeń co do ludzkiej natury.

Mimo tak różnych charakterów, przeżyli razem kilka naprawdę szczęśliwych lat. Oboje umieli iść na kompromis. Oczywiście Nathan poświęcał dużo czasu na pracę, lecz Mallory to akceptowała. Rozumiała jego potrzebę wspinania się po szczeblach drabiny społecznej. Nathan zaś nie krytykował zaangażowania żony w przeróżne akcje protestacyjne, choć niekiedy uważał je za bardzo naiwne, wręcz groteskowe. Narodziny Bonnie pogłębiły jeszcze bardziej ich więź.

W głębi duszy wierzył, że ich małżeństwu nic nie zagraża. A przecież w końcu tak bardzo się od siebie oddalili.

Stało się to głównie z powodu pracy, która pochłaniała go coraz bardziej, w miarę jak brał na siebie coraz to nowe zobowiązania. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ich małżeństwo rozpadło się w dużej mierze dlatego, że nigdy nie miał czasu dla rodziny.

Przede wszystkim jednak zaważyła na tym śmierć Seana, ich drugiego dziecka, które zmarło, mając trzy miesiące.

Zdarzyło się to trzy lata temu zimą, na początku lutego.



Z mało rozumiały dla niego powodów Mallory nie zgodziła się wynająć niani do dzieci. A przecież można było zatrudnić którąś z filipińskich dziewcząt. W Ameryce jest ich pełno. Wszyscy jego znajomi tak robili. Mallory tłumaczyła jednak, że te kobiety, by zająć się wychowywaniem dzieci bogatych Amerykanów, musiały opuścić ojczyznę i zostawić własne dzieci. Wolność kobiet Północy nie może realizować się poprzez zniewolenie kobiet Południa. Dziećmi muszą opiekować się rodzice, a nie obcy ludzie. Ojcowie także powinni uczestniczyć w wychowywaniu dzieci, i to wszystko. Jeśli ktoś próbował protestować przeciw tej opinii, wykazując, że filipińska niania może zarobione pieniądze przeznaczyć na edukację własnych dzieci, Mallory uznawała go za odrażającego neokapitalistę. Po burzliwej dyskusji oponent w końcu żałował, że w ogóle wkroczył na tak śliski teren. Tego popołudnia Nathan wyszedł z biura wcześniej niż zwykle. Mallory wybierała się z comiesięczną wizytą do swoich rodziców. Zazwyczaj zabierała ze sobą Bonnie, ale mała miała anginę, postanowili więc, że zostanie w Nowym Jorku z ojcem.

Mallory wylatywała samolotem o osiemnastej. Nathan minął się z nią w progu. Szybko pocałowała go na pożegnanie, mówiąc: „Wszystko ci przygotowałam. Musisz tylko odgrzać butelki małego w mikrofalówce. I nie zapomnij przytrzymać go, żeby mu się odbiło...”.

Tak więc został sam z dwójką dzieci. Dla Bonnie miał swoją sekretną broń: kasetę wideo z bajką *Zakochany kundel*. Jednym z szalonych pomysłów Mallory było bojkotowanie firmy Disneya. Uważała, że wszystkie gadżety z Myszka Miki są sprowadzane z Chin lub Haiti, gdzie zmusza się do pracy nieletnie dzieci. Jednak ten obywatelski akt nie podobał się Bonnie, którą pozbawiano w ten sposób tak wspaniałej rozrywki, jaką jest oglądanie filmów rysunkowych.

Dal więc Bonnie kasetę, każąc jej najpierw obiecać, że nie powie o tym mamie. Mała, bardzo zadowolona, zasiadła przed telewizorem.

Nathan położył Seana w kołysce, którą ustawił przy swoim biurku. Było to dziecko spokojne i zdrowe. O dziewiętnastej dostał swoją butelkę, a potem zasnął. Nathan bardzo lubił zajmować się dziećmi. Jednak tego wieczoru nie mógł oderwać myśli od trudnej sprawy, nad którą właśnie pracował. Zresztą zawsze powierzano mu sprawy szczególnie trudne, co zmuszało go coraz częściej do zabierania dokumentów do domu.

Po obejrzeniu bajki Bonnie zażyczyła sobie, by zrobić jej spaghetti, bo cóż innego można jeść po filmie *Zakochany kundel*? Przygotował jej jedzenie, ale sam nie był w stanie nic przełknąć. Potem Bonnie poszła bez oporów do łóżka.

Nathan pracował pełną parą przez cztery godziny, o północy dał Seanowi ostatnią butelkę, po czym sam poszedł spać. Padał ze zmęczenia, a musiał wstać bardzo wcześnie. Organizm Seana działał jak zegarek. Ponieważ nie budził się w nocy, Nathan był przekonany, że może spać aż do szóstej rano.

Tymczasem nazajutrz rano jego synek był martwy. Leżał na brzuszku. Kiedy podnosił tę maleńką, tak lekką istotkę, zauważył na prześcieradle plamę różowej śliny. Ogarnęło go przerażenie, bo natychmiast zrozumiał, co się stało.

Dziecko umarło, nie wydając żadnego dźwięku. Nathan był tego pewien, bo miał lekki sen, a nie słyszał żadnego płaczu ani krzyku.

W dzisiejszych czasach dobrze znane są przypadki takich nagłych zgonów niemowląt. Podobnie jak wszyscy rodzice on i Mallory zostali uprzedzeni, by nie kłaść dziecka do snu na brzuszku, i dlatego zawsze układali Seana na wznak, stosując się do zaleceń pediatry.

Pilnowali także, by twarzyczka małego była odkryta, by miał dostęp powietrza, by temperatura w jego pokoju nie była za wysoka (Mallory zainstalowała nawet termostat, który utrzymywał stałą temperaturę 20 stopni C), kupili specjalny

twardy materacyk, spełniający wszystkie wymogi bezpieczeństwa. Czy można być lepszymi rodzicami?

Po wielokroć zadawano mu to samo pytanie: „Czy na pewno położył dziecko na plecach?”. Ależ tak, tak, tak! Jak zawsze. Prawdę mówiąc, nie pamiętał dokładnie momentu, gdy układał małego. Nie przypominał sobie tej sceny. Dokładnie pamiętał tylko to, że tego przekłętego wieczoru umysł miał całkowicie zajęty tą cholerną sprawą, dotyczącą połączenia dwóch firm lotniczych.

Odkąd został ojcem, nigdy nie ułożył do snu żadnego ze swoich dzieci na brzuchu ani nawet na boczku. Dlaczego miałby to zrobić tego wieczoru? To niemożliwe. Wiedział, że tego nie zrobił, ale nie pamiętał tego konkretnie momentu, gdy układał synka do snu. Ta niepewność dręczyła go i pogłębiała poczucie winy.

Potem Mallory zaczęła obwiniać się o to, że nie karmiła małego piersią. Jakby to mogło coś zmienić!

Dlaczego ich małżeństwo po tym dramacie się rozpadło, zamiast się wzmocnić? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, choć stawiał je sobie codziennie. Nie umiał wyjaśnić potrzeby oddalenia się, jaką czuło każde z nich.

Nagle przebywanie z żoną stało się nie do zniesienia. Jak żyć, czując na sobie jej spojrzenie, którym może nawet nieświadomie oskarżała go o śmierć Seana? O czym rozmawiać po powrocie do domu? Snuć wspomnienia? „Pamiętasz, jaki był śliczny? Pamiętasz, jak na niego czekaliśmy? Jacy byliśmy z niego dumni? Pamiętasz miejsce, gdzie go poczęliśmy? W domku w ośrodku narciarskim White Mountains... Pamiętasz... Pamiętasz...”.

Na niektóre z jej pytań nie potrafił odpowiedzieć: „Czy myślisz, Nathanie, że on jest teraz w niebie? Czy wierzysz, że jest jakieś życie po śmierci?”.

Niczego nie wiedział. W nic nie wierzył. Została w nim tylko otwarta rana, bezgraniczny żal, straszliwa świadomość, że opuścił swoje dziecko.

Był przybity, załamany. Przez długi czas jego rozpacz była tak wielka, że nie miał ochoty na nic, bo nic nie mogło przywrócić mu synka.

Żeby jakoś żyć, pograżył się w pracy. Ale w biurze, wszędzie, gdzie się pojawiał, zadawano mu wciąż to samo pytanie: „Jak się ma twoja żona?”.

Pytano tylko o jego żonę.

A on? A jego cierpienie? Kto się nim przejmował? Nikt nie zainteresował się tym, jak on się czuje, jak to przeżył. Wszyscy mieli go za silnego

człowieka. *A tough man*. Bo takim był w pracy — bezlitosnym

twardzielem, który nie ma prawa do łez i rozpaczy.

Nathan otworzył oczy i usiadł gwałtownie.

Wiedział, że ta rana nigdy się nie zablizni.

Oczywiście pozostaną wspaniałe chwile z córką, przyjemność z uprawiania sportu, śmiech z żartu współpracownika. Ale i w takich

momentach będzie w nim tkwić bolesne wspomnienie o Seanie.

Godzinę potem, siedząc w fotelu naprzeciwko doktora Bow-ly'ego,

Nathan przyglądał się kawałkowi pergaminu w złoczonej ramce z

sentencją Hipokratesa:

*Vita brevis, ars longa, experimentum periculosum, iudicium difficile.*

— Życie jest krótkie, sztuka długotrwała, eksperyment niebezpieczny, osąd trudny — przetłumaczył lekarz. — To znaczy...

— Wiem, co to znaczy — przerwał mu Nathan. — Skończyłem prawo, nie jestem jedną z tych modnych gwiazd popu, które przychodzą tu na odwyk.

— Oczywiście — mruknął urażony lekarz.

Podał Nathanowi plik około trzydziestu kartek z napisem RAPORT LEKARSKI.

Nathan, przejrzawszy pobieżnie kilka stron, podniósł wzrok na Bowly'ego i zapytał z lękiem:

— Co z tego wszystkiego wynika?

Lekarz westchnął kilka razy, by spotęgować napięcie. Nathan przełknął ślinę.

Ten typ to prawdziwy sadysta. No, mów, powiedz, że wkrótce zdechnę!

— No cóż, nie wygląda na to, żeby miał pan już jutro umrzeć. W pańskich wynikach nie ma niczego alarmującego.

— Jest pan pewny? Ale przecież boli mnie serce...

— Nie ma pan nadciśnienia.

— A poziom cholesterolu? Bowly pokręcił głową.

— Poziom LDL, czyli złego cholesterolu, nie jest niepokojący.

— A ten ból w piersi?

— To nic poważnego. Kardiolog przypuszcza, że być może ma pan utajoną dusznicę bolesną, spowodowaną stresem.

— Nie ma niebezpieczeństwa zawału serca?

— To bardzo mało prawdopodobne. Jednak na wszelki wypadek, gdyby ból nie ustępował, dam panu lek w postaci aerozolu na bazie nitrogliceryny. Najlepiej zrobiłby panu odpoczynek.

Nathan wziął lekarstwo, które podał mu Bowly. Miał ochotę go uściskać. Pozbył się ciężaru, jakby kamień spadł mu z serca.

Lekarz długo jeszcze omawiał wyniki poszczególnych badań, lecz Nathan go nie słuchał. Wiedział to, co najważniejsze — nie grozi mu szybka śmierć.

Kiedy znalazł się w samochodzie, przeczytał uważnie wnioski pod każdym badaniem. Nie ulegało wątpliwości — stan jego zdrowia jest doskonały. Nigdy nie czuł się tak dobrze. W ciągu kilku minut jego samopoczucie znacznie się polepszyło.

Spojrzał na zegarek. Czy rzeczywiście potrzebuje długiego urlopu? Teraz, kiedy już się uspokoił, czy nie lepiej byłoby wrócić do pracy? Nathan Del Amico wraca na posterunek. Abby, proszę mi przynieść teczkę sprawy Rightby's i przywrócić odwołane spotkania. Czy mogłaby pani dziś wieczorem zostać trochę dłużej? Czeka nas masa roboty! Nie. Wprawdzie czuje się lepiej, ale nie należy przesadzać. Zdawał sobie przecież sprawę, że nie wszystko jest w porządku. Poza tym naprawdę chciał pojechać po Bonnie.

Zapalił silnik i ruszył w kierunku Central Parku.

Miał ochotę na alkohol i papierosy. Włożył rękę do kieszeni marynarki i ze znajdującej się tam paczki wyjął dwa papierosy. „Nie palę, noszę je przy sobie tylko po to, żeby zająć czymś ręce” — przedrzeźniał w myśli sam siebie. Zapalił dwa papierosy naraz i wybuchnął głośnym śmiechem. Śmierć nie jest mu jeszcze pisana.

## 8

### *Czy wszyscy jesteśmy samotni w ciemności tego życia?* **z filmu Jamesa Camerona *Otchłań***

Po powrocie do domu przyrządził sobie makaron — penne rigatte z bazylią i parmezanem, a do tego wziął butelkę dobrego wina kalifornijskiego. Kiedy zjadł, wziął prysznic, po czym włożył kaszmirowy golf i elegancki garnitur.

Zszedł do garażu i tym razem wsiadł do jaguara. Czuł się jak nowo narodzony. Jutro wróci do biegania, a potem poprosi Petera, by zarezerwował mu miejsca na mecz koszykówki w Madison Square Garden. Ze schowka na rękawiczki wybrał jedną z kilkunastu płyt, których lubił słuchać podczas jazdy. Włożył do odtwarzacza album Erica Claptona, by nacieszyć się niezapomnianą melodią piosenki *Lay la*. To jest prawdziwa muzyka!

Oto, co będzie robił podczas tych kilku dni urlopu: poświęci czas na rzeczy, które naprawdę lubi. Ma pieniądze, mieszka w jednym z najpiękniejszych miast świata, życie mogłoby być znacznie gorsze. Ulżyło mu. Teraz mógł się przyznać do tego, że się przestraszył. Nic go już nie bolało. To był tylko stres. Haracz, który trzeba płacić w dzisiejszym świecie.

Nastawił głośniej muzykę, otworzył okno i patrząc w niebo, wrzasnął, przekrzykując ryk silnika. Świadom, że wypił za

dużo kalifornijskiego chardonnay, nakazał sobie ograniczenie szybkości. Nie byłby to dobry moment na wypadek.

Wjechał na prom, po czym dotarł do centrum chirurgicznego, w którym był poprzedniego dnia, lecz doktora Goodricha w klinice nie było.

— O tej porze znajdzie go pan w hospicjum — poinformowała recepcjonistka przy wejściu, zapisując adres na kartce.

Nathan wybiegł w pośpiechu. Bardzo zależało mu na tym, by jak najszybciej powiedzieć Garrettowi o wynikach badań.

Po pięciu minutach był przed budynkiem hospicjum, piękną budowlą z różowego granitu, otoczoną zielenią.

Kiedy pchnął drzwi na parterze, doznał dziwnego wrażenia. Wnętrze zdecydowanie nie przypominało miejsca, w którym znajdują się chorzy.

Nie było tu żadnych urządzeń medycznych ani bieganiny charakterystycznej dla szpitali. W holu królowała wysoka, tradycyjnie ubrana choinka. Pod drzewkiem położono już pierwsze prezenty. Nathan podszedł do szerokich oszklonych drzwi, wychodzących na niewielki, pokryty śniegiem, rześcicie oświetlony ogród. Zrobiło się już ciemno i w powietrzu wirowały pojedyncze płatki. Potem skierował kroki na korytarz prowadzący do wielkiej wspólnej sali, której ściany obite były purpurowymi tkaninami. Wszędzie stały małe świece, słychać było cichą, przepiękną muzykę sakralną. Panowała atmosfera spokoju i bezpieczeństwa.

Personel wydawał się bardzo zajęty, więc nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Nathan przez chwilę przyglądał się młodej kobiecie, siedzącej w fotelu na kółkach. Była wychudzona, a jej głowa była nienaturalnie nieruchoma i przechylona na bok. Pielęgniarz podawał jej łyżeczką zupę, komentując jednocześnie program pokazywany w telewizji.

Nathan poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

— Witam pana — pozdrowił go Goodrich, niespecjalnie zdziwiony jego widokiem. — A więc przyszedł pan złożyć nam wizytę?



- To robi wrażenie, Garrett. Nigdy nie byłem w takim miejscu.

Lekarz oprowadził go po budynku. Oddział miał sto łóżek, które zajmowali ludzie cierpiący na nieuleczalne choroby, najczęściej były to nowotwory w ostatnim stadium, aids lub choroby neurologiczne. Wielu pacjentów było wyniszczonych fizycznie i początkowo Nathan czuł się nieswojo, napotykał ich wzrok.

Gdy skręcali w kolejny korytarz, odważył się zapytać Goodricha:

— Czy ci chorzy wiedzą...?

- Że umrą? Oczywiście. Nie okłamujemy ich. Ostatnia godzina życia powinna być wolna od kłamstwa.

Garrett wraz z towarzyszącym mu Nathanem kończył wieczorny obchód. Zatrzymywał się przy każdym chorym, zamieniał z nim parę słów, uśmiechem dodając otuchy. Najczęściej rozmowa nie dotyczyła choroby, pytał raczej o rodzinę lub przyjaciół, którzy przychodzili w odwiedziny. Z niektórymi wdawał się w dłuższe dyskusje na temat ostatnich wyników sportowych, prognozy pogody lub wydarzeń międzynarodowych.

Wyjątkowo łatwo nawiązywał kontakt i wpływał na nastrój pacjenta. Nawet chorzy mniej skłonni do rozmowy w końcu się rozchmurzali i rzadko się zdarzało, by nie żegnali go z uśmiechem.

Nathan pomyślał, że ten facet byłby świetnym adwokatem.

Wizyta w hospicjum wywarła na nim ogromne wrażenie. Panująca tu atmosfera nie wydała mu się tak ponura, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Chorzy zachowywali się tak, jakby odroczone im na jakiś czas wyrok śmierci, o którym doskonale wiedzieli.

Goodrich przedstawił mu kilkoro ze sporej grupy wolontariuszy. Nathan odczuwał szczerą podziw dla tych ludzi, poświęcających część swojego wolnego czasu innym. Mimo woli pomyślał o żonie. Znał ją dobrze i wiedział, że byłaby tu w swoim żywiole, że umiałaby tchnąć więcej światła i op-

tymizmu w serca chorych. Chciałby też odczuwać taką empatię wobec innych ludzi, ale nigdy tego nie potrafił.

Żeby nie być jedyną w tym budynku osobą bez zajęcia, przeszedł przez kilka pokoi, proponując nieśmiało pomoc. Z młodym fotografem chorym na aids porozmawiał o audycji telewizyjnej, starszemu mężczyźnie po tracheotomii pomógł przy jedzeniu.

Przy ostatniej łyżce kompotu Nathan zauważył, że jego ręka lekko drży. Ataki kaszlu i odgłosy rżenia w gardle chorego przerażały go, czuł się coraz bardziej nieswojo. Nie potrafił panować nad emocjami w obliczu takiego cierpienia. Chciał przeprosić tego starego człowieka i odejść, ale chory nawet nie zauważył jego zmieszania. Podziękował mu z uśmiechem i zamknął oczy.

W tym momencie w pokoju pojawił się Goodrich.

— Jak panu idzie?

Adwokat zignorował pytanie. Nie mógł oderwać wzroku od dziwnie spokojnej twarzy umierającego.

— Dlaczego ten człowiek sprawia wrażenie, jakby się nie bał? — zapytał cicho, gdy wychodzili.

Garrett zdjął okulary i przetarł oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Gil jest z jednym z najdłużej przebywających tu pacjentów. Nie jest już młody i pogodził się z chorobą. Pozwoliło to mu pozalać przed odejściem różne sprawy i czekać w spokoju na to, co ma być.

— Ja bym tak nie potrafił — mruknął Nathan.

— Zna pan powiedzenie: „Przestaniesz się bać, jeśli porzucisz nadzieję”? Pasuje do tej sytuacji. Strach przed śmiercią zmniejsza się, gdy przestajemy robić plany na przyszłość.

— Jak można niczego nie oczekiwać?

— Przypuśćmy, że Gil czeka już tylko na tę ostatnią chwilę. Niech pan jednak nie wyciąga mylnych wniosków. Nie wszyscy chorzy odchodzą tak spokojnie jak on. Wielu umiera w gniewie, buntując się przeciw chorobie.

— Tych lepiej rozumiem — przyznał Nathan.

Przez jego twarz przemknął cień smutku. Widząc to, Garrett powiedział ostro:

— Proszę nie robić takiej miny, Del Amico! Tym ludziom potrzeba bezwzględnej miłości i zrozumienia, a nie litości czy rozczulania się. Niech pan nie zapomina, że większość przebywających tu chorych wie, iż będą to ich ostatnie święta Bożego Narodzenia.

— Czy mnie również zalicza pan do ich grona? — zapytał prowokacyjnie Nathan.

— A któż to może wiedzieć? — Goodrich wzruszył ramionami.

Nathan wolał nie drażnić tego tematu. Nie dawało mu spokoju inne pytanie:

— Czy dla takiego lekarza jak pan nie jest to frustrujące?

— Ma pan na myśli... że nie możemy wyleczyć tych ludzi? Nathan skinął głową.

— Nie. Wręcz przeciwnie, to nas stymuluje. To że nie można kogoś wyleczyć, nie oznacza, iż należy zaniechać opieki. Chirurgia działa w coraz większym stopniu w oparciu o bezduszną technikę. Tutaj jest inaczej. Towarzyszymy chorym w ich ostatnich chwilach. A to dla nich znaczy bardzo dużo. Prawdę mówiąc, o wiele łatwiej jest kroić kogoś na stole operacyjnym, niż towarzyszyć mu w odchodzeniu do tego, co nieznane.

— A tak właściwie robicie? Goodrich rozłożył ręce.

— To dość proste. Można choremu czytać, pomagać przy czesaniu, poprawiać poduszkę, zabrać na spacer do parku... Najczęściej jednak nie robi się nic. Siedzi się przy chorym, dzieląc z nim jego cierpienie i strach. Jest się po prostu w pogotowiu, żeby coś przy nim zrobić i wysłuchać go.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, jak można pogodzić się ze śmiercią.

— Ignorowanie śmierci nie jest żadnym rozwiązaniem.

Nasze społeczeństwo, likwidując większość rytuałów związanych z przejściem na tamten świat, uczyniło ze śmierci temat tabu. I dlatego w konfrontacji z nią ludzie czują się tak zagubieni. — Goodrich zrobił kilkusekundową przerwę, po czym dodał: — A przecież śmierć nie jest niczym anormalnym.

Te ostatnie słowa powiedział dobitnie, jakby usiłował przekonać sam siebie.

Stali w holu. Nathan zaczął zapinać płaszcz. Przed wyjściem musiał jednak jeszcze coś powiedzieć:

— Żeby było jasne, Garrett, nie wierzę panu.

— Słucham?

— Wszystko, co pan mówił, całe to gadanie o śmierci i Posłańcach to bzdury. Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

Goodrich nie wydawał się zdziwiony.

— Rozumiem pana. Ktoś, kto uważa, że panuje nad swoim życiem, nie lubi, kiedy podważa się jego pewność siebie.

— Poza tym chciałem pana poinformować, że stan mojego zdrowia jest doskonały. Sądzę, że się pan pomylił. Na razie nie mam zamiaru umierać.

— Miło mi to słyszeć.

— Wziąłem sobie kilka dni urlopu.

— Proszę go dobrze wykorzystać.

— Drażni mnie pan, Garrett.

Nathan nacisnął guzik windy. Goodrich patrzył na niego taksującym wzrokiem. W końcu się zdecydował:

— Myślę, że powinien pan odwiedzić Candice. Nathan westchnął.

— Kim jest ta Candice?

— To młoda kobieta ze Staten Island. Pracuje jako kelnerka w kawiarni Dolce Vita, w centrum handlowym St. George, gdzie czasami wpadam na poranną kawę.

Nathan wzruszył ramionami.

— No i co z tego?

Nagle Nathan przypomniał sobie Kevina.

— Chce pan powiedzieć, że ona... Garret skinął głową.

— Nie wierzę. Zobaczył pan tę kobietę i od razu pana olśniło?

Garrett milczał.

— Jak to się dzieje? Czy jej głowa przesuwa się w tłumie w takt *Marsza żałobnego!*

— Oczywiście, że nie — westchnął Goodrich smutno. — Zdarza się, że ktoś widzi coś w rodzaju białego światła. Ale i to nie jest najważniejsze.

— A co jest najważniejsze?

— To że człowiek nagle wie, iż ta osoba ma przed sobą nie więcej niż kilka tygodni życia.

— Uważam, że jest pan niebezpieczny.

— A ja uważam, że powinien pan złożyć wizytę Candice — odparował Garrett.

*Spójrz, jak daleko rozsiewa swoje światło ta mała świeczka!  
Tak promieniuje w niezycziwym świecie szlachetny czyn.*

**Szekspir**

*12 grudnia*

Kawiarnia Dolce Vita znajdowała się przy jednej z najbardziej ruchliwych uliczek St. George.

O ósmej rano już panował tam spory ruch. Przed ladą barową stały dwie kolejki, ale nie czekało się długo, ponieważ obsługa była sprawna. O tej porze większość klientów stanowili stali bywalcy, najczęściej ludzie pracujący w tej samej dzielnicy, którzy wpadali na chwilę, by kupić cappuccino lub pączka.

Nathan usiadł przy stoliku blisko okna i czekał, aż ktoś przyjmie od niego zamówienie. Rozejrzawszy się po sali, zauważył, że dwie kelnerki obsługują klientów przy barze, a dwie inne siedzących przy stolikach. Którą z nich jest Candice? Goodrich mówił o młodej kobiecie, ale nie podał żadnych szczegółów.

— Co panu przynieść, proszę pana?

Kelnerka, która zadała to pytanie, miała rude włosy i zmęczoną twarz. Z pewnością przekroczyła już czterdziestkę, a na plakietce przypiętej na piersi widniało imię Ellen.

Zamówił pełny zestaw śniadaniowy, który przyniosła niemal natychmiast.

Popijając kawę, obserwował kelnerki przy ladzie. Jedna, brunetka z ustami pomalowanymi szminką z błyszcznikiem, z ostrym makijażem, nie miała chyba więcej niż dwadzieścia lat. Przyciągała męskie spojrzenia wydatnym biustem, który świadomie eksponowała. Wyczuwało się, że lubi zwracać na siebie uwagę, a w każdym jej geście była zmysłowa prowokacja. Draga z nich, zachowująca się o wiele spokojniej, z pewnością starsza, była niewysoka i miała krótko obcięte jasne włosy. Szybka i zręczna, obsługiwała klientów znacznie sprawniej niż jej koleżanka. Była to sympatyczna dziewczyna, wyglądająca zwyczajnie i niewyzywająco.

Nathan domyślił się, że chodzi właśnie o nią. Żeby się upewnić, podszedł do kasy, gdzie stał chromowany pojemnik z papierowymi serwetkami. Przysunął się jak mógł najbliżej, by odczytać plaketkę blondynki. Nazywała się Candice Cook.

Przesiedział w kawiarni pół godziny. W końcu zaczął się zastanawiać, co tu właściwie robi. Wczoraj postanowił, że zapomni o dziwnych pomysłach Goodricha. Mimo to dziś rano wybrał się na Staten Island. Pchała go ku temu jakaś wewnętrzna, niepojęta siła. Czy to ciekawość? Euforia wynikająca z upewnienia się, że jest zdrowy? A może lęk, że Goodrich okaże się bardziej przenikliwy od innych lekarzy? Bez wątpienia wszystko razem. Goodrich miał talent do stawiania go w kłopotliwych sytuacjach. Trzeba przyznać, że od czasu samobójstwa Kevina Nathan zaczął inaczej patrzeć na świat. Wydawało mu się, że wszędzie czai się niebezpieczeństwo, zagrażające jemu i innym. I dlatego chciał zobaczyć Candice. Nie mógł jednak siedzieć tu cały ranek. Dawno już zjadł śniadanie i w końcu zwrócił na siebie uwagę. Poza tym, co może się przydarzyć tej młodej kobiecie w tak spokojnej dzielnicy?

Wyszedł na ulicę. Z przyzwyczajenia kupił „Wall Street Journal”, a potem zajrzał do kilku sklepów tutejszego centrum handlowego. Skorzystał z okazji, by zrobić świąteczne zakupy

z dala od zatłoczonego Manhattanu. Zresztą było tego niedużo: kilka partytur i komputerowy program muzyczny dla Bonnie, butelka dobrego francuskiego wina dla Abby oraz obcinacz cygar dla tego idioty Jordana. Kupowanie czegoś dla Mallory nie miało sensu, bo i tak tego nie przyjmie i pogłębi jeszcze i tak już niezręczną sytuację.

Wrócił do zaparkowanego naprzeciwko kawiarni land-rovera, mniej rzucającego się w oczy niż jaguar. Mijając kawiarnię, rzucił okiem przez oszklone witryny — tłum klientów przerzedził się, ale Candice wciąż była na posterunku.

Włożył kluczyk do stacyjki, ale się rozmyślił. Nie mógł podjąć decyzji, zupełnie jakby coś w irracjonalny sposób nakazywało mu, by się stąd nie oddalał. Posłuchał więc swojego instynktu i rozłożył gazetę. Zachowywał się niczym detektyw.

O jedenastej trzydzieści zadzwoniła jego komórka.

— Cześć, tatusiu.

— Bonnie? Nie jesteś w szkole?

— Dziś nie mamy lekcji. W szkole mają sprawdzać instalację alarmową.

— Co robisz?

— Jem śniadanie — odpowiedziała, ziewając. — Nie zapominaj, że u nas jest dopiero ósma rano.

— A gdzie mama?

— Pod prysznicem.

Bonnie wolno było dzwonić do ojca, kiedy tylko chciała. Tak ustalili z Mallory. Usłyszał, że mała znowu ziewa.

— Poszłaś późno spać?

— Tak. Vince zabrał nas wczoraj wieczorem do kina.

Te słowa podziałały na niego jak kopnięcie prądem. Jego żona od kilku miesięcy spotykała się z dawnym kolegą, Vince'em Tylerem, z którym trochę romansowała na pierwszym roku studiów. Vince pochodził z bogatej kalifornijskiej rodziny, którą Wexlerowie znali od dawna. O ile Nathan dobrze rozumiał, Vince żył z dywidend, jakie przynosiły mu akcje przedsiębiorstwa kosmetycznego, odziedziczonego po rodzi-



cach. Od kilku lat rozwiedziony. Odkąd Mallory znowu zamieszkała w San Diego, uwierzył, że ma u niej szanse.

Nathan nie cierpiał Tylera. Z wzajemnością.

Kiedy jednak rozmawiał z córką, pilnował się, by nie powiedzieć o nim czegoś lekceważącego, na wypadek gdyby Mallory miała zamiar ułożyć sobie z nim życie. Bonnie, która źle znosiła separację rodziców, agresywnie reagowała na każdego mężczyznę, który zbliżał się do matki. Nie wolno mu było wciągać córeczki w spory dorosłych.

— Dobrze spędziłaś ten wieczór? — zapytał.

— Przecież wiesz, że nie lubię Vince'a. I masz po stokroć rację, kochanie.

— Słuchaj, Bonnie, jeśli mama któregoś dnia postanowi powtórnie wyjść za mąż, nie smuć się z tego powodu.

— Dlaczego?

— Mama chce się czuć bezpieczna i być może to Vince się wami zaopiekuje.

— Mam już mamę i tatę, którzy mną się opiekują.

— Oczywiście, ale w życiu nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

Przypomniał sobie słowa Goodricha. A jeśli mówił prawdę? Może śmierć puka już do jego drzwi?

— Co się może wydarzyć?

— Nie wiem.

— Vince nie jest moim ojcem.

— Oczywiście, kochanie. — Z ogromnym wysiłkiem dodał: — Może Vince nie jest taki zły. Może mama będzie z nim szczęśliwa.

— Przedtem mówiłaś, że to drań!

— Nie używaj takich słów, Bonnie.

— Powiedziałaś tak, rozmawiając z mamą!

— Nie bardzo go lubię, to prawda — przyznał niechętnie Nathan. — Ale to pewnie dlatego, że nie jesteśmy z tego samego środowiska. Wiesz, ludzie tacy jak Vince są w czepku urodzeni.

— W czepku?

— Tak się mówi, kochanie. To znaczy, że jego rodzina zawsze była bogata. Vince nie musiał pracować, żeby opłacać swoje studia. Ja natomiast musiałem myć samochody i harować w brudnych magazynach Brooklynu.

— Mama i Vince często wychodzili razem, kiedy byli młodzi?

— Mów ciszej, kochanie, mama nie będzie zadowolona, kiedy usłyszysz, o czym rozmawiamy.

Żeby go uspokoić, szepnęła:

— Nie bój się, jestem w swoim pokoju. Grzeję się przy kaloryferze.

Bez trudu wyobraził sobie córeczkę w bawełnianej piżamce z wizerunkiem Joego O'Lanterny i bamboszkach w stylu Harry'ego Pottera. Uwielbiał mieć z nią sekrety.

— Spotkali się z parę razy, ale nie było to nic poważnego. Bonnie milczała przez chwilę, co oznaczało, że się zastanawia, po czym powiedziała:

— Mama też jest w czepku urodzona!

— Właściwie tak. Ale mama jest inna, nie pogardza ludźmi, którzy nie są z jej środowiska. Jest szlachetna.

— Tak, wiem.

— I ty też musisz być taka, rozumiesz? Nie wolno ci pogardzać tymi, którzy sprzątają w twojej szkole lub pracują w stołówce. Można zasługiwać na szacunek, nawet jeśli nie zarabia się dużo, pamiętaj o tym. Ponieważ była inteligentna, przypomniała mu jego własne słowa:

— Zawsze powtarzasz, że w Ameryce ci, którzy chcą zdobyć pieniądze, w końcu je zdobywają.

— Mnie także, jak każdemu, zdarza się czasem mówić głupstwa.

— Czy mam gardzić bogatymi?

— Oczywiście, że nie. Nie osądzaj ludzi według ich majątku, ale według ich charakteru. Jasne?

— Jasne, tatusiu.

Potem poufnym tonem dodała:

— Wiesz, wydaje mi się, że mama nie kocha Vince'a. Zaskoczony tą uwagą potrzebował chwili, nim powiedział:

— Czasami miłość nie jest potrzebna, żeby z kimś mieszkać. Dlaczego mówię jej takie rzeczy? Przecież jest jeszcze małą dziewczynką. Nie może tego zrozumieć.

— Myślę jednak, że mama potrzebuje miłości. Nathan usłyszał głos Mallory, wołającej córkę do kuchni.

— Muszę już iść.

— Dobrze, kochanie.

— Jestem pewna, że mama nie kocha Vince'a — powtórzyła szeptem Bonnie. — Kobiety wiedzą takie rzeczy.

Była rozczulająca. Żeby ukryć wzruszenie, zmusił się do surowego tonu i powiedział:

— Nie jesteś jeszcze kobietą. Jesteś małą dziewczynką, która musi szybko zejść do kuchni i zjeść zupkę mleczną. Ale ja i tak cię kocham, wiewióreczko. Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

— Ja też cię kocham.

Nathan włączył ogrzewanie, zastanawiając się nad tym, co powiedziała córka.

Prawdę mówiąc, nie rozumiał, co jego żona widzi w Tylerze. Był zarozumiały i arogancki, przekonany, że samo pochodzenie daje mu wyższość nad innymi.

Mimo to Vince miał podstawy, by wierzyć w swoje szanse. Był na miejscu, dostępny w każdej chwili, mógł codziennie widywać się z Mallory. Po raz pierwszy Nathanowi przyszła do głowy myśl, że być może stracił ją na zawsze.

Może to dziwne, ale już w momencie rozwodu wierzył, że żona kiedyś do niego wróci, że to tylko chwilowe rozstanie. I dlatego nawet przez moment nie pomyślał, że mógłby związać się z inną kobietą. Od rozwodu spotykał się parę razy z kobie-

tami, ale nie było to nic poważnego. Zresztą żadna z nich nie mogłaby zastąpić Mallory.

Niczym poszukiwacz skarbów wyłowił ją z głębin jeziora Sankaty Head. I to uczyniło jego miłość niezłomną.

Candice skończyła pracę o drugiej po południu.

Ubrana w wyblakłe džinsy i skórzaną kurtkę, wsiadła do starego poobijanego pikapa, zaparkowanego w pobliżu kawiarni. Nathan ruszył za nią. O tej porze ruch był dość duży. Jak na filmach, na najbliższym czerwonym świetle wpuścił między siebie i Candice dwa samochody.

Nigdy nikogo nie śledził i bał się, że może zostać zauważony.

Pikap opuścił centrum i skierował się na południe. Candice jechała jakieś dwadzieścia minut, po czym zatrzymała się w skromnej, cichej dzielnicy. Zaparkowała wóz przed domem stojącym na niewielkiej parceli.

Czyżby tu mieszkała?

Gdy zadzwoniła, drzwi otworzyła tęga kobieta o dobrodusznym wyglądzie. Candice weszła do środka. Ukazała się po pięciu minutach, niosąc na rękach mniej więcej rocznego chłopczyka, ubranego w za dużą kurtkę.

— Dzięki ci, Taniu! — zawołała wesoło do kobiety.

Chłopczyk mocno się do niej przytulił. Candice włożyła mu jaskrawoczerwoną czapkę.

Posadziła chłopczyka w foteliku na tylnym siedzeniu i pojechała na znajdujący się w sąsiedztwie parking przed centrum handlowym. Tam włożyła synka do wózka i weszła do sklepu. Nathan krążył za nią między półkami.

Candice robiła zakupy z namysłem, pewnie musiała się liczyć z każdym groszem. Choć wybierała raczej tańsze produkty, wyglądało na to, że ta czynność sprawia jej przyjemność. Od czasu do czasu przystawała, by szepnąć coś synkowi, pocałować go i pokazać mu palcem jakieś bardziej oryginalne towary. „Spójrz, Josh, jaka gruba ryba! A tu, widzisz, jaki piękny ananas?”.

Mały, cały czas uśmiechnięty, spoglądał ciekawie szeroko otwartymi oczkami na wszystko, co go otaczało. Candice wielokrotnie powtarzała mu, że jest śliczny i bardzo grzeczny, a na koniec w nagrodę kupiła mu paczuszkę ślazowych cukierków.

Nathan zorientował się od razu, że ta kobieta nie ma żalu do losu i jest naprawdę szczęśliwa.

Zastanawiał się, czy z kimś mieszka. A może jest samotną matką?

Bardziej prawdopodobna wydała mu się ta druga możliwość, jednak do momentu, gdy Candice zatrzymała się przed sklepem z alkoholami, gdzie kupiła karton budweisera.

Zdziwiło go to, bo nie wyobrażał jej sobie pijącej piwo.

Na parkingu stanął tuż koło niej. Miała pogodną twarz. Spojrzał na dziecko i pomyślał o swoim synku.

Wsiadła do pikapa, a on jechał za nią przez usianą niewysokimi pagórkami Staten Island. Niewielka wyspa znajdowała się bliżej New Jersey niż Nowego Jorku. Daleko było stąd do ścisłu panującego w Village. Przeważały tu małe domki, a spokojna atmosfera bardzo różniła się od tej na Manhattanie.

Ta podmiejska dzielnica rozrastała się od czasu, gdy część mieszkańców Brooklynu przeniosła się tutaj w poszukiwaniu ciszy i spokoju. Ci, którzy pozostali w centrum, odnosili się z pogardą do tego miejsca, nazywając je wiochą. Natomiast mieszkańcy Staten Island domagali się samorządności, oddzielenia od Manhattanu, nie chcąc dłużej płacić wygórowanych podatków, z których korzyści czerpał tylko ich rozrzutny sąsiad.

Candice dojechała do parceli, na której stał domek Tani, minęła go, skręciła w prawo w wyasfaltowaną uliczkę i zatrzymała się przed jednym z ostatnich domów.

Nathan stanął pięćdziesiąt metrów za nią. Przypomnił sobie, że w zeszłym roku, podczas weekendu spędzonego z Bonnie w Stowe Mountain kupił lornetkę. Zaczął jej nerwowo szukać,

aż znalazł pod jednym z foteli. Szybko ją stamtąd wyciągnął i skierował na dom Candice Cook.

Młoda kobieta wesoło rozmawiała z jakimś mężczyzną.

Facet był wysoki, zgrabny, szczupły, po sześćdziesiątce, w baseballowej czapce na głowie, z papierosem wetkniętym za ucho. Nathan dostrzegł w nim pewne podobieństwo do Clinta Eastwooda.

Może to jej ojciec?

Mężczyzna przerwał malowanie werandy, by pomóc Candice w wyjmowaniu z bagażnika toreb z zakupami. Sprawiali wrażenie, że świetnie się rozumieją.

„Clint” wyjął dziecko z samochodu. Mały pogrzebał w torebce z cukierkami i włożył jeden z nich dziadkowi do ust, podczas gdy Candice wprowadzała wóz do garażu.

Najwyraźniej tu mieszka.

Kobieta wniosła dziecko do domu, a mężczyzna zabrał się do mycia pędzli. Po chwili przyniosła mu butelkę dopiero co kupionego budweisera. „Clint” przyjął piwo z wdzięcznością, położył rękę na jej ramieniu i razem weszli do domu.

Zapadał już zmierzch, zrobiło się szaro.

W salonie zapaliło się światło i na tle okna pojawiły się trzy sylwetki, migające niczym cienie w chińskim teatryku. Słychać było śmiechy i odgłosy włączonego telewizora. Nathan zastanawiał się, dlaczego ta kobieta mieszka z ojcem.

Długo siedział bez ruchu, będąc biernym świadkiem cudzego szczęścia.

Wszyscy ludzie po powrocie do domu opowiadają bliskim, jak minął dzień, rozmawiają o codziennych sprawach, robią plany na najbliższy weekend.

On nie miał już tego wszystkiego.

Ogarnął go smutek. Włączył ogrzewanie i schował lornetkę, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak podglądacz.

Już zamierzał odjechać, gdy zadzwoniła komórka. Pomyślał, że to ktoś z kancelarii, ale był to tylko SMS:

Sprawdź pocztę. Garrett Goodrich.

Czego on może chcieć? Po kilku sekundach wahania Nathan zapalił światło wewnątrz wozu, wyjął z teczki laptopa i podłączył komórkę, by sprawdzić pocztę. Miał trzy wiadomości.

Pierwsza od Abby: „Miłego urlopu. Wesołych świąt Bożego Narodzenia dla pana i dla pańskiej córki”. Jak zawsze dorzuciła jeszcze jakiś cytat: „Mężczyzna, który nie spędza świąt ze swoją rodziną, nigdy nie będzie prawdziwym mężczyzną”. Nathan uśmiechnął się do siebie. To była ich stała gra, polegająca na tym, by odgadnąć, z jakiego filmu pochodzą cytaty, którymi wciąż się przerzucali. Tym razem zagadka była bardzo łatwa. Nacisnęła ikonkę „odpowiedz nadawcy” i wystukał: „Vito Corleone w *Ojcu chrzestnym*”.

Drugą było zdjęcie od Bonnie. Trzymała na nim przytulonego do policzka królika Bugsa.

Odkąd Mallory kupiła jej aparat cyfrowy, Bonnie regularnie przesyłała mu zdjęcia. Na karteczce umieszczonej nad swoją głową napisała flamastrem:

**JA I BUGS CZEKAMY NA CIEBIE W PRZYSZŁĄ SOBOTĘ.**

Długo przyglądał się fotografii, jak zawsze wzruszony widokiem ślicznej twarzyczki córki — jej kręconych niesfornych włosów, figlarnych oczu, podobnych do oczu Mallory, drobnych, nieco rozsuniętych ząbków, widocznych, kiedy się tak uroczo uśmiechała.

Nie wiadomo dlaczego poczuł się szczęśliwy i jednocześnie smutny.

Odczytanie ostatniej wiadomości zabrało mu trochę czasu. Zawierała tylko krótką informację w postaci czterech liter: MPEG. Znał doskonale tę technologię: za pomocą kamery

cyfrowej można było sfilmować coś i przenieść to na płytę, a następnie przesłać e-mailem.

Nathan sprawdził adres nadawcy. Skrzynka Goodricha. Począł, aż ściągnie się cały film. Obraz był dość wyraźny, ale podzielony na kilka kratek.

Spojrzał na datę na dole ekranu: nagrania dokonano niecałe trzy miesiące temu.

Pierwsze ujęcie zrobiono z okna samochodu. Sądząc po znakach drogowych — w Teksasie. W Houston. Widać było, że samochód opuszcza centrum, kieruje się do pierwszego zjazdu na obwodnicę. Nathan był tylko raz w tym największym teksańskim mieście, ale zachował z niej raczej niemiłe wspomnienia. Pamiętał, że jest to miasto o rozległej zabudowie, wciąż zakorkowane, z dokuczliwym upałem i smogiem. Słyszał nawet, że niektóre kancelarie adwokackie mają kłopot z rekrutacją nowych pracowników z powodu niepocholebnej opinii o mieście, w którym nie zdołano się uporać z problemem ochrony środowiska i jakości życia.

Na wielopoziomowym skrzyżowaniu wóz zjechał w kierunku dzielnic podmiejskich, gdzie czynsze nie były aż tak wygórowane. Kamera zarejestrowała jakieś zakłady przemysłowe, aż w końcu samochód zatrzymał się przed lichym domem z brudnej cegły.

Czy to Goodrich robił te zdjęcia? W każdym razie autor filmu postarał się tak dokładnie sfilmować drogowskazy, że z łatwością dałoby się odszukać drogę do tego miejsca.

Następne ujęcie pokazywało wnętrze małego mieszkanca.

Było to niewielkie pomieszczenie z żółtymi ścianami, skąpo umeblowane, ale czyste, ze starym telewizorem na fornirowanym stole i małą lodówką obok obtłuczonego zlewu. Gdzieś w tle słychać było głośne okrzyki dochodzące z za okna — zapewne chłopcy grali w koszykówkę na asfaltowym podwórku.

Obraz drgał, ale wyraźnie widać było ścianę ze zdjęciami zawieszonymi nad małym biurkiem.



Kamera podjechała bardzo blisko do największej z fotografii, wyblakłej ze starości.

Przedstawiała małą dziewczynkę z rozwianymi przez wiatr jasnymi włosami, siedzącą na huśtawce. Śmiała się, podczas gdy stojący za nią mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami popychał huśtawkę. Miał wetkniętego za ucho papierosa.

*Nie oczekuj, że wydarzenia potoczą się tak,  
jak tego chcesz, ale staraj się, by tak było.*

### **Epiktet**

Nathan włączył światła i ruszył.

Prowadząc samochód, nacisnął w laptopie klawisz centrali telefonicznej. Poprosił, by połączono go ze szpitalem Staten Island, ponieważ musi niezwłocznie mówić z doktorem Goodrichem.

— Doktor wyszedł ze szpitala po południu — poinformowała telefonistka. — Ponieważ jutro nie pracuje, pewnie pojechał odpocząć do swojego domu w Connecticut.

— Czy mógłbym dostać jego adres?

— Przykro mi, proszę pana, ale nie jesteśmy upoważnieni do udzielania tego rodzaju informacji — odpowiedziała nieufnie.

— Jestem jego przyjacielem i mam do niego pilną sprawę.

— Jeśli jest pan jego przyjacielem, to musiał panu dać swój adres...

— Proszę mnie posłuchać — przerwał jej brutalnie — byłem w szpitalu wczoraj, może pani mnie pamięta? Jestem adwokatem...

— Żałuję, ale nie mogę panu pomóc.

— Niech mi pani da ten cholerny adres! — krzyknął Nathan. Nerwy miał napięte do ostatnich granic.

Telefonistka po drugiej stronie linii westchnęła głęboko. Sally Graham kończyła dyżur za niecałe pół godziny. Szpital płacił jej siedem dolarów za godzinę. Ani lekarze, ani pielęgniarki nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Nie chciała dopuścić do tego, by zdenerwował ją ten furia, a najlepszym sposobem, żeby się go pozbyć, było spełnienie jego życzenia. Przejrzała fiszki i podyktowała mu dokładny adres.

— Dziękuję pani — wybąkał Nathan. — I przepraszam, że się uniosłem. Ona jednak już się rozłączyła.

Nacisnąwszy pedał gazu, skręcił w kierunku mostu Verrazano, by dojechać do Brooklynu bez korzystania z promu.

W oddali, w czarnej wodzie Hudsonu, odbijały się światła dzielnicy bankowej.

Land-rover o mocy dwustu osiemdziesięciu koni dobrze trzymał się drogi. Wyjechał z Manhattanu drogą 95 i skierował się do Connecticut. Wciąż stawały mu przed oczami dopiero co obejrzone zdjęcia. Jechał szybko, bardzo szybko. Kiedy kątem oka spojrzął na licznik i stwierdził, że przekroczył znacznie dozwoloną szybkość, zmusił się do zwolnienia.

Lubił Nową Anglię z jej ponadczasowymi miasteczkami, jakby prosto z ilustracji Normana Rockwella. Jego zdaniem to była prawdziwa Ameryka pionierów, tradycji, Ameryka Marka Twaina i Stephena Kinga.

Po ponadgodzinnej jeździe dotarł do miejscowości Mystic, dawnego centrum połowu wielorybów, w której obecnie znajdowała się wierna replika portu z XIX wieku.

Przejeżdżał przez to miasteczko ostatniego lata, a może rok wcześniej, w drodze do Filadelfii. Pamiętał dobrze starannie utrzymane domki dawnych szyprów łodzi wielorybnych. W sezonie było tu zbyt tłoczno, ale zimą widziało się niewielu turystów. Tego wieczoru panował spokój, miasteczko było jak

wymarłe, jakby lodowaty, słony wiatr znad oceanu zamroził Mystic, zamieniając je w miasto duchów.

Jechał jeszcze kilka kilometrów drogą nr 1. Niedaleko Stonington zatrzymał wóz przed domem samotnie stojącym na wybrzeżu. Jeśli informacje podane przez telefonistkę były dokładne, to musi być dom Goodricha.

Nathan wysiadł z samochodu i przeszedł przez pas plaży oddzielającej drogę od domu. Wiele razy musiał osłaniać oczy, by chronić je przed wzbijanymi przez wiatr tumanami piasku. Ryk fal i przenikliwe piski mew wręcz ogłuszały.

Dom wyglądał nieco tajemniczo. Trzy poziomowy, bardzo wysoki, lecz raczej wąski. Na każdym piętrze balkony różnych długości nadawały mu dziwny, niesymetryczny kształt.

Przy drzwiach nie było dzwonka. Nathan mocno zastukał, by usłyszano go przez ryk wiatru.

Nathanie, opanuj się, to nie motel Bates!

Garrett nie zwlekał długo z otwarciem drzwi. Patrzył na adwokata błyszczącymi oczami i powiedział z uśmiechem:

— Czekałem na pana, Nathanie.

Miał podwinięte rękawy koszuli i poplamiony fartuch.

Nathan bez słowa poszedł za nim do kuchni.

Było to wygodne, przytulne pomieszczenie ze ścianami pokrytymi popękаныmi kafelkami w morskim kolorze. Całą długość kuchni zajmował drewniany podnieszczony stół, a nad nim na ścianie wisiała imponująca bateria miedzianych rondli, najwidoczniej niedawno wypucowanych.

— Proszę się rozgościć. — Goodrich podał mu butelkę wina. — Niech pan skosztuje tego białego chilijskiego wina, jest doskonałe.

Podszedł do starego pieca z żeliwną płytą. W kuchni unosił się zapach owoców morza. Przez kilka minut lekarz nie odzywał się ani słowem, zajęty przygotowaniem wymyślnego dania.

Nathan przyglądał mu się ze zdumieniem. Ten człowiek go intrygował. Kim naprawdę jest? Czego od niego chce? Garrett

był ożywiony i wesoły, zapewne za sprawą dobrze już napoczętej butelki wina, którą adwokat odstawił na barek.

Ja już go gdzieś widziałem. Jestem pewien, że już widziałem tego człowieka. Było to dawno temu, ale...

Przez chwilę próbował wyobrazić go sobie bez brody, ale nie bardzo mu się to udawało. Miał natomiast wrażenie, że w jakimś momencie swojego życia starał się zapomnieć tę twarz.

Goodrich wyjął z malowanego kredensu dwie fajansowe miseczki.

— Mam nadzieję, że zje pan ze mną kolację. Przyrządziłem *chowder*, ciekaw jestem, jak będzie panu smakował.

— Niech pan posłucha, Garrett. Nie przyjechałem tu, żeby służyć panu za królika doświadczalnego w pańskich kulinarnych eksperymentach.

Uważam, że powinniśmy porozmawiać...

— Nie lubię jeść sam — przerwał mu Garrett, napełniając miseczki gęstą zupą z mięczaków i cebuli.

— Nie jest pan żonaty? — zapytał Nathan, kosztując zupę.

— Czuje pan kawałki pieczonego na ruszcie bekonu? Są bardzo chrupiące.

— Zadałem panu pytanie, Garrett. Czy mieszka pan sam?

— Tak, inspektorze, moja pierwsza żona zmarła dwadzieścia lat temu.

Potem ożeniłem się raczej nieszczęśliwie i skończyło się to kosztownym rozwodem. Byłem na tyle rozsądny, że nie upierałem się...

Nathan rozłożył bawełnianą serwetkę.

— To było dawno temu, prawda?

— Co takiego?

— Spotkaliśmy się już kiedyś.

Po raz kolejny Goodrich pomiął pytanie milczeniem.

— Co pan powie o mojej garsonierze? Urocza, prawda? Czy pan wie, że są tu wspaniałe miejsca dla amatorów wędkowania? Jutro rano nie pracuję i zamierzam wybrać się na ryby. Jeśli pan chce, może mi pan towarzyszyć...

Następnie Garrett z nieukrywaną przyjemnością podał sma-

żone na patelni orzechy świętego Jakuba, z dzikim ryżem i masłem czosnkowym. Otworzyli drugą butelkę chilijskiego wina, a potem jeszcze jedną.

Po raz pierwszy od dawna Nathan poczuł się odprężony.

Niespodziewanie doznał uczucia, że doskonale rozumie się z lekarzem.

Garrett opowiadał mu o przykrych aspektach swojej pracy — o nieuleczalnych chorobach, z którymi codziennie się styka, o nienasyconej śmierci, która zabiera nagle ludzi nieprzygotowanych na odejście w nieznane, o leczeniu chorych i łagodzeniu ich cierpień.

Wyjawiał mu też swoje zamiłowanie do gotowania i wędkowania, dzięki którym w weekendy odzyskuje siły.

— Wie pan, z chorym nie należy za bardzo się spoufalać. Trzeba jednak być tak blisko niego, żeby podtrzymywać go na duchu, okazać, że rozumiemy jego cierpienie. Nie zawsze udaje się znaleźć właściwe proporcje.

Nathan przypomniał sobie wyniszczonych, załamanych psychicznie pacjentów oddziału opieki paliatywnej, który zwiedzał poprzedniego dnia. Jak można kontynuować ich leczenie, skoro większość z nich jest z góry skazana? Jak można tchnąć w nich nadzieję i przekonać, że życie aż do końca ma sens?

— Nie, nie jest łatwo znaleźć właściwe proporcje — powtórzył Goodrich jakby sam do siebie.

Zapadła długa chwila ciszy. W końcu Nathan zapytał:

— Czy mógłby mi pan powiedzieć coś o Candice Cook?

Z kuchni do salonu przechodziło się pod wysokim łukowym sklepieniem.

Podłoga wyłożona była terakotowymi płytkami, takimi samymi we wszystkich pokojach, przez co zacierała się granica między nimi.

Salon był bez wątpienia najprzyjemniejszym pomieszcze-

niem w całym domu i od razu spodobał się Nathanowi. W takim miejscu chętnie spędziłby wieczór z Bonnie i Mallory.

Pokój urządzone tak, by stworzyć ciepłą atmosferę, od belek pod sufitem po ściany pokryte boazerią, dzięki której było znacznie cieplej. Na kominku model trójmasztowca sąsiadował ze starym sekstansem, a na podłodze stało kilka koszyków z mnóstwem wędkarskich pamiątek. Nathan zajął miejsce w trzcinowym fotelu miodowego koloru, podczas gdy Garrett ostrożnie nalewał kawę ze starego, pięknie zdobionego dzbanka.

— A więc widział ją pan? Nathan westchnął.

— Nie zostawił mi pan wyboru.

— To wspaniała dziewczyna.

W oczach Goodricha mignął cień smutku. Del Amico zauważył to i zapytał:

— Co jej się stanie?

Natychmiast pożałował tych słów, gdyż oznaczały, iż wierzy w moc tego człowieka.

— To, co nieuniknione — odrzekł Goodrich, podając mu filiżankę z kawą.

— Nie ma rzeczy nieuniknionych.

— Wie pan dobrze, że są.

Nathan wyjął z paczki papierosa i zapalił od chwiejnego płomienia świecy. Zaciągnął się głęboko i poczuł się spokojniejszy.

— W tym domu się nie pali — zwrócił mu uwagę Goodrich.

— Niech pan nie żartuje. Pochłonął pan ze dwa litry alkoholu, proszę mi więc oszczędzić pouczeń. Porozmawiajmy o Candice.

Garrett opadł ciężko na kanapę i skrzyżował potężne ramiona na piersi.

— Candice urodziła się w ubogiej dzielnicy Houston i pochodzi ze skromnej rodziny. Jej rodzice rozwiedli się, kiedy

miała trzy lata. Wyjechała z matką do Nowego Jorku, ale widywała się regularnie z ojcem aż do jedenastego roku życia.

— Historia jakich wiele — zauważył Nahan. Goodrich pokręcił głową.

— Nie sędzę, żeby mógł pan być dobrym lekarzem, bo każde życie jest wyjątkowe.

Nagle znowu wróciło między nich napięcie. Nathan z miejsca odparował:

— Jestem dobrym adwokatem. To mi wystarczy.

— Jest pan dobrym obrońcą interesów wielkich firm. To jeszcze nie czyni pana dobrym adwokatem.

— Mam gdzieś pańską opinię.

— Brakuje panu ludzkiego podejścia...

— Ach tak?

— ...i pokory.

— Nie chciałbym się z panem sprzeczać, niech pan wróci do tematu, Garrett. Candice widywała się z ojcem do jedenastego roku życia, a potem?

— Potem ojciec nagle zerwał z nią wszelki kontakt.

— Dlaczego?

— Z prostego powodu. Siedział w... więzieniu.

— To ten człowiek, którego dziś widziałem i który teraz z nią mieszka?

— Tak, to były więzień. Skazano go w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku za włamanie.

— Kiedy wyszedł?

Goodrich postawił filiżankę na skrzyni z polerowanego drewna, która służyła za podręczny stolik.

— Dwa lata temu. Dostał pracę robotnika na lotnisku w Houston i wprowadził się do małego mieszkanca, które widział pan na filmie.

— To pan go odnalazł? Goodrich skinął głową.

— Nie miał odwagi nawiązać kontaktu z córką. Siedząc



w więzieniu, pisał do niej listy, ale nigdy nie odważył się ich wysłać.

— A pan odegrał rolę anioła stróża?

— Niech pan sobie daruje te złościwości. Po prostu wszedłem kiedyś do jego mieszkania, gdy go nie było, i ukradłem te listy. Wysłałem je do córki, dołączając ten film, by Candice mogła do niego trafić.

Nathan patrzył na niego z oburzeniem.

\_ Ale kto dał panu prawo ingerowania w życie innych ludzi?

— Candice tego potrzebowała. Cały czas żyła w przekonaniu, że ojciec o niej zapomniał. Gdy dowiedziała się, że nigdy nie przestał jej kochać, była bardzo szczęśliwa.

— To takie ważne?

— Sam pan wie, że gdy nie ma ojca, trudno jest dobrze uformować charakter dziecka.

— To zależy. Mój zostawił matkę i uciekł na drugi koniec świata. Nie przejmowałem się specjalnie jego nieobecnością...

Zapadła niezręczna cisza.

— Ten człowiek złamał sobie życie. Teraz pomału dochodzi do siebie. Miał pełne prawo odzyskać córkę i poznać wnuka.

\_ A więc jeśli pan wie, że Candice ma umrzeć, niech pan jej broni! Niech pan zrobi coś, żeby temu zapobiec! Goodrich przymknął oczy i odpowiedział ze smutkiem:

— Postarałem się znów połączyć członków tej rodziny, dać im trochę rodzinnego ciepła i szczęścia, ale, jak już panu mówiłem, nikt nie może zmienić biegu rzeczy. Musi się pan z tym pogodzić.

Nathan zerwał się z fotela.

— Gdybym zawsze godził się na to, co mi narzucano, nadal ustawiałbym skrzynie w jakiejś fabryce!

Goodrich, tłumiąc ziewanie, również wstał.

\_ Ma pan nieznośną skłonność sprowadzania wszystkiego do własnej osoby.

— Bo na tym znam się najlepiej.

Lekarz położył rękę na poręczy schodów, znajdujących się na środku salonu.

— Jeśli to panu odpowiada, może pan zostać na noc. Na pierwszym piętrze mam gościnny pokój z czystą pościelą.

Za oknem słyhać było huk wiatru i szum fal zalewających plażę. Czuło się, że ocean jest bardzo blisko.

Nathan, mając w perspektywie niezbyt miły powrót do pustego, zimnego mieszkania i świadom tego, że trochę za dużo wypił, przyjął tę propozycję, nie dając się długo prosić.

*13 grudnia*

Gdy nazajutrz rano Nathan zszedł do salonu, Goodricha już nie było, wybrał się na połów pstrąga. Przed wyjściem zostawił na stole kartkę: „Kiedy będzie pan wyjeżdżał, proszę zamknąć drzwi, a klucze wrzucić do skrzynki na listy”.

Nathan wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Staten Island. Podczas jazdy cały czas myślał o Garretcie, który budził w nim niechęć i zarazem fascynował. Często czuł się przy nim nieswojo, ale były chwile, kiedy doskonale się rozumieli, jak bliscy ludzie. Nie potrafił sobie wytłumaczyć tak sprzecznych uczuć.

Nathan spędził dzień na obserwowaniu Candice i jej rodziny. Zrobił wiele rund między kawiarnią i małym domkiem.

Tego dnia chłopczyk został z dziadkiem. Z ulicy Nathan mógł tylko zgadywać, co dzieje się w mieszkaniu. Zaobserwował natomiast, że „Clint” wychodzi na taras za każdym razem, kiedy pali papierosa. Przez cały ranek coś majsterkował, a po południu wziął wnuczka na spacer. Świetnie sobie radził z dzieckiem, okrywając je, by nie zmarzło w wózku.

Nahan przyglądał się z daleka, jak spacerują między kwietnikami w angielskim stylu i tropikalnymi roślinami w cieplarni ogrodu botanicznego. Gdy podchodził bliżej, słyszał, jak „Clint” nuci małemu do snu piosenki z czasów wojny secesyjnej.

Podczas tych wszystkich godzin spędzonych samotnie w samochodzie Nathan często myślał o Mallory, o wspólnych szczęśliwych chwilach, które już nie wrócą, o jej uśmiechu, o sposobie, w jaki żartowała sobie z niego lub przywoływała go do porządku.

Kilkakrotnie dzwonił do San Diego, ale za każdym razem odpowiadała automatyczna sekretarka.

Nie było mu lekko. W chwilach przygnębienia wyobraźnia wciąż podsuwała mu obraz synka.

Pamiętał wszystko i brakowało mu kontaktu fizycznego, gładkości policzków, ciepła główki i małych rączek, którymi mały wymachiwał przed zaśnięciem.

Cierpiał, uświadamiając sobie, co stracił: jego pierwsze święta Bożego Narodzenia, pierwsze próby chodzenia, wyrzynanie się pierwszego zębka, pierwsze słowa...

Wczesnym wieczorem Candice wpadła na krótko do domu, by za chwilę znowu wyjść do pracy. W piątki pracowała dodatkowo w jednym z popularnych w mieście barów. Oczywiście wolałaby zostać w domu z ojcem i malutkim Joshem. Spędziliby spokojny wieczór — zjedliby dobrą kolację przy kominku, posłuchali muzyki... Nie mogła jednak odrzucać możliwości zarobienia pieniędzy. Zbliżało się Boże Narodzenie. Bardzo lubiła święta, ale wiązały się z nimi duże wydatki.

Candice wyszła z łazienki i otworzyła ostrożnie drzwi pokoju synka. Wydawało jej się, że słyszy jego płacz. Podeszła do łóżeczka. Josh smacznie spał. Fałszywy alarm, trzeba jednak zachować czujność. Sąsiadka, Tania Vacero, mówiła jej o epidemii grypy szalejącej w okolicy.

Uspokojona, pocałowała delikatnie małego i wyszła z pokoju. Rzuciła okiem na zegar na ścianie. Za dwadzieścia minut zaczynała się jej zmiana. Musi się pospieszyć. Patrząc w wyszczerbione lustro, włożyła szybko spódniczkę i bluzkę, w których chodziła do pracy. Joe, właściciel baru, chciał, by jego kelnerki wyglądały seksownie.

Ucałowała ojca, wysłuchała jego rad, by była ostrożna, trochę przy tym protestując. — „Tatusiu, nie mam już czternastu lat!”\_ i wybiegła w ciemność. Była szczęśliwa, że znowu z nim mieszka. Czuła się pewniej, mając w domu mężczyznę, a poza tata tak kocha Josha...

Musiła kilka razy przekręcić kluczyk w stacyjce, zanim udało jej się uruchomić starego pikapa chevy, którego kupiła dawno temu, na początku kadencji George'a Busha ojca.

Samochód nie należał więc do najmłodszych, ale kiedy już ruszył, spisywał się doskonale. Na krótkich trasach.

Candice była w dobrym humorze. Włączyła radio i śpiewała razem z Shanią Twain słowa refrenu: *A niech to! Czuję się jak kobieta!*

Ziewnęła. Boże, jaka jest zmęczona! Na szczęście jutro ma wolny dzień. Będzie mogła pospać do południa, wziąć Josha do łóżka. Potem pojedzie kupić prezenty pod choinkę. W centrum handlowym widziała dwa śliczne pluszaki — śmiejącego się misia i żółwia z długą szyją, który wydał jej się bardzo zabawny. Dzieci w tym wieku najbardziej lubią zabawki, z którymi mogą spać. Za kilka lat, kiedy Josh będzie starszy, kupi mu rower, potem książki i komputer.

Znowu ziewnęła. Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, w tym kraju nie żyje się łatwo. Każdego miesiąca starała się zaoszczędzić kilka dolarów na studia synka, ale z trudem wiązała koniec z końcem i każde dodatkowe pieniądze były nie do pogardzenia. Tak, Josh pójdzie na uniwersytet. Candice miała nadzieję, że zostanie profesorem w jakiejś pożytecznej dziedzinie — na przykład medycyny albo prawa.

19.58

Wjechała na parking w tym samym momencie co niebieski wóz terenowy i weszła do baru U Sally, gdzie już panowała gorąca atmosfera. Piwo lało się strumieniami, płyta z piosenkami Springsteena nastawiona była na cały regulator. Goście bardziej pasowali do New Jersey niż do Nowego Jorku.

— Przyszła wreszcie naj śliczniej sza — przywitał ją Joe Conolly, siedzący za swoim kontuarem.

— Cześć, Joe.

Conolly był kiedyś policjantem w Dublinie, a na Staten Island przyjechał piętnaście lat temu. Według zgodnej opinii wszystkich jego bar był miejscem „czystym”, odwiedzanym głównie przez policjantów i strażaków. Candice, odkąd tu pracowała, nie miała żadnych poważnych problemów. Dyskusje nigdy nie kończyły się rozróbą, a do kelnerek odnoszono się z szacunkiem.

Candice zawiązała fartuszek i przystąpiła do pracy.

— Cześć, Ted, co ci podać?

20.46

— Masz wielbiciela, ślicznotko.

— Co ty wygadujesz, Tammy? — zdziwiła się Candice.

— Mówię ci, że masz wielbiciela. Ten elegancko ubrany facet na końcu kontuaru, odkąd się zjawiłaś, nie przestaje wodzić za tobą wzrokiem.

— Daj spokój, też wymyśliłaś! — prychnęła Candice, wzruszając ramionami.

Wzięła ciężką od kufli tacę i odeszła, rzuciwszy jednak okiem na drugi koniec baru. Człowiek, o którym była mowa, wpatrywał się w nią intensywnie. Nigdy go tu przedtem nie widziała. Nie wyglądał ani na policjanta, ani na strażaka.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na krótką chwilę i coś między nimi „zaiskrzyło”.

Mam nadzieję, że nie wyobraża sobie, że chcę go poderwać.

Mam nadzieję, że ona nie wyobraża sobie, że chcę ją poderwać.

Odkąd tu przyszedł, Nathan zastanawiał się, jak nawiązać rozmowę z tą młodą kobietą. Chociaż nie wierzył w przepowiednie Garretta, jednak niepokoił się o nią. Powinien za wszelką cenę dowiedzieć się, czy w życiu Candice zdarzyło się coś, co mogłoby zapowiadać jej bliską śmierć. Ale jak zaczepić dziewczynę w piątkowy wieczór w barze, jeśli nie używając jakiegoś żartu?

*21.04*

\_ Pan pierwszy raz tutaj? — zapytała Candice.

— Tak, po raz pierwszy. Jestem adwokatem na Manhattanie.

— Podać coś?

— Nie, dziękuję, zaraz wychodzę.

Candice nachyliła się do Nathana i z poufnym uśmiechem powiedziała:

\_ Jeśli nie zamówi pan drugiego piwa, stary Joe będzie zły i może poprosić, żeby opuścił pan bar, bo zajmuje pan miejsce przy kontuarze.

— Rozumiem. Proszę więc o drugie piwo.

*21.06*

\_ Niezły — orzekła Tammy, z oszłamiającą szybkością otwierając kolejne butelki budweisera.

— Przestań pleść głupstwa, proszę cię.

- Gadaj, co chcesz, ale to nie jest normalne, żeby taka śliczna dziewczyna jak ty była samotna!

— Niepotrzebny mi teraz żaden facet — ucięła Candice. Mówiąc to, pomyślała ze smutkiem o swoich ostatnich miłosnych przygodach. Nie było to nic poważnego. Ot, randka z tym, randka z tamtym, ale żaden nie nadawał się do założenia prawdziwej rodziny. Przez krótki moment zatrzymała się myślami przy ojcu Josha, który był przedstawicielem jakiejś firmy handlowej. Poznała go u koleżanki z liceum. Dlaczego dała się tak zbałamucić temu człowiekowi? Co sobie wyobrażała? Z pewnością był sympatyczny i elokwentny. Candice pamiętała, że tego wieczoru odczuwała rozpaczliwą potrzebę, by ktoś zwrócił na nią uwagę. To zwodnicze zauroczenie nie trwało długo, a wkrótce potem, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, okazało się, że jest w ciąży, co potwierdzało starą zasadę, że żaden środek antykoncepcyjny nie daje stuprocentowej gwarancji. Nie miała do nikogo żalu, bo dzięki temu otrzymała najpiękniejszy dar świata w postaci Josha. Powiadomiła ojca dziecka o ciąży, ale nie domagała się od niego ani pomocy, ani alimentów. Przykro jej było tylko z tego powodu, że nie chciał nawet zobaczyć swojego synka. Oczywiście wołałaby mieć kogoś, kto pomagałby jej wychowywać dziecko, ale było tak, a nie inaczej, i nie ma o czym mówić. „Przebac i zapomnij” — jak mawiał ojciec.

21.08

— Proszę, oto pańskie piwo.

— Dziękuję.

— Co pan robi w naszej dzielnicy, panie adwokacie z Manhattanu?

— Mam na imię Nathan.

— Co pan robi w naszym barze... Nathanie?

— Prawdę mówiąc, przyszedłem, żeby porozmawiać z panią, Candice.

— Skąd pan zna moje imię? — zapytała nieufnie.



- Wszyscy tak się tu do pani zwracają — odrzekł z uśmiechem.
- Rozumiem — powiedziała uspokojona. — Punkt dla pana.
- Czy po pracy poszłaby pani ze mną napić się czegoś w jakimś innym miejscu?
- Traci pan czas.
- Nie próbuję pani podrywać, proszę mi wierzyć.
- Niech pan nie nalega, szkoda pańskiego czasu.
- Pani usta mówią „nie”, ale oczy mówią „tak”.
- To już jednak podryw. Niejeden raz słyszałam taką gadkę. \_ Pachnie pani jaśminem — zauważył w odpowiedzi.

21.12

Trzeba przyznać, że jest całkiem przystojny. 22.02

- Czy mogę prosić o trzecie piwo?
  - Przecież nie napoczął pan nawet tego drugiego.
  - Bo nie chcę stracić miejsca przy barze.
  - A co takiego ciekawego jest w tym miejscu?
  - To, że mogę się pani przyglądać.
- Candice wzruszyła ramionami, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu.
- Jeśli wystarcza to panu do szczęścia...
  - Czy zastanowiła się pani nad moją propozycją?
  - Jaka propozycją?
  - Żeby pójść ze mną na drinka.
  - Kelnerki nie spotykają się z klientami, taka jest zasada. \_ Po zamknięciu baru przestanie paffi być kelnerką, a ja nie będę już klientem.

— Rozumowanie typowe dla adwokata.

W jej ustach nie zabrzmiało to jak komplement.

22.18

Dość miły, ale za bardzo pewny siebie. 22.30

— W każdym razie nie umawiam się z żonatymi — odrzekła, wskazując na obrączkę, którą Nathan wciąż nosił na palcu.

— I nie ma pani racji, bo żonaci są bardziej interesujący i dlatego są już zajęci.

— Niezbyt mądra uwaga.

— To był żart.

— Głupi żart.

Nathan już chciał coś powiedzieć, gdy podszedł do nich Joe Conolly.

— Wszystko w porządku, Joe — uspokoiła go Candice.

— To dobrze — mruknął, odchodząc.

Nathan poczekał, aż właściciel baru się oddali, i ponowił propozycję:

— A jeśli nie byłbym żonaty, zgodziłaby się pani pójść ze mną na drinka?

— Może.

23.02

— Prawdę mówiąc, jestem rozwiedziony.

— A skąd mam wiedzieć, że to prawda?

— Mógłbym pokazać pani dokumenty rozwodowe, ale nie sędzę, żeby było to konieczne do zaproszenia dziewczyny na drinka.

— Zadowolę się pańskim słowem.

— A więc zgadza się pani?

— Może się zgodzę...

23.24

Dlaczego on budzi zaufanie? Jeśli poprosi mnie jeszcze raz, zgodzę się...

23.24

Bar zaczął pustoszeć. Mocny rock Bossa ustąpił miejsca balladom Trący Chapman.

Candice, korzystając z kilku minut spokoju, rozmawiała z Nathanem, który siedział teraz przy stoliku w głębi baru. Zaczynała się już nawiązywać między nimi nić sympatii, gdy niespodzianie im przerwano.

— Candice, telefon do ciebie! — krzyknął Joe zza kontuaru. Candice odwróciła się zaskoczona, zastanawiając się, kto może dzwonić do niej do pracy.

Zaniepokojona podniosła słuchawkę, a po sekundzie jej twarz zrobiła się biała jak papier. Odłożyła słuchawkę i niepewnym krokiem skierowała się do baru, ale w tym momencie ugięły się pod nią nogi. Nathan, który obserwował tę scenę, podbiegł, by ją podtrzymać, zanim upadnie.

Rozpłakała się w jego ramionach.

— Co się stało? — zapytał.

— Ojciec... miał atak serca.

— Jak to?

— Karetka pogotowia wiezie go do szpitala.

— Chodźmy, zawiozę panią! — zawołał Nathan, łapiąc swój płaszcz.

*Szpital Staten Island,*

*oddział intensywnej opieki medycznej*

Candice, nadal ubrana w strój kelnerki, cały czas modłać się o dobre wieści, podbiegła do lekarza, który zajmował się jej ojcem.

Stojąc przed nim, mogła odczytać nazwisko na plakietce przypiętej do fartucha: doktor Henry T. Jenkins. Patrzyła na niego błagalnie.

Pociesz mnie, doktorze, powiedz, że to nic poważnego, powiedz, że spędzimy razem święta Bożego Narodzenia. Będę się nim opiekowała, będę mu przygotowywała ziółka, buliony, tak jak on mnie, kiedy byłam mała, powiedz, że...

Jednak doktor Jenkins wolał nie patrzeć w oczy pacjentom ani ich bliskim. Przez lata praktyki nauczył się podchodzić do nich z dystansem, nie angażować się. Było to konieczne, ponieważ zbyt silne współczucie odbierało mu równowagę ducha i przeszkadzało we właściwym wykonywaniu pracy. Cofnął się, gdy Candice podeszła do niego zbyt blisko, i zaczął ostrożnie:

— Pani ojciec, zanim upadł na posadzkę, zdążył zadzwonić po pogotowie. Gdy przyjechała karetka, miał już wszelkie objawy rozległego zawału. Po przywiezieniu tutaj nastąpiło zatrzymanie pracy serca. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby go reanimować, ale niestety pani ojciec zmarł. Bardzo mi przykro. Jeśli chce go pani zobaczyć, siostra zaprowadzi panią do jego pokoju.

— Nie! — krzyknęła Candice, zalewając się łzami. — Tak niedawno go odzyskałam! To niesprawiedliwe! To niesprawiedliwe!

Drżąca, na nogach jak z waty, miała wrażenie, że otwiera się przed nią straszliwa przepaść. I znów znalazła ratunek w ramionach Nathana. Przejął inicjatywę. Najpierw zapytał o Josha. Powiedziano mu, że dziecko zostało przywiezione do szpitala wraz z dziadkiem i teraz jest na oddziale pediatrycznym. Następnie poszedł

razem Candice do pokoju, gdzie leżał jej martwy ojciec. Candice podziękowała mu za pomoc i poprosiła, by zostawił ją na chwilę samą.

Zszedłszy do holu, zapytał w rejestracji, czy doktor Goodrich ma tej nocy dyżur. Powiedziano mu, że nie. Zajrzał więc do leżącej tam książki telefonicznej i w końcu udało mu się złapać doktora w hospicjum.

— Pomylił się pan, Garrett — powiedział zdławionym głosem.

Był tak zdenerwowany, że słuchawka drżała mu w ręku. — W jakiej sprawie? — zapytał lekarz.

— To nie Candice miała umrzeć!

— Co takiego?

— To jej ojciec.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

Nathan, odetchnąwszy głęboko, by opanować wzruszenie, odrzekł spokojnie:

— Jestem w szpitalu. Ojciec Candice zmarł właśnie na zawał serca.

— Cholera! — zaklął zaskoczony Garrett.

Głos Nathana drżał z gniewu:

— Nie przewidział pan tej śmierci, tak? Nie dostrzegł pan tej maleńkiej aureoli?

- Nie przyznał Goodrich — niczego takiego nie przewidziałem, ale nigdy nie miałem wystarczająco bliskiego kontaktu z tym człowiekiem, żeby...

— Niech pan posłucha, chyba już najwyższy czas dać spokój tym pańskim złudnym teoriom! Śmierć uderzyła z innej strony, a pan powinien przyznać się do porażki.

— Daje się pan ponosić emocjom. Ten człowiek nie był taki młody i pewnie już chorował na serce... Jego śmierć niczego nie dowodzi.

— W każdym razie, Garrett, wiem jedno, Candice ocalała.

— Miejmy nadzieję, że to pan ma rację, Nathanie, pragnę tego z całego serca.

*Mieszkanie Candice Cook, trzecia nad ranem*

Pokój pogrążony był w ciemnościach. Tyłko bożonarodzeniowe świece, ustawione przy oknie, pozwalały rozróżnić kontury przedmiotów i twarzy. Candice w końcu zasnęła na kanapie w salonie, ale miała dreszcze i rozpaloną twarz. Nathan, siedząc w fotelu, przyglądał się jej jak zahipnotyzowany. Wiedział, że będzie spała snem przerywanym koszmarami. Kiedy odebrali Josha, przywiózł ich tu o pierwszej w nocy. Candice była tak załamana, że dawała sobą kierować. Trochę porozmawiali, a potem Nathan namówił ją, by połknęła tabletkę na sen, zapisaną przez lekarza w szpitalu.

W pokoju obok rozległ się cichy, żalospny płacz. Josh się obudził i leżał z otwartymi oczkami, niespokojnie kręcąc się w łóżeczku.

— Cicho, maleńki, nie bój się — uspokajał Nathan małego, wzięwszy go na ręce.

Przygotował mu trochę wody do picia i zabrał go do salonu.

— No, jak się masz, malutki?

Josh w odpowiedzi zagaworzył, próbując naśladować usłyszane słowa.

— Patrz, mama śpi — szepnął Nathan.

— Ma... ma.

Nathan siedział w fotelu i kołysał dziecko. Zanucił mu nawet kilka fraz *Kołysanki* Brahmsa. Nie śpiewał tej melodii od czasu śmierci synka i musiał przerwać, bo gardło ścisnęło mu wzruszenie.

Po kilku minutach Josh znowu usnął. Nathan zaniósł go do łóżeczka i wrócił do salonu. Candice nadal spała. Napisał kilka słów na odwrocie kartki z listą zakupów, położył na stole i wyszedł z domu.

Padał śnieg.

*14 grudnia*

Candice przekreśliła zamek i wyjrzała przez szparę w drzwiach.

— A, to pan, proszę wejść.

Nathan wszedł do kuchni. Była dziewiąta rano. Josh, siedząc w wysokim krzeselku, kończył śniadanie, rozmazując je po całej buzi.

— ...dobry — powiedział.

— Cześć, Josh — odrzekł Nathan, uśmiechając się do niego. Candice pogłaskała małego po główce.

— Chciałabym panu podziękować, że został pan z nami tak długo.

— Drobiazg. A jak się pani czuje?

— Dobrze — odpowiedziała, choć jej wzrok temu przeczył. Nathan wyjął z kieszeni pęk kluczy.

— Przyprowadziłem pani samochód.

— Dziękuję. Był pan naprawdę... wspaniały—powiedziała, rozkładając ręce. — Zostawił pan swój wóz na parkingu u Joego?

Nathan skinął głową.

— Podwożę pana — zaproponowała. — Ale przedtem proszę napić się z nami kawy.

— Chętnie. — Nathan usiadł przy stole.

Odczekał chwilę, po czym, podjąwszy decyzję, odezwał się:

— Mam do pani pewną sprawę. — Postawił na stole niewielką skórzaną teczkę.

— Jaka? — zapytała Candice lekko zaniepokojona, jakby tyle uprzejmości ze strony mężczyzny musiało skończyć się jakąś przykrą niespodzianką.

— Chciałbym, aby pani przyjęła...

— Co takiego?

— Chciałbym przekazać pani trochę pieniędzy na kształcenie syna.

- To... to jakiś żart? — zapytała, odstawiając na stół filiżankę, by nie upuścić jej na podłogę.

— Nie, to nie żart. Chciałbym pani pomóc.

— Za kogo pan mnie ma? — oburzyła się Candice. Zdenerwowana, zerwała się z krzesła. Nathan próbował ją uspokoić.

— Proszę się nie obawiać, Candice, nie chcę niczego w zamian.

— Pan zwariował — powtórzyła. — Nie potrzebuję pańskich pieniędzy.

— Ależ tak, potrzebuje ich pani choćby na naukę syna. Potrzebuje ich pani, bo ten samochód ma na liczniku trzysta tysięcy kilometrów i może w każdej chwili się zepsuć. Potrzebuje ich pani, bo nie ma pani nikogo, kto by pani pomógł.

— A ile zamierza pan dać? — zapytała wbrew własnej woli.

— Powiedzmy sto tysięcy dolarów — zaproponował Nathan.

— Sto tysięcy dolarów?! Ależ... to niemożliwe! Dawać tyle pieniędzy, niczego w zamian nie żądając? Czegoś takiego nie ma na świecie!

— Koło fortuny różnie się toczy... To tak, jakby wygrała pani na loterii. Milczała przez kilka sekund.

— Nie chodzi przypadkiem o pranie brudnych pieniędzy czy coś w tym rodzaju?

— Nie, Candice, te pieniądze są czyste. Nie ma w tym nic nielegalnego.

— Przecież nawet pana nie znam!

— Wszystko, co powiedziałem wczoraj, jest prawdą — powiedział Nathan, otwierając skórzaną teczkę. — Nazywam się Del Amico, jestem znanym adwokatem z Park Avenue. Mam opinię człowieka uczciwego i w sprawach, którymi się zajmuję, nie ma niczego podejrzanego.

Przyniosłem plik dokumentów, które potwierdzą prawdziwość moich słów: paszport, wyciąg z konta bankowego, zamieszczone w prasie artykuły na mój temat...



— Niech pan nie nalega — ucięła Candice. — Nie przyjmuję pańskiej propozycji.

\_ Proszę się jednak zastanowić — powiedział Nathan, wysiadając ze starego pikapa.

Stali na pustym parkingu naprzeciwko baru U Sally. Candice podwiozła go do jego wozu.

— Zastanowiłam się i nie chcę nikomu zdawać rachunku z tego, jak żyję.

\_ Nie będzie się pani musiała tłumaczyć przed nikim — obiecał. — Wyda pani te pieniądze tak, jak będzie pani chciała.

— A co pan będzie z tego miał?

— Jeszcze tydzień temu nie zaproponowałbym pani czegoś takiego — przyznał Nathan. — Ale ostatnio w moim życiu miały miejsce pewne wydarzenia... Nie zawsze byłem bogaty. Wychowywała mnie matka, która miała jeszcze mniej pieniędzy niż pani. Szczęśliwy los sprawił, że mogłem studiować. Niech pani nie odrzuca tej szansy ze względu na syna.

\_ Mój syn będzie studiował niezależnie od tego, czy mi pan pomoże, czy nie! — upierała się Candice.

— Czy nie! — powtórzył za nią Josh z tylnego siedzenia, jakby chciał wesprzeć matkę.

— Proszę to jednak przemyśleć. Mój numer telefonu znajduje się w teczce z dokumentami, które pani zostawiłem. Kiedy pani je przejrzy, proszę do mnie zadzwonić.

— Już wszystko przemyślałam. Jak pan słusznie zauważył, nie posiadam wiele, ale mam coś, co stracili ludzie bogatsi ode mnie — honor i uczciwość...

\_ Nie domagam się, by zrezygnowała pani ani z jednego, ani drugiego.

\_ Niech pan przestanie wygadywać te brednie. Pana propozycja jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Z pewnością kryje się za nią jakaś pułapka. Czego pan ode mnie zażąda, kiedy już przyjmę te pieniądze?

— Niech mi pani spojrzy w oczy. — Nathan nachylił się w jej stronę.

— Nie będzie mi pan rozkazywał! Mimo to spojrzała mu prosto w oczy. Nathan wytrzymał jej wzrok i powiedział:

— Jestem uczciwym człowiekiem, nie musi się pani mnie obawiać, przysięgam. Niech pani pomyśli o synu i przyjmie tę propozycję.

— Moja odpowiedź brzmi nie! — powtórzyła Candice, trzasnąwszy drzwiczkami auta. — Nie, nie i nie!

Nathan i Candice rozstali się, każde z nich udało się w swoją stronę.

Candice poświęciła cały ranek na przeglądanie dokumentów ze skórzanej teczki.

Nathan przez cały ten czas siedział ze wzrokiem wbitym w telefon.

W południe telefon zadzwonił.

*...rozszarpany po śmierci przez drapieżne ptaki i zwierzęta...*

## **Lukrecjusz**

Nathan krążył około dziesięciu minut, zanim znalazł wreszcie wąskie miejsce, w które udało mu się wpasować już za pierwszym razem. Siedząca przy nim Candice odczekała, aż samochód się zatrzyma i dopiero wtedy uwolniła małego Josha z fotelika, który był zainstalowany na tylnym siedzeniu. Posadziła synka w szerokim składanym wózku spacerowym, który Nathan wyjął z bagażnika. Josh był w świetnym humorze, wyśpiewywał na cały głos śmieszne melodyjki, cały czas popijając z na pół już opróżnionej butelki ze smoczką.

Wszyscy troje skierowali się do budynku z szarej i różowej cegły, w którym mieścił się jeden z oddziałów First Bank New Jersey.

Była to godzina największego ruchu. Z powodu tłumu musieli odczekać kilka chwil, zanim udało im się wejść do środka. Obrotowe drzwi przytrzymał im strażnik, młody Afroamerykanin o miłej twarzy, mówiąc jednocześnie coś na temat nowoczesnych urządzeń, zupełnie nieprzystosowanych dla małych dzieci.

Weszli do ogromnej, oświetlonej rzęsiście sali z dużymi oknami. Po obu stronach znajdowały się okienka kasowe

i niewielkie eleganckie boksy z ciemnego drewna, zapewniające dyskrecję w trakcie rozmów klientów z urzędnikami. Candice sięgnęła do torebki po czek.

— Pan naprawdę uważa, że to dobry pomysł?

— Już to przedyskutowaliśmy — odpowiedział uprzejmie Nathan.

Candice spojrzała na Josha, znowu pomyślała o jego przyszłości i to zdecydowało o tym, że stanęła w kolejce do okienka.

— Czy mam pani pomóc? — zapytał Nathan.

— Nie ma takiej potrzeby, to nie potrwa długo. Niech pan sobie usiądzie tam — pokazała rząd krzeseł w głębi sali.

— Proszę mi dać Josha.

— Poradzę sobie, wezmę go na ręce. Proszę tylko wziąć wózek.

Gdy się oddalał, popychając pusty wózek, Candice uśmiechnęła się do niego i pomachała dyskretnie ręką.

W tym momencie przypomniała mu Mallory. Coraz bardziej przywiązywał się do tej kobiety, podziwiając jej skromność i spokojną pewność siebie. Był naprawdę wzruszony, widząc, w jaki sposób odnosi się do synka, jak go całuje, szepce na uszko czule słówka, gdy jego buzia wykrzywiała się do płaczu. Robiła to w sposób spokojny i zrównoważony. Ubrana była w zniszczoną tanią kurtkę, ale to nie miało żadnego znaczenia. Może nie prezentowała klasy dziewcząt z „Cosmopolitan”, ale była bardziej pociągająca i przystępna.

Kiedy się jej przyglądał, przyszła mu do głowy refleksja na temat własnego życia. Może nie miał racji, chcąc za wszelką cenę wyjść poza swoje środowisko? Może byłby szczęśliwszy z kobietą taką jak Candice, w jakimś małym domku, z psem i pikapem ozdobionym gwiazdzistym sztandarem? Bogacze z wyższych klas wyobrażają sobie, że zwykli biedni ludzie wiodą monotonne życie. On, który wyrósł w takim środowisku, wie, że to nieprawda.

Za wiele wycierpiał z powodu braku pieniędzy, żeby gardzić nimi teraz, kiedy je miał. Jednak wbrew temu, w co długo wierzył, przekonał się, że same pieniądze nie wystarczą. Potrzebuje kogoś, z kim mógłby je dzielić. Jeśli nie miał nikogo, kto by mu towarzyszył, nie chciał nigdzie iść; jeśli nie było nikogo, kto by go słuchał i coś do niego mówił, jego życie było puste; jeśli nie miał przy sobie bliskiej osoby, to tak, jakby nie istniał. Nathan zamienił kilka słów z agentem ochrony, stojącym przy drzwiach wejściowych. Poprzedniego dnia Jankesi poinformowali, że zyskali dobrego gracza na przyszły sezon i strażnik już się podniecał, wyobrażając sobie przyszłe sukcesy swojej ulubionej drużyny koszykówki.

Nagle zamilkł na widok wysokiego typu o potężnych barach, który właśnie wszedł przez obrotowe drzwi. Mężczyzna, wysoki jak koszykarz, miał na szyi apaszkę i przewieszoną przez ramię sportową torbę. Sprawiał wrażenie podenerwowanego. Najwyraźniej nie czuł się tu dobrze i kilka razy odwrócił się, obrzucając ich spłoszonym wzrokiem. Strażnik przeszedł kilka kroków w jego kierunku. Wtedy ów mężczyzna zrobił ruch, jakby chciał podejść do którejś z kolejek, ale zatrzymał się na środku sali. W ułamku sekundy wyciągnął z torby broń i czarną kominiarkę, którą włożył na głowę.

— Hej, ty!

Zanim strażnik zdążył sięgnąć po broń, doskoczył do mego wspólnik tamtego i zadał mu dwa silne ciosy. Ogłuszony strażnik zwałił się na podłogę, a napastnik odebrał mu rewolwer.

— Nie ruszać się! Niech nikt się nie rusza, do cholery! Ręce za głowy! Operacją kierował ten drugi. Bez kominiarki, ubrany w drelichowe spodnie i wojskową kurtkę z demobilu. Miał jasne, krótko ostrzyżone włosy i nabiegłe krwią oczy.

Był uzbrojony po zęby. W prawej ręce trzymał rewolwer dużego kalibru, a na ramieniu zawieszony miał pistolet maszynowy, coś w rodzaju uzi, które ogląda się w grach wideo.

Tylko że to nie była gra. Z takiej broni strzelało się seriami i mogło być wiele ofiar.

— Na kolana! Wszyscy na kolana! Szybko! Popędzani wrzaskami klienci i urzędnicy ukłękli lub położyli się na podłodze.

Nathan odwrócił się, szukając wzrokiem Candice. Zobaczył, że schowała się pod biurkiem w jednym z boksów. Przytulała Josha i próbowała go uspokoić: „To zabawa, malutki, tylko zabawa” — powtarzała, zmuszając się do uśmiechu. Chłopczyk z szeroko otwartymi oczami obserwował przedziwny, rozgrywający się wokół nich spektakl.

Na wszystkich twarzach pojawił się strach. Nathan klęknął podobnie jak inni.

Jak im się udało wejść tu z bronią? Trzeba było sprawdzić ich torby tuż przy wejściu. Ale dlaczego, na litość boską, nie włączył się alarm?

Obok niego jakaś kobieta kuliła się pod okienkiem kasowym. Chciał szepnąć jej coś na pocieszenie, ale gdy tylko otworzył usta, znowu poczuł w piersi ostry, przeszywający ból. Niemal słyszał, jak mocno wali jego serce. Sięgnął ręką do kieszeni po inhalacyjny lek w sprayu.

— Trzymaj ręce za głową! — wrzasnął bandzior ubrany po wojskowemu, po czym z pewnym wahaniem skierował się do człowieka, który musiał być kierownikiem tego oddziału banku.

Napastników było tylko dwóch. Trzeci z pewnością czekał w samochodzie zaparkowanym gdzieś w pobliżu.

— Chodź ze mną, musisz mi podać szyfr.

Bandzior popychał kierownika w kierunku pomieszczenia w głębi holu.

Po chwili dał się słyszeć metaliczny dźwięk odblokowujących się drzwi, a potem hałas wskazujący na to, że otworzone zostały następne drzwi.

Mężczyzna w kominiarce został w głównej sali, by pilnować zakładników. Stojąc na jednym z biurków, chciał pokazać, że panuje nad sytuacją.

— Nie ruszać się! Nie ruszać się! — wrzeszczał.

Z dwóch bandytów ten bez wątplenia był słabszym ogniwem zespołu. Co chwila spoglądał na zegarek i ze złością poprawiał kominiarce, która uwierała go w szyję. Niecierpliwił się:

— Co się tak guzdrzesz, Todd? Ruszaj się, do cholery! Tamten jednak, zajęty w drugiej sali, nie odpowiadał.

W pewnym momencie pilnujący zakładników nie wytrzymał i gwałtownym gestem ściągnął kominiarce z głowy. Miał mokre od potu czoło i okrągłe plamy pod pachami. Może miał już okazję poznać przyjemności więzienia i teraz bał się do niego wrócić.

Tym razem sprawa była poważniejsza — napad z bronią w ręku. Wiele ryzykowali, a czas płynął.

W końcu „wojskowy” wpadł do sali głównej, niosąc ciężką, wypchaną torbę.

— Na ciebie kolej, Ari, dokończ żniwa! — krzyknął do współnika.

— Słuchaj, Todd, zwiewajmy, mamy już dość forsy, żeby... Ale kumpel w drelichowych spodniach nie słuchał go.

— Idź po resztę forsy, kretynie!

Nathan chciał skorzystać z zamieszania, żeby przybliżyć się do Candice. Serce biło mu jak szalone. Czuł się odpowiedzialny za życie tej kobiety. Kiedy już był prawie obok niej, rzucił się na niego Ari i kopnął go tak mocno, że głową wyrznął w biurko.

— Leż tutaj, kapujesz?!

Ale „wojskowy” doskoczył do Ariego i wrzasnął:

— Mówiłem ci, żebyś poszedł po forszę! Będę miał go na oku!

Nathan, odzyskawszy przytomność, dotknął ręką łuku brwio-

wego. Po skroni ściekała mu strużka krwi i plamiła koszulę. Jeśli wyjdzie stąd żywy, długo będzie miał opuchniętą twarz.

W tym momencie Candice zrobiła ruch w jego kierunku. Podniósł głowę. W jej oczach wyczytał pełne niepokoju pytanie: „Jak się pan czuje?”. W odpowiedzi kiwnął uspokajająco głową.

Uśmiechnęła się z trudem, ale Nathan dostrzegł, że jest wręcz trupio blada.

Wciąż patrzył jej w oczy. W ułamku sekundy nałożyły się na siebie dwie twarze — Candice i Mallory.

Chciałby za wszelką cenę uchronić je przed takimi aktami przemocy.

Nagle, gdy nikt tego nie oczekiwał, w banku rozległ się przenikliwy sygnał alarmowy.

Włamywaczy ogarnęła panika. Ari wpadł do głównej sali z rękami pełnymi banknotów.

— Co się dzieje, Todd?

— Musimy zwiewać, zanim przyjedzie policja! — krzyknął „wojskowy”.

— Powiedziałeś, że system alarmowy został wyłączony! Cholera, Todd, mówiłeś, że nie ma żadnego ryzyka!

Po twarzy ściekały mu krople potu. Drżał tak, że wypuścił z rąk pliki banknotów jednodolarowych.

Todd podszedł do oszklonych drzwi i zobaczył ruszający z piskiem opon samochód.

— Kurwa, ten kretyn Geraldo zwiewa bez nas!

— I co zrobimy bez samochodu?! — zawołał załamany Ari. Ale tamten go nie słuchał. W mgnieniu oka zarzucił ciężką

torbę na ramię, złapał pistolet maszynowy w jedną rękę i rewolwer w drugą. Pchnął z wściekłością drzwi banku i wyskoczył w tym samym momencie, gdy z wyciem syren nadjechało kilka wozów policyjnych.



Rozległy się strzały i krzyki.

Ari, który zawahał się i nie pobiegł za kumplem, zamknął drzwi banku. — Nie ruszać się! — wrzasnął, mierząc z karabinu kaliber dziewięć milimetrów w urzędników i klientów, wciąż leżących na podłodze.

Trzymał karabin, jakby był dla niego ostatnią deską ratunku. Nathan nie spuszczał oczu z broni. Ile osób zginie od kul tego szaleńca? Na zewnątrz słychać było kolejną wymianę ognia, a potem nastąpiła cisza. Po chwili rozległ się głos z megafonu:

JESTEŚ OTOCZONY, TWÓJ WSPÓLNIK ZOSTAŁ  
ARESztOWANY. WYJDŹ BEZ BRONI I NIE WYKONUJ  
ŻADNYCH GWAŁTOWNYCH RUCHÓW.

Czegoś takiego nie przewidział oszalały ze strachu bandyta.

— Chodź no tu!

Stało się to, czego Nathan się obawiał: bandzior złapał brutalnie Candice za ramię, chcąc mieć zakładniczkę.

Jednak Candice nie należała do tych, którzy łatwo się poddają. Gotowa na wszystko, byle tylko ocalić syna, broniła się zaciekle i udało jej się uciec w głąb sali, podczas gdy Josh płakał głośno w jej ramionach. Nathan zerwał się i stanął między Arim i nimi.

Rozwścieczony oporem Ari wymierzył broń w Nathana, którego umysł pracował z niezwykłą szybkością.

Niewykluczone, że mnie zabije, ale przynajmniej Candice nic się nie stanie. Nawet jeśli strzeli, natychmiast wpadnie tu policja. Jej już nic nie grozi.

Każda sekunda zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Garrett się pomylił. Wiem, że się pomylił. Nie można przewidzieć czyjejs śmierci. W życiu wygląda to inaczej. Candice jest uratowana. To ja wygrałem, Garrett. Wygrałem.

Nathan nie widział już nic poza pistoletem, z którego mierzył w niego Ari. Glock 17, jaki bez problemu można było kupić za mniej niż pięćdziesiąt dolarów w kraju, w którym strzelanie z broni wojskowej podczas pikników stało się niemal narodowym sportem.

Ari z obłędem w oczach ścisnął oburącz kolbę pistoletu, trzymając palec na spuście. Nie panował już nad sobą i szykował się do strzału.

Nathan rzucił okiem na drzwi wejściowe. Zdążył dostrzec, że strażnik, który w końcu doszedł do siebie, wyjął broń ukrytą w kaburze, przypiętej do prawej łydki.

Stało się to tak szybko, że Ari niczego nie zauważył. Strażnik uniósł się i wystrzelił dwa razy. Pierwsza kula minęła cel, ale druga trafiła w sam środek pleców bandyty, który zwałił się na podłogę.

Strzały wywołały straszliwą panikę. Ludzie rzucili się do drzwi, przez które wbiegali już policjanci i ratownicy.

— Proszę czym prędzej opuścić salę! — rozkazał jeden z policjantów.

Ale Nathan pobiegł tam, gdzie grupka ludzi otaczała czyjeś skulone ciało. Candice leżała na podłodze, a Josh, czkając z przerażenia, trzymał się jej kurczowo.

— Wezwijcie pogotowie! — krzyknął Nathan najgłośniej jak mógł. — Wezwijcie karetkę!

Pierwsza kula, wystrzelona przez strażnika, odbiła się rykoszetem od metalowej framugi i trafiła Candice w bok, z którego teraz płynęła krew. Nathan nachylił się nad nią i wziął ją za rękę.

— Nie umieraj! — błagał, padłszy na kolana.

Twarz Candice stała się przezroczysta. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko strużka krwi spłynęła po jej wargach.

— Nie umieraj! — krzyknął Nathan, modląc się do wszystkich świętych. Lecz ona już odeszła. Pozostało tylko nieruchome ciało, niemające nic wspólnego z tą młodą kobietą, która jeszcze godzinę temu opowiadała mu ze śmiechem historyjki o swoim synku.

Zalany łzami Nathan nie mógł już zrobić nic, jak tylko zamknąć jej oczy. Ktoś z tłumu zapytał:

— Czy to jego żona?

Karetka nadjechała kilka minut później.

Nathan trzymał w ramionach Josha. Na szczęście dziecko nie było ranne, ale przeżyło ogromny szok. Nathan wyszedł za noszami z ciałem Candice na ulicę. Kiedy jej twarz zniknęła pod prześcieradłem, Nathan zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście wszystko się już dla niej skończyło. Co się dzieje w chwili śmierci? Czy jest coś potem? Jakiś dalszy ciąg? Te same pytania zadawał sobie wielokrotnie po śmierci matki i synka.

Po raz pierwszy od tygodnia na niebie ukazało się jaskrawe zimowe słońce. W czystym powietrzu czuło się chłodny suchy wiatr.

Na chodniku stali ludzie, powoli dochodząc do siebie po przeżyciach tego straszego poranka. Josh w ramionach Nathana łkał rozpaczliwie.

Adwokat, zupełnie załamany, miał zamęt w głowie. Ze wszystkich stron słyszał głośnie wołania, zaczerwienione od łez oczy mrużył od oślepiających, migających świateł na dachach policyjnych wozów.

Operatorzy filmowi i dziennikarze zasypywali już pytaniami zakładników.

Nathan, nękany wyrzutami sumienia i poczuciem winy, starał się jak mógł ochronić Josha przed tym zamętem.

Kiedy z banku wynoszono zwłoki włamywacza, policjant z nowojorskiej komendy policji, ubrany w ciemnogranatowy mundur, podszedł do Nathana, by zadać mu kilka pytań. Był to Latynos, niewysoki, krępy, o młodej twarzy.

Policjant zaczął coś mówić, ale Nathan go nie słuchał. Rękawem koszuli wycierał delikatnie buzię Josha, ubrudzoną łzami i krwią Candice. Znowżalała go fala rozpaczyl i zaczął płakać.

— To ja ją zabiłem! Przeze mnie się tu znalazła! Policjant próbował go pocieszyć:

— Nie mógł pan tego przewidzieć. Bardzo panu współczuję. Nathan usiadł na asfalcie i objął głowę rękami. Całym jego ciałem wstrząsały spazmy. To wszystko jego wina. On przyspieszył tę śmierć. Gdyby nie dał Candice tych przeklętych pieniędzy, jej noga nigdy by tu nie postala i to wszystko by się nie wydarzyło! Był pionkiem, który został postawiony dokładnie w tym momencie, by patrzeć, jak dokonuje się coś, na co nie miał żadnego wpływu. Jak można pogodzić się ze światem, w którym czas życia i śmierci jest z góry określony?

Wydawało mu się, że słyszy głos Goodricha, który powtarzał jak echo: „Nie da się odwlec ostatecznej decyzji i nikt nie zna godziny swojej śmierci". Podniósł zalaną łzami twarz i popatrzył na policjanta. Ten zaś, żeby go pocieszyć, powtórzył:

— Nie mógł pan tego przewidzieć.

*Myśl o tym, proszę cię, w dzień i w nocy.*

## **Cyceron**

Na początku przeszłość i przyszłość nie istniały.

Było to przed wielkim wybuchem. Tym, który zrodził materię, przestrzeń i czas.

W encyklopediach czytamy, że historia naszego wszechświata zaczęła się piętnaście miliardów lat temu. Jest to również wiek najstarszych gwiazd. Natomiast Ziemia uformowała się niecałe pięć miliardów lat temu. I bardzo szybko, miliard lat później, pojawiły się na niej pierwsze żywe istoty — bakterie.

A potem przyszła kolej na człowieka.

Wszyscy to wiedzą, ale wszyscy o tym zapominają, że wiek ludzi to zaledwie chwila w porównaniu z wiekiem wszechświata. A i w tym tak nieskończenie małym przedziale czasu dopiero w neolicie ludzie zaczęli prowadzić osiadły tryb życia, wynaleźli kulturę rolną, zbudowali pierwsze miasta, rozwinęli handel.

Kolejny wielki przełom nastąpił pod koniec XVIII wieku. Rozwinęła się gospodarka, co umożliwiło ogromny wzrost produkcji i bogacenie się społeczeństw. Po latach nazwano to rewolucją przemysłową.

Jednak u zarania tej epoki długość ludzkiego życia oceniano średnio na trzydzieści pięć lat.

Śmierć czyhała wszędzie. Była czymś normalnym. Przyjmowano ją jako coś oczywistego.

Licząc od samego początku, żyło przed nami ponad osiemdziesiąt miliardów ludzi, którzy wznosili miasta, pisali książki, komponowali muzykę.

Dziś żyje nas sześć miliardów. Zmarłych jest więc prawie czternaście razy więcej.

Gniją i rozpadają się pod naszymi stopami, znikają z naszej pamięci.

Użyźniają naszą ziemię, nawożą żywnością.

Niektórych nam brakuje.

Już wkrótce, za jakieś kilka miliardów lat, Słońce wyczerpie swoje zapasy wodoru, a jego objętość powiększy się stokrotnie. Temperatura na Ziemi przekroczy wówczas 2000 stopni Celsjusza, ale najprawdopodobniej nasza planeta zniknie znacznie wcześniej.

Wszechświat będzie się powiększał i pozbywał galaktyk. Po jakimś czasie zgasną także gwiazdy, a kosmos zacznie przypominać ogromne cmentarzysko.

Niebo jest pochmurne, noc spokojna.

Nathan Del Amico z okien swojego mieszkania wpatruje się w światła miasta.

Nasłuchuje odgłosów Nowego Jorku, tego ustawicznego, charakterystycznego zgiełku klaksonów, syren karetek pogotowia i wozów policyjnych.

Jest sam.

Boi się.

Tęskni za żoną.

Wie, że niedługo umrze.

14

*Zmarli wiedzą jedno: lepiej być żywym.*

**z filmu Stanleya Kubricka *Fuli Metal Jacket***

*15 grudnia*

Wpadające przez szerokie okna słońce oświetlało jaskrawym strumieniem obszerne wnętrze apartamentu.

Światło, niczym w pełni lata, zalewało fosforyzujące bielą ściany. Było ciepło. Cicho opadły rolety, wprowadzone w ruch specjalnym automatycznym urządzeniem.

Nathan siedział rozparty na niskiej kanapce, obitej jasnym tweedem. Postawił pustą, czwartą już butelkę po winie Corona na parkiecie z jasnego drewna. Nieprzyzwyczajony do picia takich ilości alkoholu, czuł lekkie mdłości.

Od rana krążył bez celu po mieszkaniu.

Candice nie żyje. A więc Garrett posiada tę przeklętą zdolność przewidywania śmierci.

Dla Nathana oznaczało to, że zbliża się koniec jego podróży. Teraz już w to nie wątpił. Goodrich miał rację w wypadku Kevina, Candice. Teraz przyszła kolej na niego. To fakt, który trudno uznać, ale trzeba się z nim pogodzić.

Jak ma żyć, skoro już wie, że obiecana śmierć nastąpi niedługo? Jak stawić czoło tej sytuacji?

Żył w świecie, w którym panował duch rywalizacji. W świe-

cie, który niewiele miejsca zostawiał słabym. Tak bardzo chciał odgrywać supermana, że prawie zapomniał, iż jest śmiertelny. Przeżył wypadek w Nantucket, ale, jak widać, nie wyciągnął z niego żadnej nauki.

Podniósł się z kanapy i stanął przy oknie, z którego roztaczał się piękny widok na park. Od nadmiaru alkoholu bolała go głowa. Znowu wróciły smutne myśli o rozwodzie, o żałobie, o cierpieniu. Z bólem pomyślał o Joshu. Gdy skończyło się całe zamieszanie związane z napadem na bank, podeszła do niego urzędniczka z opieki społecznej, by odebrać mu chłopczyka. Został sierotą, mając zaledwie roczek. Jakie czeka go dzieciństwo? Przekazywany różnym rodzinom zastępczym, zawsze będzie zawadą, będzie mu brakowało miłości i troskliwej opieki. Nathan był załamany. Okazuje się, że nie można mieć wpływu na wszystko. Życie każdego wisi na włosku. Przekonał się o tym na przykładzie Seana. I swoim własnym.

I pomyśleć, że zawsze lubił wszystko mieć z góry ustalone!

Chociaż irytowało to Mallory, ubezpieczył się przed większością możliwych zagrożeń, takich jak włamanie, pożar, powódź, piorun, terroryzm... Ale nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby przygotować się na coś takiego.

Gdy pytano go, czy wierzy w Boga, odpowiadał oczywiście, że tak. Jak mógłby odpowiedzieć inaczej? Przecież to Ameryka! Kraj, w którym nawet prezydent przysięga na Biblię!

A mimo to w głębi duszy nigdy nie wierzył w tamten świat ani w to, że dusza nadal żyje po śmierci człowieka.

Rozejrzał się. Jego mieszkanie charakteryzowała prostota i nowoczesność, żadnych ekstrawagancji. Urządził je sam już po rozwodzie, ponieważ Mallory nie chciała zamieszkać w dawnym apartamencie ojca. Zazwyczaj czuł się tu bezpiecznie, chroniony przez drewno i marmur, które zdawały się nie ulegać upływowi czasu.



Na jednej ze ścian pokrytych lakierowaną boazerią zawiesił rysunki Mallory, wykonane ołówkiem. Wspomnienie szczęśliwych dni. Przenikał go lęk, ale jednocześnie czuł narastający sprzeciw. Dlaczego on? I dlaczego w taki sposób? Nie chciał umierać tak szybko. Miał do zrobienia jeszcze tyle rzeczy, chciał zobaczyć, jak dorasta córka, chciał odzyskać żonę. Są przecież inni do wzięcia! Nie dokonałem w życiu niczego nadzwyczajnego. Ale też nie zrobiłem niczego złego.

Jeśli istnieją Posłańcy nieszczęścia, to czy śmierć nie powinna kierować się jakąś logiką?

To przecież oczywiste, że tak się nie dzieje! W każdej sekundzie umierają dzieci i niewinni ludzie. Śmierć nie lubi sentymentów. Ludzie z pokorą znoszą śmierć bliskich, mówiąc, że Bóg wzywa do siebie tych, których kocha!

On nie chciał być nigdzie wzywany. Chciał żyć. Tu i teraz. W otoczeniu tych, których kocha.

Co robić?

Na ogół nie czekał, aż wszystko samo się ułoży. Taką miał naturę. W tak wyjątkowej sytuacji powinien podjąć jakąś decyzję i zrobić to jak najszybciej, bo zbliża się czas rozliczenia się ze wszystkiego.

Podszedł do półki, na której leżał gipsowy odlew rączki Bonnie. Musnął go dłonią i wrócił myślami do swojego dzieciństwa.

W pamięci pozostał mu mglisty obraz tamtego czasu — nie zachowały się żadne zabawki ani albumy z fotografiami. U nich w domu nie robiło się zbyt dużo zdjęć...

Nathan popatrzył na pokój. Przy schodach toskański anioł z terakoty stał na warcie pod obojętnym wzrokiem kamiennej pantery, którą Jordan przywiózł z Radzasthanu.

Zdawał sobie sprawę, że chociaż stał się bogaty, nic nie zrekompensuje mu niedostatku z dziecięcych lat.

Nie miał o to żalu do nikogo. Przeciwnie, dobrze rozumiał, że to właśnie ciężkie dzieciństwo ukształtowało jego silny charakter.

Później, na uniwersytecie, wszystko się zmieniło. Umiał wykorzystać daną mu szansę. Chciał odnieść sukces, pracował więc bez wytchnienia, spędzał całe dnie w przestronnych salach uczelnianych bibliotek, ślęcząc nad podręcznikami prawa i opisami spraw sądowych.

Odnosił także sukcesy w sporcie. Nie był wybitnym zawodnikiem, ale stał się ulubieńcem czirliderek, które z zapalem go dopingowały.

Od tamtej pory nie widziano w nim już syna sprzątaczkę z Queens, ale przyszłego wielkiego adwokata, którego czeka wspaniała kariera.

Z tego okresu zachował wiele wspomnień.

Przeszedł przez pokój, położył rękę na żelaznej kutej poręczu i wbiegł po marmurowych schodach prowadzących do sypialni i gabinetu.

Minął ściankę z matowego szkła i metalu, oddzielającą kącik wypoczynkowy, który sam umeblował. Był to rodzaj salonu i jednocześnie biblioteki, w której gromadził także stare płyty i CD.

Na ścianach wisiała kolekcja kasków i spodenek z emblematem Jankesów. Na jednej z półek piłka baseballowa leżała obok trofeów sportowych zdobytych na uniwersytecie oraz fotografii, na której stał przed swoim pierwszym samochodem, mustangiem, kupionym okazji, a jego licznik wskazywał wówczas kilkaset tysięcy przejechanych kilometrów.

Z nostalgią przejrzał stare winylowe płyty z początku lat osiemdziesiątych. Były to dobre czasy rocka, epoka takich zespołów jak Pink Floyd, Dire Straits, Bee Gees, Madonny, zanim się zmieniła...

Miał także i starsze płyty.

A tej nie pamiętam. Musiała należeć do Mallory.

Był to *Imagine*, słynny album Johna Lennona.

Na okładce widniała twarz byłego członka Beatlesów. Lennon w małych okrągłych okularach, zasłaniających szeroko otwarte oczy, przypominał ducha płynącego po firmamencie nieba.

Nie pamiętał tej płyty. Oczywiście znał piosenkę — hymn na cześć pokoju, który wydawał mu się dosyć banalny, bo pacyfistyczne idee piosenkarza zdawały się należeć do minionej epoki. Nathan spojrzął na tył okładki. Album pochodził z września 1971 roku. Zobaczył dedykację, napisaną wiecznym piórem: „Dla Nathana. Byłeś bardzo odważny, zwycięzco. Nie bój się niczego i dbaj o siebie”.

„Zwycięzco”? Nie pamiętał, by ktokolwiek tak się do niego zwracał.

Dedykacja kończyła się niewyraźnie napisanym nazwiskiem. Nathan wyjął płytę z okładki i umieścił na adapterze. Machinalnie ustawił igłę na trzeciej piosence, zatytułowanej *Jealous Guy*.

Kiedy zabrzmiały pierwsze akordy, nagle wszystko mu się przypomniało.

Było to w 1972 roku. Jesienią.

W sali szpitala Nantucket Island.

15

*W rzeczywistości nie wiemy nic,  
bo prawda kryje się na dnie otchłani.*

## **Demokryt**

Wskoczył do jaguara i ruszył w stronę Mystic.

Pędził z taką szybkością, że omal nie spowodował wypadku przy wyjeździe na New Haven. Nie mógł skoncentrować się na prowadzeniu. Oczywiście nie pomagał mu w tym wypity alkohol. W jego głowie kłębiły się obrazy z przeszłości.

Rok 1972.

Miał wtedy osiem lat.

Początek afery Watergate, podróż mediacyjna Nixona do Chin, pierwsze zwycięstwo Amerykanina nad Rosjaninem w szachowych mistrzostwach świata...

W baseballu Asy z Oakland pokonały w finale mistrzostw Czerwonych z Cincinnati, podczas gdy Kowboje z Dallas prowadzili w superpucharze.

Tego lata Nathan pojechał z matką do Nantucket, do rezydencji Wexlerów. Była to jego pierwsza prawdziwa podróż. Po raz pierwszy zobaczył coś więcej niż tylko swoją dzielnicę Queens.

Przed dom Goodricha zajechał późnym popołudniem. Pogoda wciąż się pogarszała. Wiał lodowaty wiatr, ciemne

niebo zlewało się z rozkołysanym morzem, do połowy zasłoniętym piaszczystymi wydiami.

Nathan zadzwonił kilka razy do drzwi, ale nikt nie otworzył. Dziwne. Była niedziela, a Goodrich przyjeżdża tu podobno na wszystkie weekendy.

Skoro Goodricha nie ma, trzeba to wykorzystać. Ten facet niewątpliwie ukrywa przed nim sporo rzeczy.

Rozejrzał się. Dom najbliższego sąsiada znajdował się ponad sto metrów dalej. Musi za wszelką cenę dostać się do środka, choćby miał się włamać. Najprościej byłoby wdrapać się na dach przylegającego do domu garażu i stamtąd próbować zejść na któryś z balkonów.

To nie powinno być zbyt skomplikowane.

Nathan podskoczył, próbując uchwycić się skraju dachu, ale okazało się, że jest za wysoko. Szykował się już, by obejść dom w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby stanąć, by dosięgnąć dachu, gdy nagle nadbiegł czarny, kudłaty pies.

Tak ogromnego psiska nie widział jeszcze nigdy w życiu.

Zwierzę zatrzymało się w odległości dwóch metrów i wpatrywało się w niego z głuchym warczeniem.

Tylko tego brakowało!

Wielki brytan sięgał mu prawie do pasa. Gdyby Nathan zobaczył go w innych okolicznościach, uznałby pewnie, że jest to piękny, silny, rasowy pies. Teraz jednak widział w nim tylko agresywnego cerbera z wyszczerzonymi groźnie zębami, z postawionymi uszami. Krótka lśniąca sierść na napiętej skórze okrywała osiemdziesiąt kilogramów umięśnionego cielska, gotowego do skoku.

Czuł ściekające po plecach krople lodowatego potu. Nigdy nie ufał zbyt psom. Kiedy się poruszył, pies zawarczał jeszcze groźniej, odsłaniając imponujące zębiska.

Nathan zrobił krok do tyłu. W tym momencie pies z niewiarygodnym impetem skoczył, usiłując dosięgnąć jego twarzy. Nathan ledwie zdołał zrobić unik i odepchnąć go kopnięciem. Przerazenie dodało mu sił.

Skoczył tak wysoko, że zdołał

uchwycić się krawędzi dachu garażu. Sądził, że uratował się z opresji, gdy poczuł kły brytana wbijające się w łydkę.

Żeby tylko się nie puścić, bo jeśli spadnę, ten potwór z pewnością mnie pożre.

Trzymał się z całych sił i w końcu pies dał za wygraną. Wtedy Nathanowi udało się jakoś wciągnąć na dach garażu.

Siedział przez chwilę, oddychając ciężko i krzywiąc się z bólu. Nogawka spodni była rozdarta. Podwinawszy ją, stwierdził, że rana jest głęboka i obficie krwawi. Niedobrze. Zajmie się tym później. Zrobił prowizoryczny opatrunek z chusteczki do nosa. Nie mógł zeskoczyć na ziemię, bo pies siedział na dole, nie spuszczając z niego oczu, a z jego obwisłych warg ściekała krwawa ślina.

Przykro mi, stary, ale nie nadaję się do jedzenia. Mam nadzieję, że nie zaraziłeś mnie wścieklizną.

Mimo rany Nathanowi udało się bez większego trudu dostać na jeden z małych balkoników. Tak jak się spodziewał, Goodrich nie zamknął dokładnie zasuwanych okien. Nathan otworzył jedno z nich i wszedł do środka.

Witaj w świecie bezprawia. Jeśli dasz się złapać, możesz się pożegnać z adwokacką licencją.

Już wyobrażał sobie nagłówek krótkiej notki w „National Lawyer”:  
„Znany adwokat z kancelarii Marble&March, złapany na gorącym uczynku, skazany na pięć lat więzienia za włamanie”.

Był na piętrze. Goodrich zostawił podniesione żaluzje, ale z powodu złej pogody w domu panował półmrok.

Słyszał, że pies wciąż szczeka.

Ten potwór postawi na nogi całą okolicę!

Trzeba być ostrożnym i działać szybko.

Korytarz prowadził do dwóch sypialni oraz gabinetu. Tam też wszedł Nathan.

Był to duży pokój z podłogą z jasnego dębowego drewna,

pełen metalowych pólerek z dokumentami, kasetami wideo, dyskietkami i płytami kompaktowymi.

Przejrzał pobieżnie część teczek z dokumentami. Wyglądało na to, że Goodrich trzymał w domu dokumentację medyczną wszystkich pacjentów, którymi się zajmował.

Czy każdy lekarz tak robi?

Teczki ustawione chronologicznie, według miejsc, gdzie chirurg pracował, zawierały dokumentację przypadków od 1968 roku aż do chwili obecnej.

Nathan niecierpliwie przerzucał tecki — szpital w Bostonie, Medical General Presbyterian w Nowym Jorku, Children's Medical Center w Waszyngtonie...

W końcu doszedł do roku 1972.

W tym właśnie roku doktor Goodrich kończył staż chirurgiczny w szpitalu. Miał wówczas dwadzieścia siedem lat. Nathan znalazł mały brązowy zeszytek z nagłówkiem:

***Dziennik z ambulatorium w Nantucket 2 września-25 września 1972 roku.***

Podejrzenia, jakie powziął Nathan, czytając dedykację na płycie Johna Lennona, potwierdziły się. Goodrich rzeczywiście pracował w Nantucket w 1972 roku. Przez dwa tygodnie był na zastępstwie w ambulatorium. Dokładnie w tym czasie, kiedy Nathan miał wypadek! Nic dziwnego, że jego twarz wydawała mu się znajoma.

Przekartkował nerwowo dziennik, aż znalazł to, czego szukał.

***19 września 1972***

**Dziś w ambulatorium mieliśmy trudny przypadek.**

**Późnym popołudniem przywieziono ośmioletniego chłopca w stanie śmierci klinicznej.**

**Według relacji spacerowiczów, którzy wyciągnęli go z wody, nie oddychał już od dzie-**

**sięciu minut. Zostali zaalarmowani krzykiem dziewczynki w tym samym wieku.**

**Zrobiliśmy mu defibrylację, ale nic to nie dało. Mimo to nie przerywałem masażu serca, podczas gdy jedna z sióstr robiła mu sztuczne oddychanie.**

**Udało nam się. Żył. Ale był w stanie śpiączki.**

**Czy dobrze zrobiliśmy, nie usta j ąc w naszych próbach? Nie jestem tego pewien, bo jeśli nawet chłopiec odzyska przytomność, to przecież jego mózg przez długi czas był niedotleniony i wiele komórek musiało ulec zniszczeniu. Mam jednak nadzieję, że uszkodzenia mózgu nie okażą się nieodwracalne...**

Nathan był wzburzony. Tłumione dotąd niejasne wspomnienia teraz wracały wielką falą. Z drżącymi rękami i bijącym sercem czytał dalej.

***20 września 1972***

**Chłopiec odzyskał przytomność wczesnym rankiem, o czym natychmiast mnie powiadomiono.**

**Zbadałem go bardzo dokładnie i muszę przyznać, że byłem zaskoczony. Chłopiec jest bardzo osłabiony, ale porusza nogami i rękami, rozumie wszystkie pytania. Nazywa się Nathan Del Amico.**

**Jest to dziecko nieśmiałe i zamknięte w sobie, ale niezwykle inteligentne. Rozmawiałem z nim przez krótką chwilę.**

**Żeby "oderwać jego myśli od wypadku, przyniosłem do jego pokoju adapter i nastawiłem płytę Lennona. Odniosłem wrażenie, że mu się spodobała...**

**Przed południem przyszła do niego matka. To**



**Włoszka, pracująca jako pokojówka u Jeffrey'a Wexlera, wpływowego człowieka z Bostonu, który ma na wyspie rezydencję. Była bardzo zdenerwowana i żeby ją uspokoić, powiedziałem, że jej syn wykazał się niezwykłą odwagą. Ta kobieta nie mówi dobrze po angielsku i z pewnością zrozumiała zaledwie połowę moich wyjaśnień.**

**Po południu przyszła koleżanka chłopca. To córeczka Wexlera. Tak się o niego martwiła, że pozwoliłem jej na krótkie odwiedziny. Wygląda na bardzo dojrzałą jak na swój wiek i chyba darzy tego chłopca prawdziwą sympatią. Zresztą powinna mu być wdzięczna, bo uratował jej życie.**

***21 września 1972***

**Może wczoraj byłem zbyt wielkim optymistą.**

**Dziś rano długo rozmawiałem z Nathanem. Jego odpowiedzi na moje pytania były nielogiczne. Zastanawiam się, czy ten wypadek nie spowodował jednak pewnych powikłań.**

**Z drugiej strony jest to uroczy chłopiec. Jak na swój wiek ma bardzo bogate słownictwo. Nagrałem tę rozmowę.**

**Sam już nie wiem, co o tym myśleć.**

Nathan zdecydował, że musi poznać to nagranie. Podeszedł do półki, na której stały kartonowe pudła pełne kaset. Zaczął szukać tak nerwowo, że połowę z nich poprzewracał.

W końcu znalazł taśmę z napisem: „21.09.72”.

Na biurku obok komputera zauważył miniwieżę. Wsunął kasetę i po kilku sekundach, wzruszony, usłyszał przywołane z przeszłości głosy.

Pierwszy należał do Goodricha, który przemówił wesoło:

— Cześć, zwycięzco!

— Dzień dobry, panu.

Zupełnie nie pamiętał swojego głosu z dziecięcych lat. Wzmocnił głośność.

— Dobrze spałeś?

— Tak, proszę pana.

W tle słychać było turkot wózka na kółkach. Goodrich chyba go osłuchiwał, bo zadał kilka tradycyjnych pytań dotyczących zdrowia, a dopiero potem zapytał:

— Czy pamiętasz, co ci się przydarzyło?

— Ma pan na myśli wypadek?

— Tak, opowiedz mi o tym.

Zapadła cisza i Goodrich był zmuszony powtórzyć prośbę:

— Opowiedz mi o tym, dobrze?

— Wiem, że umarłem.

— Co takiego?

— Wiem, że umarłem.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo pan tak powiedział.

— Nie rozumiem.

— Kiedy przyniesiono mnie tu na noszach, pan powiedział, że już nie żyję.

— Nie powiedziałem czegoś takiego, a poza tym nie mogłeś tego słyszeć.

— Słyszałem, byłem poza moim ciałem i przyglądałem się panu.

— Co ty opowiadasz?

— Krzyczał pan głośno słowa, których nie zrozumiałem.

— Sam wiesz, że...

Ale Nathan mu przerwał:

— Siostra przyprowadziła wózek z narzędziami, które pan wytarł, zanim przyłożył je do mojej piersi. Potem zawołał pan: „Zaczynamy!” i całe moje ciało się uniosło.

Nathan czuł się nieswojo, słuchając tego słabego głosiku, który należał do niego. Chciał zatrzymać magnetofon, ponieważ przeczuwał, że dalszy ciąg będzie dla niego przykry, ale ciekawość była silniejsza.

— Skąd to wszystko wiesz? Kto ci o tym powiedział?

— Nikt. Fruwałem pod sufitem i wszystko widziałem. Mogłem przelecieć nad całym szpitalem.

— Co ty bredzisz?

Zapadła cisza. Po chwili Goodrich zapytał z niedowierzaniem:

— Co jeszcze widziałeś?

— Nie chcę już z panem rozmawiać.

— Przepraszam, że tak zareagowałem. Chciałem tylko powiedzieć, że opowiadasz zadziwiające rzeczy, w które trudno uwierzyć. No, opowiedz, co jeszcze widziałeś, zwycięzco.

— Zostałem wciągnięty z wielką szybkością do czegoś, co przypominało tunel.

Znowu cisza.

— Słucham cię — powiedział Goodrich.

— Kiedy byłem w tunelu, zobaczyłem całe moje życie przed wypadkiem, widziałem także ludzi. Myślę, że byli to zmarli.

— Zmarli? Co tam robili?

— Pomagali mi przebyć ten tunel.

— A co było na końcu tunelu?

— Nie umiem tego wyrazić słowami.

— Spróbuj.

— Coś w rodzaju białego, łagodnego i zarazem silnego światła — głos chłopca był coraz słabszy.

— I co było dalej?

— Wiedziałem, że zaraz umrę. Chciałem zanurzyć się w tym świetle, ale jakieś drzwi mi na to nie pozwalały.

— Co było przed tymi drzwiami?

— Nie potrafię tego powiedzieć.

— Postaraj się, zwycięzco, proszę cię.

W głosie Goodricha słyszeć było błaganie i Nathan po chwili przerwy powiedział:

— Były tam jakieś istoty...

— Istoty?

— Jedna z nich otworzyła drzwi, żebym mógł wejść w to światło.

— Bałeś się?

— Wcale. Było mi bardzo dobrze. Goodrich nie mógł pojąć logiki tego dziecka.

— Przecież wiedziałeś, że umrzesz.

— Tak, ale wcale się tym nie martwiłem. A potem...

— Co było potem, Nathanie?

— Czuję, że dano mi wybór...

— To znaczy?

— Powiedziano mi, że nie muszę umrzeć, jeżeli nie jestem na to gotowy.

— I wybrałeś tę właśnie możliwość?

— Nie. Chciałem umrzeć. Dobrze się czułem w tym świetle.

— Jak możesz tak mówić?

— Chciałem zagłębić się w to światło.

— Dlaczego?

— Bo tak to już jest ze śmiercią.

— Dlaczego więc nie umarłeś?

— Bo w ostatnim momencie pokazano mi pewną wizję i postanowiłem wrócić.

— Co to była za wizja?

Nathan odpowiedział ledwo słyszalnym z powodu łez głosem:

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Dlaczego?

— To nie powinno pana interesować.

— Co to było, Nathanie?

— Nie mogę powiedzieć. Przepraszam.

— W porządku, zwycięzco, w porządku. Każdy ma prawo do swoich tajemnic.

Nagranie się skończyło. Nathan zaczął płakać. Szlochał jak dziecko, a gdy się uspokoił, przewinął taśmę do przodu, ale dalej już nic nie było. Wrócił więc do lektury dziennika.

***23 września 1972***

**Od dwóch dni nie przestaję myśleć o tym, co usłyszałem od Nathana, i wciąż nie rozumiem, skąd znał tak dokładne szczegóły zabiegów medycznych, którym go poddano.**

**Można by sądzić, że naprawdę wrócił z tamtego świata.**

**Nie słyszałem czegoś podobnego z ust żadnego pacjenta, a tym bardziej od dziecka. To naprawdę niezwykle. Chciałbym porozmawiać o tym z którymś z lekarzy, ale obawiam się, że w świecie medycznym jest to temat tabu.**

**Jest jednak ta Szwajcarka, panna Kubler--Ross ze szpitala Billings w Chicago . Czytałem**

w „Life” jej rozmowy z umierającymi . Ten artykuł, o ile pamiętam, wywołał taki skandal, że została zwolniona z pracy. Podobno dziesiątki osób miały za sobą takie przeżycia jak ten chłopiec.

**Chyba powinienem się z nią skontaktować. 25 września 1972**  
**Chłopiec wyszedł dziś ze szpitala. Nie mogłem go dłużej zatrzymać, bo jego ogólny stan uznano za dobry. Wczoraj wieczorem próbowałem nawiązać do tamtej rozmowy, ale on zamknął się w sobie i nic więcej z niego nie wyciągnąłem. Kiedy dziś rano przyszła po niego matka, zapytałem ją, czy opowiadała synowi o aniołach i raju. Zdecydowanie zaprzeczyła.**

**Na odchodnym podarowałem Nathanowi adapter i płytę Lennona.**

W pokoju było już zupełnie ciemno.

Było też zimno, ale Nathan nie zdawał sobie z tego sprawy. Pograżył się w przeszłości, w latach dzieciństwa, o którym wydawało mu się, że zapomniał. Dlatego nie usłyszał samochodu, który zatrzymał się przed domem.

Ktoś zapalił światło w gabinecie.

Nathan drgnął i odwrócił się w stronę drzwi.

*Wszystkie dni zdążają do śmierci,  
ostatni do niej dociera.*

## **Montaigne**

— Widzę, że zawarł pan znajomość z Cujo.

Na progu stał Garrett Goodrich i z zawodowym zainteresowaniem przyglądał się zranionej nodze Nathana.

— Co pan tu robi, Garrett? — zapytał Nathan, zamykając dziennik jak dziecko przyłapano na psocie.

— Nie sądzi pan, że to ja powinienem zadać to pytanie? — odpowiedział drwiąco Goodrich.

Nathan, drżąc ze wzburzenia, nagle wybuchnął:

— Dlaczego mi pan o tym nie powiedział?! Dlaczego dopiero teraz dowiaduję się, że to pan opiekował się mną trzydzieści lat temu?!

Lekarz wzruszył ramionami.

— Nie przypuszczałem, że mógłby pan zapomnieć człowieka, który uratował panu życie. Prawdę mówiąc, czułem się z tego powodu urażony...

— Idź pan do diabła!

— Zgoda, ale najpierw zdezynfekuję ranę.

— Nie potrzebuję pańskiej troski — mruknął Nathan, idąc w stronę schodów.

— Nie ma pan racji, bo w ślinie psa zawsze są jakieś zarazki. Nathan, będąc już przy schodach, odwrócił się.

— Przecież i tak nie zostało mi wiele czasu...

— Co nie znaczy, że trzeba przyspieszać bieg rzeczy — odparł Goodrich. W kominku huczał ogień.

Na dworze słychać było ryk wiatru, od którego drżały szyby w oknach. Przed domem wirowały tumany śniegu. Była to prawdziwie burzowa noc, niezwykła i zarazem straszna.

Nathan siedział w fotelu z nogą na taborecie, z kubkiem parującego grogu w rękę. Zdażył się już uspokoić.

Goodrich założył okulary, żeby obmyć ranę wodą z mydłem.

— Aj!

— Przepraszam.

— Czy to przeznaczenie przysłało pańskie przemile psisko, by przyspieszyć moją śmierć? — zażartował Nathan.

— Niech się pan tak nie przejmuje — odpowiedział lekarz, płucząc kompres — rzadko umiera się z powodu ugryzienia przez psa.

— A co się robi w wypadku wściekliczny lub tężca?

— Mogę panu pokazać jego świadectwo szczepienia, ale oczywiście zastosujemy coś przeciw tężcowi. — Powiedziawszy to, Goodrich przemył ranę środkiem antyseptycznym.

— Aj!

— Ależ z pana delikacik! Choć muszę przyznać, że rana jest dość głęboka. Naruszone zostało ścięgno Achillesa. Uważam, że powinien pan jutro pójść do szpitala.

Nathan popił grogu, wpatrzył się w przestrzeń, po czym zapytał:

— Niech mi pan wyjaśni, Garrett, jak mogłem przeżyć to utonięcie?

— Ten przypadek sam w sobie nie jest niczym wyjątkowym. Często udaje się odratować dzieci, które wpadły do jeziora lub rzeki.

— Jak to możliwe?

— Najczęściej topielcy umierają z powodu uduszenia. Wpadają w panikę i usiłują nie dopuścić do tego, by woda wdarła się do płuc. W ten sposób szybko wyczerpuje się zapas tlenu i w końcu się duszą.



— A co się stało w moim przypadku?

— Bez wątpienia nie walczył pan z wodą zalewającą panu płuca, co spowodowało u pana stan hipotermii. Nastąpiło takie spowolnienie pracy serca, że niemal przestało bić.

— A moje wizje były z rodzaju tych, które określa się jako *Near Death Experience*<sup>17</sup>

— Tak jest, ale na początku lat siedemdziesiątych nikt jeszcze nie mówił o NDE. Dziś jest to zjawisko dobrze znane. Doświadczenia podobne do pańskich przeżyło tysiące ludzi na całym świecie. Wszystkie ich relacje zostały zebrane i dokładnie zbadane przez naukowców.

— Są tam podobieństwa do mojego przypadku?

— Tak, wiele osób mówi o tunelu, o intensywnym świetle, o wrażeniu zanurzania się w nieskończoną miłość.

— Ale dlaczego nie umarłem?

— Nie nadeszła jeszcze wtedy pańska godzina. To wszystko.

— Aj! Pan chyba specjalnie robi tak, żeby mnie bolało!

— Przepraszam, ręka mi się obsunęła.

— No tak... bierze mnie pan za idiotę.

Lekarz jeszcze raz go przeprosił, po czym przyłożył do rany opatrunek z antyseptyczną maścią. Jednak ciekawość Nathana nie została zaspokojona, powrócił więc do pytań:

— Czy NDE można interpretować jako dowód na życie po śmierci?

— Z całą pewnością nie — odrzekł lekarz kategorycznie. — Skoro jest tu pan teraz, to znaczy, że pan wtedy nie umarł.

— No to gdzie byłem?

---

<sup>1</sup> NDE — doświadczenie bliskości śmierci.

— Gdzieś między życiem a śmiercią. Ale nie był to jeszcze tamten świat. Możemy tylko stwierdzić, że stan świadomości trwa dłużej niż normalne funkcjonowanie mózgu.

— Nie ma jednak dowodów na to, że jest to stan trwały?

— Otóż to — przyznał lekarz. — Niech mi pan powie, Nathanie, jaka była ta pańska wizja?

Twarz adwokata spochmurniała.

— Nie pamiętam.

— Niech pan nie będzie dziecinny. Muszę to wiedzieć! Ale Nathan i tym razem postanowił milczeć.

— Już powiedziałem, że nie pamiętam!

Goodrich zdał sobie sprawę, że niczego z niego nie wyciągnie. Zresztą ta niechęć do mówienia była całkowicie zrozumiała. Nathan otarł się tak blisko o śmierć, przeżył tak niezwykle doświadczenie, że woli zachować dla siebie tajemnicę swojego cudownego ocalenia.

Żeby przerwać ciężką ciszę, Goodrich poklepał się po brzuchu i powiedział beztrąsko:

— A może coś przekąsimy? Co pan na to?

Siedząc w kuchni, kończyli posiłek. Garrett dokładał sobie kilka razy na talerz, podczas gdy Nathan prawie nie tknął jedzenia.

Dwadzieścia minut wcześniej, wskutek nagłej przerwy w dopływie prądu, cały dom pogrążył się w ciemnościach. Goodrich stwierdził, że przepaliły się bezpieczniki, ale nie miał zapasowych. Przyniósł dwie lampy naftowe, które rozjaśniły kuchnię migotliwym światłem.

Nathan spojrział w okno. Burza nie zamierzała się uspokoić. Wiatr gwałtownie zmieniał kierunek, wiejąc ze wszystkich stron. Na dworze panowały nieprzeniknione ciemności. O wyjściu na zewnątrz nie było mowy.

Nathan pokiwał głową i szepnął jakby do siebie:

— Posłańcy...

Goodrich się zawahał. Doskonale rozumiał, że adwokat przeżył głęboki wstrząs.

— Już nie jest pan taki sceptyczny? — zapytał ostrożnie.

— Jestem przybity. Czego się pan po mnie spodziewa? Że będę skakał z radości pod sufit, bo jestem następny na liście?

Goodrich nie odpowiedział. Zresztą co mógłby powiedzieć?

— Jestem za młody, żeby umierać! — wykrzyknął Nathan, zdając sobie sprawę z kruchości tego argumentu.

— Nikt nie jest za młody na śmierć — odrzekł surowo Goodrich. — Umieramy w przewidzianej dla nas godzinie, i to wszystko.

— Nie jestem gotowy, Garrett. Lekarz westchnął.

— Wie pan, rzadko kiedy jest się na to gotowym.

— Muszę mieć więcej czasu! — Nathan wstał od stołu. Lekarz próbował go zatrzymać.

— Dokąd pan idzie?

— Jest mi zimno. Idę się ogrzać do salonu.

Owinał się pledem, leżącym na kanapie, i kulejąc, podszedł do kominka. Lekarz dołączył do niego po chwili.

— Przyda się panu coś na wzmocnienie — powiedział, wręczając mu kieliszek.

Nathan opróżnił zawartość kieliszka jednym haustem. Trunek miał smak miodu i palonych migdałów.

— Mam nadzieję, że nie zamierza mnie pan otruć.

— Pan żartuje. To stary likier z regionu Sauternes. Napelniwszy swój kieliszek, usiadł obok adwokata. Ogień na kominku oświetlał pokój czerwonym blaskiem.

Zniekształcone cienie dwóch mężczyzn skakały na ścianach.

— Czy nie da się czegoś wynegocjować? — zapytał Nathan z nikłą nadzieją w głosie.

— Proszę nawet o tym nie myśleć.

— Nie mają szans nawet ci, którzy żyli ucziwie?

— Niech pan nie będzie śmieszny.

Nathan zapalił papierosa i zaciągnął się nim głęboko.

— Proszę mi opowiedzieć wszystko o Posłańcach. Wydaje mi się, że mam prawo to wiedzieć.

— Istotę sprawy już panu wyjaśniłem. Mogę przewidzieć, że ktoś niedługo umrze, ale nie mam żadnych innych możliwości: ani wszechwiedzy, ani szczególnej siły.

— Ale nie jest pan jedyny?

— Oczywiście, że nie. Przekonałem się, że istnieją jeszcze inni Posłańcy.

— Tworzycie coś w rodzaju bractwa?

— Można to tak nazwać. Na świecie jest wielu Posłańców, ale niewielu ludzi wie o ich istnieniu.

— Nadal nie bardzo w to wierzę.

— Rozumiem pana.

— A jak się rozpoznajecie?

— Nie ma jakichś specjalnych sposobów. Często wystarcza wymiana spojrzeń... nic szczególnego...

— Nie jesteście nieśmiertelni?

Na twarzy Goodricha pojawił się wyraz udanego przestachu.

— Skądże. Posłańcy starzeją się i umierają jak wszyscy ludzie. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Nie jestem półbogiem. Jestem tylko człowiekiem jak pan.

Nathan dał się ponieść ciekawości.

— Ale nie zawsze posiadał pan ten dar, prawda? Kiedy leczył mnie pan w siedemdziesiątym drugim roku, jeszcze nic pan o tym nie wiedział?

— Nie, ale pański przypadek wzbudził we mnie zainteresowanie problemem NDE i opieką paliatywną.

— A jak się to wszystko zaczęło? Czy można obudzić się pewnego ranka i stwierdzić: „Jestem Posłańcem”?

Garrett zawahał się.

— To się czuje.

— Kto o tym wie? Był pan żonaty. Czy członkowie pana rodziny o tym wiedzieli?

— Nikt nie ma prawa o tym wiedzieć. Nigdy. Czy chciałby pan żyć z kimś, kto ma tego rodzaju dar?

— Czy jest to coś, co się wybiera?

— Są rzeczy, które trudno odrzucić. A czy się wybiera...

— Jak rekrutowani są Posłańcy? Czy to rodzaj kary, czy przeciwnie — nagroda?

Goodrich zachmurzył się i długo milczał.

— Nie potrafię odpowiedzieć.

— A czy mógłbym chociaż dowiedzieć się, dlaczego niektórzy mają prawo być Posłańcami?

— Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Jesteśmy jakby pracownikami socjalnymi. Nie wybieramy tych, z którymi mamy do czynienia.

— A... czy... istnieje coś po śmierci?

Goodrich wstał, by dorzucić do ognia. Spojrzał uważnie na Nathana. Na chwilę powrócił myślami do małego chłopca, którego leczył trzydzieści lat temu. Dziś znowu chciałby go uratować.

— Niech mi pan pomoże, Garrett.

— Nie wiem więcej od pana o życiu po śmierci. To kwestia wiary.

— Dlaczego nie chce pan wytłumaczyć tego jaśniej? Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy mam rację — czas nagli, prawda?

— Tak — przyznał Goodrich — czas szybko biegnie.

— To co mi pan radzi? Goodrich rozłożył bezradnie ręce.

— Ważne jest to, że nadal kocha pan żonę. Powinna się o tym dowiedzieć.

Nathan pokręcił głową.

— Nie sądzę, żeby to był właściwy moment. Wydaje mi się, że nie jesteśmy jeszcze gotowi.

— Nie jesteście gotowi? Ależ niech się pan spieszy, na miłość boską! Sam pan stwierdził, że czas ucieka.

— Myślę, że to już skończona sprawa. Od jakiegoś czasu widuje się z innym mężczyzną.

— Nie przypuszczam, żeby była to przeszkoda nie do przebycia dla kogoś takiego jak pan.

— Nie jestem supermanem.

— To prawda — zgodził się lekarz z życzliwym uśmiechem. Ściągając brwi, jakby usiłował coś sobie przypomnieć, dodał: — Przyszła mi do głowy pewna myśl...\*

— Co takiego? — zapytał zaintrygowany Nathan.

— Chodzi o pański wypadek. Drugiego lub trzeciego dnia Mallory przyszła po południu, żeby pana zobaczyć. Spał pan bardzo głęboko, więc nie pozwoliłem jej pana budzić. Mimo to siedziała godzinę, a odchodząc pocałowała pana.

— Dlaczego pan to zapamiętał?

Goodrich widział, jak oczy Nathana błyszczą w świetle lampy.

— Bo odtąd przychodziła codziennie.

Nathan, najwyraźniej wzruszony tym, co powiedział Garrett, otrząsnął się, jakby wracając do rzeczywistości.

— Wie pan dobrze, że nie da się zbudować życia na wspomnieniach z dzieciństwa. Moje stosunki z Mallory zawsze były skomplikowane.

Goodrich wstał.

— Dotyczy to większości małżeństw — stwierdził, wkładając płaszcz.

— Zaraz! Dokąd pan się wybiera?

— Wracam do Nowego Jorku.

— W środku nocy? W taką pogodę?

— Nie jest jeszcze późno, a na drogach nie będzie tak dużego ruchu jak rano. Zresztą panu radzę zrobić to samo, jeśli nie chce pan utknąć tu na cały tydzień.

Już na progu odwrócił się i powiedział:

— Proszę nie zapomnieć wrzucić kluczy do skrzynki na listy. — A po sekundzie dodał: — Zaprowadzę Cujo do garażu, proszę więc tamtędy nie chodzić.

Kiedy Nathan został sam, długo patrzył w ogień przygasający w kominku. W jaki sposób Goodrich, który codziennie ma do czynienia ze śmiercią, potrafi zachować pogodę ducha?

Wciąż jeszcze w szoku, Nathan przekonywał sam siebie, że on także musi się z tym uporać. Jeszcze nie wiedział, co robi, ale nie pozostanie bierny. Zaczynał uświadamiać sobie, że czas nagli.

Że trzeba się spieszyć.

Prądu nadal nie było. Nathan wziął jedną z lamp naftowych i kulejąc, poszedł na górę, do gabinetu, gdzie znajdowały się teczki z dokumentacją medyczną.

W pokoju panował przenikliwy chłód, od którego dostał gęsiej skórki. Postawił lampę na podłodze. Miał wrażenie, jakby był w kostnicy, dzieląc smutny los licznych zmarłych.

Wziął kasetę oraz dziennik Goodricha i schował do kieszeni.

Ale zanim wyszedł, bez żenady przejrzał zawartość pozostałych półek, nie bardzo wiedząc, czego właściwie szuka. Zauważył, że poza teczkami z dokumentacją medyczną, ułożonymi chronologicznie, było sporo pudełek poświęconych w całości indywidualnym przypadkom. Na dwóch z nich widniał napis:

Emily Goodrich (1947-1976)

Otworzył pierwsze pudełko i wyjął leżącą na wierzchu plastikową koszulkę.

Zawierała dokumentację dotyczącą pierwszej żony Goodricha.

Nathan ukucnął i zabrał się do przeglądania papierów. Był to szczegółowy opis choroby zwanej ziarnicą złośliwą, atakującą system immunologiczny.

Inne dokumenty odzwierciedlały walkę, jaką kobieta toczyła

z chorobą, od momentu, kiedy ją u niej stwierdzono w 1974 roku, aż do jej śmierci dwa lata potem — analizy, opinie lekarzy z różnych szpitali, chemioterapia...

Kiedy otworzył drugie pudełko, znalazł gruby album.

Przysunął bliżej lampę. Był to dziennik zapisany okrągłym pismem żony Garretta, która prowadziła coś w rodzaju kroniki dwóch ostatnich lat swojego życia.

Czy ma prawo poznawać cudze myśli, czytać zwierzenia Emily Goodrich? Wiedział, że nie ma nic gorszego, niż zakłócanie intymności innych ludzi. Przeszukiwać archiwa Goodricha to jedno, ale zaglądać do pamiętnika jego żony to zupełnie inna sprawa. Zamknął zeszyt.

Jednak ciekawość przeważyła. Nie była to niezdrowa ciekawość. Żona Garretta opisała ostatnie dni swojego życia, będąc w pewnym sensie w tej samej sytuacji co on. Może się czegoś od niej nauczyć?

Otworzył ponownie album.

Znalazł w nim zdjęcia, rysunki, wycinki z gazet, zasuszone kwiaty...

Nie było w tym nic ckiego. Dziennik świadczył raczej o niezwyklej wrażliwości artystycznej tej kobiety. Przeczytał uważnie kilka notatek, które zawsze kończyły się tą samą konkluzją: świadomość bliskiej śmierci powoduje, że człowiek zaczyna inaczej żyć, cieszy się w pełni czasem, który mu został, godzi się z tym, że jest skazany.

Zdjęcie przedstawiające ją podczas joggingu podpisała:

„Biegnę tak szybko, że śmierć nigdy mnie nie dogoni”.

Na jednej ze stron, gdy zaczynała chemioterapię, przykleiła kosmyk swoich włosów.

Zapisywała także nurtujące ją wątpliwości. Jedno pytanie powracało na wielu stronach: „Czy jest takie miejsce, do którego wszyscy zmierzamy?”.

Dziennik kończył się wspomnieniem pobytu na południu Francji. Emily zachowała rachunek hotelowy i kartkę pocztową z sosnowym lasem i skałami zalanyymi słońcem z datą: czerwiec



1976 roku. A więc została napisana kilka miesięcy przed jej śmiercią. Na dole w prawym rogu można było przeczytać: „Widok z przylądka w Antibes”.

Obok przykleiła dwie małe koperty — do jednej wsypała biały piasek, do drugiej włożyła zasuszone zioła.

Nathan przyłożył kopertę do nosa i poczuł zapach lawendy. A może to tylko jego wyobraźnia?

Do ostatniej strony przypięty był list. Nathan natychmiast rozpoznał charakter pisma Goodricha. List miał datę... 1977 rok. Goodrich pisał do żony, która nie żyła już od roku!

*Wyjaśnij mi, Emily, jak mogłaś tak cieszyć się pobytem w Antibes, skoro wiedziałaś, że nie ma dla Ciebie ratunku?*

*Jak udało Ci się być nadal piękną i wesołą? I skąd ja czerpałem odwagę, by się nie załamać?*

*Spędziliśmy razem jeszcze kilka szczęśliwych dni. Pływaliśmy łowiliśmy ryby i piekliśmy je na ruszcie. Często spacerowaliśmy po plaży, wdychając świeże wieczorne powietrze.*

*Widząc Cię, jak biegiesz po piasku w krótkiej letniej sukience, chciałem wierzyć, że śmierć Cię oszczędzi, że zostaniesz w cudowny sposób uzdrowiona, moja święta Emily, i że zaskoczysz tym wszystkich lekarzy świata.*

*Któregoś dnia siedziałem na tarasie i włączyłem na cały regulator Wariacje Goldbergowskie Bacha, których tak często słuchaliśmy.*

*Przyglądałem Ci się z daleka i miałem ochotę płakać. Ale zamiast tego uśmiechnąłem się do Ciebie, a Ty zaczęłaś tańczyć w słońcu. Wyciągnęłaś ramiona, zapraszając, bym do Ciebie dołączył, bo chciałaś popływać.*

*Tego wieczoru Twoje usta były wilgotne i stonawe. Obsypując mnie pocałunkami, pokazałaś mi na nowo niebo, morze, ciepły dreszcz, przenikający nasze ciała, gdy suszyliśmy się na słońcu.*

*Minął już prawie rok, odkąd mnie opuściłaś. Bardzo mi Ciebie brak. Wczoraj były moje urodziny, ale mam wrażenie, że już nie przybywa mi lat.*

Nathan przekartkował jeszcze kilka stron albumu. Znowu natrafił na pismo Goodricha.

Był to bardzo smutny fragment, opowiadający o tym, jak umierała Emily. *Nadszedł październik. To już koniec. Emily nie wstaje z łóżka.*

*Trzy dni temu poczuła się trochę lepiej i usiadła po raz ostatni do pianina. Grała sonatę Scarlattiego z powtarzaną zmianą palców prawej ręki i akordami arpeggio lewej.*

*Znowu zaskoczyła mnie brawurą wykonania tego utworu. Nauczyła się go grać, gdy była jeszcze małą dziewczynką.*

*Kiedy zanosilem ją do łóżka, powiedziała:*

*— Grałam to dla ciebie.*

*Przez kilka dni szalała burza i wichura. Morze wyrzucało na brzeg grube pnie.*

*Emily już nie wstaje. Ustawiłem jej łóżko w salonie, w miejscu, gdzie pada światło z okna.*

*Nie chce iść do szpitala, woli być w domu. Codziennie przychodzi do niej lekarz. Nie ufam mojej wiedzy medycznej.*

*Oddycha z coraz większym trudem. Prawie przez cały czas ma temperaturę, dreszcze i skarży się na zimno, choć jej ciało jest rozpalone. Wprawdzie grzeją kaloryfery, ale palę w kominku.*

*Od ponad miesiąca nie rozmawiam z nikim poza Emily i jej lekarzem.*

*Patrzę na niebo i ocean. Stanowczo za dużo piję. To żalotne. Wierzyłem, że różnię się od innych ludzi, a teraz jak pierwszy lepszy pogrążam się w alkoholu. Myślałem, że to złagodzi moje*

*cierpienie i pozwoli zapomnieć o tym piekle. A tymczasem jest wręcz przeciwnie. Alkohol wcale nie przytępia moich zmysłów, lecz je wyostrza. W ten sposób nie pomogę Emily.*

*Emily już nie mówi. Nie może wydobyć z siebie słowa. Straciła dwa zęby. To straszne.*

*Nie spodziewałem się czegoś takiego. Nie byłem na to przygotowany. Widziałem już wielu umierających ludzi. Śmierć to część mojego zawodu. Ale nie ma to nic wspólnego z tym, co teraz przeżywam.*

*Otworzyłem kolejną butelkę doskonałego wina, które od razu wypilem, nie czując żadnego smaku.*

*Dziś w chwili przytomności poprosiła, by wstrzyknąć jej morfinę.*

*Obawiałem się tego od dawna, choć wiedziałem, że wcześniej czy później mnie o to poprosi.*

*Rozmawiałem z lekarzem. Nie oponował.*

*Nathan zaszokowany tym, co przeczytał, zamknął album. Zszedł do salonu, zgasił obie lampy, zamknął drzwi i wyszedł w noc.*

*„Czy jest takie miejsce, do którego wszyscy zmierzamy?”*

*Trzeba nauczyć się żyć, ale na to jest już za późno...*

## **Aragon**

Jechał nocą zaśnieżonymi drogami.

To był bardzo trudny wieczór. Po przeżytych emocjach pograżył się w smutnej zadumie, która powoli przekształcała się w niepokój połączony ze straszliwą świadomością, że utracił kontrolę nad swoim życiem.

Chwilami, jadąc pustymi drogami, odnosił wrażenie, jakby nie należał już do tego świata, jakby był czymś w rodzaju ducha blakającego się po równinach Nowej Anglii.

I pomyśleć, że czasami skarżył się na swoje życie: za dużo pracy, za wysokie podatki, za wiele ograniczeń...

Mój Boże! Ależ był głupi! Nie ma nic lepszego od samego istnienia. Nawet dzień smutku, to przecież dzień życia. Teraz zdał sobie z tego sprawę. Szkoda, że nie rozumiał tego wcześniej.

No cóż, stary, nie ty pierwszy znalazłeś się w takiej sytuacji. Na tym właśnie polega problem ze śmiercią, że zmusza do zadania sobie bardzo istotnych pytań, kiedy już jest na to za późno.

Uśmiechając się do siebie, pozbawiony złudzeń, spojrzął we wsteczne lusterko. Zobaczył w nim twarz człowieka, któremu odroczone wykonanie wyroku. Co on tak naprawdę myśli o śmierci?

Daj spokój, chłopie, to nie pora na oszukiwanie się.

Powiem ci, co się wydarzy: serce przestanie bić i wszystko się skończy. Człowiek jest tylko zbiorem komórek. Jego ciało rozpada się w ziemi lub zostaje spalone w krematorium. I koniec. Basta. Cała reszta to zwykła bzdura.

Tak właśnie myślał, jadąc w ciemnościach.

Zimno było coraz bardziej dokuczliwe. Z jego ust wydobywały się obłoczki pary. Włączył ogrzewanie, snując dalej swoje rozważania.

A jeśli mimo wszystko człowiek składa się nie tylko z cielesnej powłoki? Jeśli jest coś poza nią? Kto wie?

Może naprawdę istnieje jakaś siła niezależna od ciała? Dusza.

Właściwie dlaczego nie, skoro są istoty zdolne przewidzieć śmierć?

Gdyby powiedziano mu o Posłańcach rok temu, nieźle by się ubawił.

Tymczasem dziś już nie wątpi w ich istnienie.

Ale jeśli nawet uznać istnienie energii, która opuszcza ciało po śmierci, to pozostaje pytanie, którędy uchodzi? I dokąd zmierza? Czy do „tamtego świata”, o który otarł się jako dziecko?

Wtedy śmierć wydawała się mu niebezpiecznie słodka, niezwykle kusząca, jak sen podczas narkozy. Było mu wtedy tak dobrze. Dlaczego więc wrócił? Wysiłkiem woli odsunął od siebie to wspomnienie. Niejasno czuł, że wciąż nie jest gotowy do konfrontacji z tym epizodem swojego życia.

Ogarnął go lęk. Wiele by dał, żeby móc uczestniczyć w tej grze jeszcze przez jakiś czas. Choćby kilka dni czy nawet kilka godzin.

W miarę jak zbliżał się do miasta, ruch na drodze był coraz większy.

Pojawiła się tablica informująca, że dojeżdża do Nowego Jorku, a po godzinie znalazł się przed swoim domem.

Wszedł do holu. Z daleka zobaczył wytrwale tkwiącego na swoim posterunku Petera, który wdał się w pogawędkę z jakąś starszą lokatorką. Czekaając na windę, słyszał fragmenty ich rozmowy.

— Dobry wieczór, pani Fitzgerald, wesołych świąt.

— I ja panu życzę wesołych świąt, Peter. Uściski dla Melissy i dzieci.

Dla Melissy i dzieci?

Nathan nawet nie wiedział, że Peter ma dzieci. Nigdy nie znalazł czasu, by zamienić z nim choć parę słów na temat rodziny. Oto, czego brakuje w jego życiu: nie interesuje się innymi ludźmi. Przypomniało mu się zdanie powtarzane często przez Mallory: „Zajmować się innymi, to zajmować się sobą”.

Nathan zamknął drzwi mieszkania.

Był wykończony. Powrót zajął mu dwie godziny. Piekielnie trudno mu się prowadziło, ponieważ padał coraz gęstszy śnieg, który gdzieśgdzie przymarzał do jezdni. Nie bez znaczenia był coraz dotkliwszy ból w zranionej nodze.

W ciągu ostatnich kilku dni często zastanawiał się, jak jego organizm zachowa się w obliczu śmierci. No cóż... lepiej nie mieć złudzeń, wzięwszy pod uwagę, jak zginęli Kevin i Candice.

Pokuśtykał do apteczki, połknął dwie tabletki aspiryny, żeby uśmierzyć ból, po czym opadł na fotel. Stożące na półce na lewo od niego niezwykle cenne drzewko bonsai traciło liście.

Nie wiedział, jak pielęgnować tę roślinę, którą dostał w prezencie od Mallory. Choć regularnie je przycinał i spryskiwał wodą, drzewko żółkło z każdym dniem coraz bardziej i traciło liście.

Zdecydowanie brakowało mu umiejętności żony, która radziła sobie ze wszystkimi drobnymi rzeczami, umilającymi życie.

Zamknął oczy.

Miał wrażenie, jakby dopiero przedwczoraj dostał dyplom ukończenia studiów, a wczoraj po raz pierwszy został ojcem. I już musi przygotowywać się do odejścia? Nie, to niemożliwe.

Dręczyła go też inna myśl. Wyobrażał sobie Vince'a Tylera

całującego Mallory, głaszczącego jej włosy, rozbierającego ją powoli przed miłosnym aktem.

Boże, jakie to niesmaczne! Vince to kretyn bez cienia wrażliwości, bez zmysłu krytycznego. Mallory naprawdę zasługuje na kogoś lepszego. Niechętnie otworzył oczy i jego wzrok padł na obraz przedstawiający bezkształtną rdzawą plamę na prawie białym tle. Jego żona bardzo lubiła ten obraz, choć tak naprawdę wcale go nie rozumiała.

Wziął pilota i zaczął przeskakiwać z jednego kanału na drugi: kolejny spadek na giełdzie, krótkometrażowy film Ozzy'ego Osbourne'a, Hillary Clinton u Davida Lettermana; niewyraźna twarz Tony'ego Soprano w płaszczu kąpielowym, film dokumentalny o Saddampie, kazanie jakiegoś ewangelickiego kaznodziei i wreszcie Lauren Bacall, mówiąca do Bogarta w filmie *Mieć i nie mieć*: „Jeśli będziesz mnie potrzebował, zagwiżdż”.

Chciał zatrzymać się na tym kanale trochę dłużej, ale zobaczył błyskający sygnał na automatycznej sekretarce. Z trudem wstał i nacisnął klawisz. W apartamencie rozległ się wesoły głos Bonnie:

— Cześć, tatusiu, to ja. Jak się czujesz? Wiesz, dzisiaj w szkole uczyliśmy się o wielorybach. I dlatego chciałam cię o coś poprosić. Czy moglibyśmy pojechać na wiosnę i zobaczyć, jak przyplływają do Stellwegon Bank? Mama mówiła, że zabrałaś ją tam dawno temu i że było super. Ja też chciałabym tam pojechać. Nie zapominaj, że zamierzam zostać weterynarzem i że bardzo by mi się to przydało. Do szybkiego zobaczenia. W telewizji dają teraz *Simpsonów*. Całuski.

Nathan zamyślił się, wspominając tamtą wycieczkę. Od początku wiosny do połowy października wieloryby pokonują drogę od Wysp Karaibskich do Grenlandii przez zatokę Maine. Jest to spektakl naprawdę wart tak dalekiej podróży. Bonnie powinna to zobaczyć.

Być może jednak nie on ją tam zawiezie. Do kwietnia jest

jeszcze daleko, a gdzieś tam we wszechświecie ktoś zdecydował, że w życiu Nathana Del Amico nie będzie „następnej wiosny”.

Wrócił więc myślami do maja 1994 roku, do rześkiego słonecznego popołudnia na morzu u wybrzeży Massachusetts.

Siedzieli z Mallory na dziobie wynajętej łodzi, która kotwiczyła przed wielką ławicą piasku między Cape Cod i Cape Ann.

Ulokował się tuż za Mallory, oparłszy podbródek na jej ramieniu. Oboje wpatrywali się w spokojną aż po horyzont powierzchnię morza.

Nagle Mallory coś dostrzegła.

Z głębi oceanu wynurza się stado piętnastu wielorybów, wypluwających fontanny wody na wysokość wielu metrów.

Wkrótce tuż obok łodzi widać już ich głowy i grzbiety. Ważące pięćdziesiąt ton kolosy ocierają się o burty, cicho popiskując. Mallory odwraca się i z uśmiechem patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

Oboje mają świadomość, że przeżywają coś wyjątkowego.

A zaraz potem wieloryby znów się zanurzają. Z niezwykłym wdziękiem unoszą wysoko rozwidlone ogony, żeby za moment zniknąć w oceanie, a ich ostre piski stają się coraz cichsze.

Na niebie pojawiły się ptaki, by znów wziąć w posiadanie swoje terytorium.

W drodze powrotnej właściciel łodzi, stary rybak z Provin-cetown, opowiedział im przedziwną historię.

Pięć lat temu znaleziono na plaży dwa małe wieloryby, które wypęzły na piasek.

Większy z nich, samiec, był ranny i obficie krwawił z lewego ucha. Drugi wyglądał na zdrowego. Fale przyływu w tym miejscu nie były silne, wydawało się więc, że wieloryby mogły wypłynąć na pełne morze w każdej chwili. Przez czterdzieści osiem godzin ludzie ze straży przybrzeżnej podejmowali próby ocalenia zdrowego wieloryba, przeciągając go za pomocą łodzi i lin na pełne morze.



Jednak za każdym razem, kiedy wrzucano samicę do wody, ta, żałośnie piszcząc, natychmiast wracała na brzeg do swojego towarzysza i układała się obok niego, jakby chcąc go chronić swoim ciałem.

Rankiem trzeciego dnia samiec zmarł i wtedy po raz ostatni zaciągnięto ocalałą samicę do wody. Tym razem już nie próbowała wypełznąć na plażę, lecz pozostała blisko brzegu, pływając w kółko i wydając długie żałosne piski, które przejmowały zgrozą przebywających na plaży spacerowiczów.

Trwało to bardzo długo. Gdy samica dopełniła pogrzebowego rytuału, wypłynęła na piasek i wkrótce potem także zmarła.

— To niezwykle, jak bardzo mogą być do siebie przywiązane takie zwierzęta — westchnął rybak, zapalając papierosa.

— To głupie — stwierdził Nathan obojętnie.

— Nie masz racji — zaproponowała Mallory po krótkim milczeniu.

— Co masz na myśli? Nachyliwszy się do jego ucha, szepnęła:

— Gdyby coś takiego przytrafiło się tobie, ja postąpiłabym tak samo.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie — odrzekł, całując ją i kładąc rękę na jej brzuchu.

Mallory była wówczas w szóstym miesiącu ciąży.

Nathan zerwał się na równe nogi.

Co ja tu właściwie robię, rozpamiętując przeszłość na tej kanapie, zamiast być z moją żoną i córką?

Zegar w odbiorniku radiowym pokazywał 2.14, ale wzięwszy pod uwagę różnicę czasu, w Kalifornii była dopiero dwudziesta trzecia.

Podniósł słuchawkę i nacisnął pierwszy wpisany numer. Po kilku sygnałach odezwał się zmęczony głos:

— Słucham?

— Dobry wieczór, Mallory. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

— Dlaczego dzwonisz tak późno? Coś się stało?

— Nic takiego.

— Więc czego chcesz? — zapytała nieprzychylnie.

— Przede wszystkim liczę, że potraktujesz mnie nieco uprzejmie. Mallory zignorowała tę uwagę i powtórzyła ze znużeniem:

— O co chodzi, Nathanie?

— Chciałbym zabrać Bonnie już jutro.

— Co takiego? Chyba nie mówisz poważnie?

— Pozwól, że ci wyjaśnię...

— Tu nie ma nic do wyjaśniania — przerwała ostro. — Bonnie musi chodzić do szkoły do końca tygodnia!

— Może poleniuchować kilka dni. Nie rób z tego problemu...

Mallory nie pozwoliła mu dokończyć.

— A czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego chcesz przyspieszyć swój przyjazd?

Bo wkrótce umrę, kochanie.

— Wziąłem kilka dni urlopu i muszę zobaczyć się z Bonnie.

— Przecież już wcześniej ustaliliśmy...

— Zgadza się, ale to także moja córka — powiedział głosem, w którym wyczuwało się lęk. — Przypominam ci, że wychowujemy ją oboje.

— Wiem — przyznała trochę łagodniej.

— Gdybyś ty mnie o to prosiła, nie robiłbym takich problemów. Mallory nie odpowiedziała, ale Nathan słyszał jej oddech. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

— Czy twoi rodzice nadal są w Berkshires?

— Tak, zamierzają spędzić tam święta.

— Jeśli pozwolisz mi zabrać Bonnie jutro, jestem gotów pojechać z nią do nich na dwa dni.

Zawahała się, po czym zapytała z niedowierzaniem:

— Zrobisz to?  
— Jeśli trzeba, pojedę tam z nią.  
— Prawdę mówiąc, dawno nie widziała dziadków — stwierdziła Mallory.  
— A więc zgoda?  
— Jeszcze nie wiem. Pozwól mi się zastanowić. Ponieważ zamierzała odłożyć słuchawkę, zdecydował się zadać jej pytanie, które już długo leżało mu na sercu.  
— Czy pamiętasz czasy, kiedy mówiliśmy sobie wszystko? Nie odzywała się. Szybko więc dodał:  
— Idąc ulicą, zawsze trzymaliśmy się za ręce, dzwoniliśmy do siebie do pracy po trzy razy dziennie, dyskutowaliśmy całymi godzinami...  
— Po co do tego wracać?  
— Bo ja wciąż o tym myślę.  
— Nie wiem, czy to najlepszy moment na taką rozmowę — odrzekła zmęczonym tonem.  
— Czasami odnoszę wrażenie, że zapomniałaś o tym wszystkim. Nie możesz jednym ruchem przekreślać tego, co razem przeżyliśmy.  
— I nie robię tego. — W jej głosie zabrzmiała nagle inna nuta.  
— Słuchaj... Wyobraź sobie, że coś mi się stało... że na przykład potrącił mnie samochód. A ty zapamiętasz tylko to, że nasze małżeństwo się rozpadło.  
— Ale tak jest, Nathanie — powiedziała ze smutkiem.  
— Rozstaliśmy się, dając się ponieść emocjom. Przypuszczam, że będziesz robiła sobie z tego powodu wyrzuty, że będzie ci trudno z tym żyć.  
— Weź pod uwagę, że stało się tak z twojego powodu... — wybuchnęła, ale czując, że łyży dławia jej gardło, nie dokończyła zdania i odłożyła słuchawkę.

Mallory, tłumiąc płacz, by nie obudzić córki, usiadła na stopniach schodów z egzotycznego drewna.

Wytarła zaczerwienione oczy papierową chusteczką. Kiedy podniosła głowę, z przykrością spojrzała na odbicie swojej twarzy w wielkim lustrze wiszącym w holu.

Od śmierci synka bardzo schudła i straciła radość życia. Znowu wyglądała na osobę chłodną i opanowaną. Walczyła z tym wizerunkiem przez całe życie. Już jako dziewczynka nie znosiła swojego podobieństwa do Grace Kelly, do jej lodowatego dystansu, jakiego nabierają często dobrze wychowane kobiety. Wystrzegала się doskonałości. Nie chciała być nieprzystępna, przeciwnie, pragnęła wejść między ludzi, być otwarta. I dlatego najczęściej ubierała się w dzinsy i luźne, wygodne swetry. Prawdę mówiąc, nie zaglądała do krawca już od lat.

Wstała, zapaliła wszystkie lampy, kilka świec i pałeczkę kadzidła.

W oczach większości ludzi uchodziła za osobę opanowaną i zrównoważoną. Tymczasem była w niej kruchość, słabość, które miały początek w jej młodzieńczych latach, kiedy wiele razy poważnie chorowała z powodu anoreksji.

Potem przez długi czas sądziła, że wyleczyła się z tego definitywnie... aż do śmierci Seana.

Choć ta tragedia wydarzyła się trzy lata temu, jej ból wciąż był tak samo intensywny. Mallory dręczyła się irracjonalnym przekonaniem, że gdyby tamtej nocy była w domu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie było dnia, żeby nie cofała się myślami do pierwszych miesięcy życia synka. Czy coś przeoczyła? Może nie dostrzegła jakiegoś symptomu, znaku? Po tym, jak w dzieciństwie o mało nie utonęła, panicznie bała się śmierci. Nie potrafiła wyobrazić sobie, że może być coś gorszego niż własna śmierć. Kiedy jednak została matką, zrozumiała, iż najgorsze, czego może doświadczyć, to śmierć istoty, którą wydała na świat.

Oczywiście czytała gdzieś, że do XVIII wieku dziewięćdziesiąt procent dzieci nie dożywało trzech lat. Było to jednak

dawno, w epoce, kiedy śmierć czyhała wszędzie, a ludzie byli lepiej przygotowani na odejście swoich bliskich. Życie zatrzymało się dla niej na długie, straszne miesiące. Zupełnie rozbita, straciła grunt pod nogami. Odejście Seana pozostanie dla niej największym dramatem życia, ale nic nie rozczarowało jej tak, jak jej małżeństwo. Odkąd w czasie studiów zamieszkali razem, zawsze wierzyła, że będzie budziła się każdego ranka u boku Nathana, aż do czasu, gdy któreś z nich zgaśnie. Tymczasem musiała bezradnie przyglądać się rozpadowi swojego małżeństwa.

Przekonana, że to pokuta za jakiś błąd, godziła się pokornie na to, że mąż oddalał się od niej coraz bardziej.

Poczuła się jak obca mu osoba, bo nie potrafili się już porozumieć. W momencie gdy najbardziej potrzebowała jego wsparcia, on jeszcze więcej czasu poświęcał sprawom zawodowym. Tymczasem ona umierała z żalu. Żeby jakoś sobie z tym radzić i wyjść z depresji, oddała się działalności społecznej. W ostatnich miesiącach pracowała nad utworzeniem portalu internetowego organizacji walczącej o to, by w przedsiębiorstwach brano pod uwagę zasady etyki. Jej zadanie polegało na uporządkowaniu międzynarodowych kryteriów dotyczących prawa pracy i środowiska. Organizacja ta zajmowała się także mobilizowaniem stowarzyszeń konsumenckich do bojkotowania firm, które zatrudniały dzieci lub nie respektowały obowiązujących ustaw.

Jej zaangażowanie na tym się jednak nie kończyło. Było przecież tyle do zrobienia! Mieszkała w La Jolla, bogatej dzielnicy San Diego, ale miasto nie było wyspą wolną od wszelkich objawów nieszczęścia. Za połyskującymi białym piaskiem plażami i pięknymi rezydencjami, stojącymi frontem do morza, mieszkali ludzie żyjący z dnia na dzień, mający niewielkie dochody, często nawet bez własnego domu. Trzy razy w tygodniu jeździła do ośrodka dla bezdomnych. Choć była to trudna praca, tam przynajmniej czuła się pożyteczna, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy pół miasta rzucało się do

supermarketów, by wydać swoje dolary na zbyteczne zakupy. Z upływem czasu coraz bardziej nie znosiła tej atmosfery konsumpcji, w której już dawno temu zagubił się prawdziwy sens Bożego Narodzenia.

Kiedyś chciała, aby również mąż zaangażował się w tego rodzaju działalność. Nathan był błyskotliwym prawnikiem i mógłby użyć swoich zdolności na rzecz jakiejś idei. Ale nic z tego nie wyszło. Nie wiedzieli, że ich małżeństwo zostało zbudowane na nieporozumieniu. Każde z nich chciało jednak zrobić krok w stronę drugiego. Ona zawsze stroniła od światowego życia, rzadko odwiedzając ludzi ze swojego środowiska. Jasno dawała mężowi do zrozumienia: „Nie przeszkadza mi twoje pochodzenie”.

On zaś, przeciwnie, chciał jej udowodnić, że nie poślubiła byle kogo, że potrafi pokonać szczeble drabiny społecznej i zapewnić rodzinie odpowiedni poziom życia.

Wydawało im się, że wychodzą sobie naprzeciw. Ale nie mogli się spotkać.

Dla Nathana życie było ustawiczną walką, w której wciąż musiał podnosić poprzeczkę, osiągając kolejne sukcesy zawodowe, żeby coś udowodnić... ale co, tego nie wiedziała.

Wiele razy tłumaczyła mu, że nie chce mieć męża supermana, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Nathan uważał, że musi robić więcej, jakby bał się, że ją rozczaruje. I to właśnie od początku ją drażniło.

Mimo to nadal bardzo go kochała. Było jak w piosence *Crazy about him* — szalała za nim.

Przymknęła oczy. Przez jej głowę przelatowały obrazy z przeszłości, jakby uwiecznione zostały na taśmie filmowej.

18

*Młodym jest się tylko raz,  
ale pamięta się o tym całe życie.*

**z filmu Barry'ego Levinsona *Smak wolności***

*Nantucket, początek lata 1972*

Ma osiem lat. To ich pierwsze spotkanie.

Poprzedniego dnia wieczorem przyjechała z Bostonu. Tego ranka spaceruje po wielkim ogrodzie przy domu. Ma na sobie bawełnianą sukienkę za kolana, której nie cierpi. W taki upał wolałaby włożyć szorty i bawełnianą bluzkę, ale matka zawsze zmusza ją, by ubierała się jak dziewczynka /. dobrego domu.

Co i raz zerka na małego chłopca o pięknych czarnych włosach, który nie śmie się do niej odezwać i ucieka na jej widok.

Gdy zaintrygowana pyta o niego matkę, ta odpowiada, że nie warto zwracać na niego uwagi, bo to „tylko” syn sprzątaczk.

Po południu spotyka go na plaży. Chłopiec bawi się latawcem, który zrobił sam z bambusa i kawałka sieci, podarowanej mu przez jakiegoś rybaka. Uchwyt stanowiło kółko od zasłon.

I chociaż to latawiec własnej roboty, wzlatywał wysoko w niebo.

Mallory także ma latawiec, bardzo wymyślny, kupiony w dużym sklepie z zabawkami w Bostonie.

Ale jej zabawka nie chce wznieść się w górę. Choć Mallory dokłada starań, biega z nim szybko, latawiec wciąż opada na piasek.

Wprawdzie chłopiec udaje, że nie patrzy w jej stronę, ale Mallory wie dobrze, że często na nią spogląda.

Dziewczynka nie poddaje się i podejmuje kolejne próby. Niestety jej cudowna zabawka wpada ciężko do wody. Skrzydła latawca są już mokre i zapiaszczone. Mallory jest bliska płaczu.

Chłopiec podchodzi do niej i wkłada jej do ręki linkę swojego latawca.

Wyjaśnia, że trzeba ustawić się plecami do wiatru, a potem pomaga odpowiednio luzować i napinać linkę. Dzięki temu latawiec błyskawicznie szybuje w niebo.

Mallory śmieje się głośno, a jej oczy błyszczą z radości.

Potem chłopiec, by popisać się wiedzą, mówi, że według Chińczyków latawiec przynosi szczęście. Żeby nie być gorsza, ona z kolei opowiada o Beniaminie Franklinie, który posłużył się latawcem przy badaniu piorunów i wynalazł piorunochron (przeczytała o tym na wierzchu pudełka, w którym był jej latawiec).

Potem chłopiec, bardzo z siebie dumny, pozwala jej obejrzeć dokładnie swój latawiec, by mogła podziwiać śmieszne zwierzę, które namalował na skrzydłach.

— Sam to namalowałem.

— Czy to żółw?

— Nie, smok — odpowiedział trochę urażony. Dziewczynka głośno się śmieje. Jej dobry nastrój udziela się także jemu i wkrótce śmiech dzieci miesza się z szumem fal.

Ze stojącego na piasku radia tranzystorowego słychać jedną z modnych tego lata piosenek Carole King — *You've Got a Friend*\*.

**\* Masz przyjaciela.**



Mallory przygląda się uważnie chłopcu i dochodzi do wniosku, iż jest najmilszy ze wszystkich, których dotąd poznała. Przedstawia się poważnym tonem:

— Nazywam się Nathan.

A ona odpowiada mu w ten sam sposób:

— Mam na imię Mallory.

*Nantucket, jesień 1972*

— Nat!

Wypluwa wodę, która dostała jej się do ust. Skostniała z zimna, ma coraz większe trudności z oddychaniem. Dwa razy próbuje rozpaczliwie uchwycić się gałęzi, ale brzeg jest za wysoki.

Przerażona, tracąc oddech, czuje, że za chwilę się utopi. Ale Nathan już płynie w jej kierunku. Mallory zdaje sobie sprawę, że to jej ostatnia szansa.

— Złap mnie i się nie bój.

Trzyma się go kurczowo, jakby był kołem ratunkowym. Nagle czuje, że zostaje wypchnięta w górę, chwytając się więc kępy trawy, a potem wczołguje na brzeg.

Jest uratowana.

Wciąż ledwo dysząc, odwraca się, ale jego już tam nie ma.

— Nathan!

Przerażona, z oczami pełnymi łez, woła, jak może najgłośniej:

— Nathan! Nathan!

Ale on nie wypływa. Mallory myśli gorączkowo. Musi przecież coś zrobić.

Przemoczona, ociekająca wodą, drżąca z zimna, z sinymi wargami, rzuca się biegiem, by znaleźć kogoś dorosłego.

Spiesz się, Mallory!

*Nantucket, 13 lipca 1977*

Mają po trzynaście lat.

Jadą na rowerach ścieżką, która prowadzi do Surfside Beach, największej plaży na wyspie.

Pogoda zaczyna się psuć, na morzu pojawiają się spienione fale. Ale oni bez wahania wskakują do wody i pływają, dopóki nie poczują zmęczenia. Wychodzą z wody dopiero wtedy, gdy fale zaczynają być niebezpieczne. Wieje silny wiatr. Mallory drży. Zabrali ze sobą tylko jeden ręcznik.

Nathan wyciera jej włosy i plecy, a ona szczęka zębami z zimna.

Na piasek spadają grube krople deszczu i po kilku minutach plaża pustoszeje. Tylko oni pozostają na deszczu i wietrze.

Nathan pierwszy wstaje i pomaga jej podnieść się z piasku. Nagle odwraca do niej twarz, a ona instynktownie podnosi na niego oczy i wspina się na palce. On obejmuje ją, a ona zarzuca mu ramiona na szyję. W chwili gdy spotykają się ich wargi, nieznany dreszcz przenika jej ciało. Na ustach czuje smak soli.

To ich pierwszy pocałunek, nieśmiały, ale trwający bardzo długo.

*Beaufort, Karolina Północna, 6 sierpnia 1982*

Mallory ma osiemnaście lat.

Tego lata pojechała daleko od domu na obóz.

Jest ósma wieczorem. Wyszła powłóczyć się po małym porcie, gdzie obok miejscowych łodzi rybackich stoją na kotwicy jachty. Zachodzące słońce rozpala niebo na pomarańczowo. Widoczne w oddali statki płyną jakby po ognistej lawie.

Ale dla niej to wieczór zadumy. Ukołysana szumem fal rozbijających się o molo, dokonuje w myślach podsumowania kilku ostatnich miesięcy. Pierwszy rok na uniwersytecie okazał się bardzo trudny. Nie ze względu na same studia, ale raczej na stan jej zdrowia. Dwa razy popełniła błąd, umawiając się z bardzo nieciekawymi chłopakami, nie miała też prawdziwej przyjaciółki. Przeczytała dużo książek, interesuje się aktualnymi wydarzeniami, ale w jej umyśle panuje chaos.

Podczas tych miesięcy Mallory, tak otwarta na innych, powoli zamykała się w sobie. Niepostrzeżenie zaczęła ograniczać jedzenie, rezygnując ze śniadań, jadła coraz mniej na obiad. Sądziła, że zrównoważy zamęt panujący w jej głowie, tworząc pustkę w ciele. Było to jednak igranie z ogniem i skończyło się poważnym zasłabnięciem w pełnej studentów auli. Musiano wzywać do niej lekarza.

Ostatnio czuje się już trochę lepiej, ale zdaje sobie sprawę, że istnieje ryzyko nawrotu choroby.

Już od ponad trzech lat nie miała żadnych wiadomości od Nathana. Nie widziała go, odkąd Eleanor Del Amico przestała pracować u jej rodziców. Na początku pisywali do siebie długie listy, ale odległość nie sprzyjała ich związkowi.

Ona jednak o nim nie zapomniała. Jest stale obecny w jej myślach.

Tego wieczoru zastanawia się, co się z nim dzieje. Czy nadal mieszka w Nowym Jorku? Czy udało mu się dostać, tak jak tego chciał, na dobrą uczelnię? Czy miałby ochotę znów się z nią zobaczyć?

Mallory idzie plażą, przyspieszając kroku. Nagle czuje gwałtowną potrzebę, żeby z nim porozmawiać. Dziś wieczorem, zaraz.

Odnajduje budkę telefoniczną, dzwoni do informacji, i otrzymuje potrzebny numer.

Rozlega się sygnał przerywający wieczorną ciszę. Żeby tylko on odebrał telefon.

— Halo? To on.

Długo rozmawiają. Nathan wyznaje, że poprzedniego lata wielokrotnie próbował nawiązać z nią kontakt. „Twoi rodzice nie powiedzieli ci o tym?”. Mallory czuje, że między nimi nic się nie zmieniło, że rozumieją się tak samo dobrze, jakby widzieli się nie dalej jak wczoraj.

W końcu umawiają się na spotkanie pod koniec miesiąca.

Mallory odkłada słuchawkę. Słońce znika za horyzontem.

Wraca do obozu w lepszym nastroju. Jest już inną kobietą. Bicie serca dudni echem w jej głowie.

Nathan... Nathan... Nathan...

*Seaside Heights, New Jersey, 28 sierpnia 1982, druga nad ranem*

Na brzegu morza migoczą jeszcze girlandy elektrycznych świateł, choć kramy z pamiątkami zaczęto już zamykać. Zapach spalonego oleju miesza się z wonią waty cukrowej i pomidorów. Obok wielkiej karuzeli z potężnych głośników płynie nadawana po raz setny tego wieczoru piosenka *Up Where We Belong* w wykonaniu Joego Cockera.

Mallory wjeżdża samochodem na odkryty parking.

Będzie tu na niego czekała. Nathan znalazł pracę na lato w niewielkim uzdrowisku godzinę drogi od Manhattanu. Pracuje za kilka dolarów dziennie w jednym z licznych kiosków z lodami, ustawionych nad brzegiem morza.

Od spotkania w ostatni weekend co wieczór do siebie telefonują.

Umówili się na następną niedzielę, ale ona przyjechała dziś z Bostonu, żeby zrobić mu niespodziankę.

W końcu się pojawia. Ubrany w bermudy i bawełnianą koszulkę z logo sklepu, w którym pracuje. Otaczają go inni

wynajęci na lato sprzedawcy. Słysząc akcent latynoski i irlandzki. Ponieważ nie spodziewał się jej tu zobaczyć, zastanawia się, kim jest ta oparta o samochód filmowa piękność, spoglądająca w jego kierunku.

W końcu ją poznaje.

Podbiega do niej, porywa w ramiona i unosi do góry, kręcąc się z nią jak szalony. Ona zaś, śmiejąc się, obejmuje go i przytula do siebie, by pocałować go w usta, a jej serce skacze z radości.

Taka jest miłość na początku.

*20 września 1982 Nathanie,*

*Piszę te kilka słów, by Ci wyznać, że chwile spędzone z Tobą pod koniec lata były cudowne. Tęsknię za Tobą.*

*Dziś rano zaczęły się zajęcia, ale nie przestaję o Tobie myśleć.*

*Kilka razy w ciągu dnia, gdy szłam przez kampus, wyobrażałam sobie, że jesteś tu ze mną i że rozmawiamy. Studenci, którzy mnie mijali, pewnie zadawali sobie pytanie, co to za wariatka idzie z nosem zadartym do góry i gada sama do siebie.*

*Dobrze mi z Tobą, kocham Cię za to, jak na mnie patrzysz i że rozumiesz mnie bez słów.*

*Mam nadzieję, że Ty też jesteś szczęśliwy. Całuję Cię i kocham.*

*Mallory*

Na kopercie czerwonym długopisem napisała kilka słów do listonosza: „Panie listonoszu, miły listonoszu, zanieś ten list bezzwłocznie, aby mój ukochany dostał jak najszybciej moje wyznanie miłości!”.

*27 września 1982 Mallory,  
Dopiero co odłożyłem słuchawkę, a... już za Tobą tęsknię. Chwile  
spędzane z Tobą tylko powiększają moje pragnienie, by było ich jak  
najwięcej.*

*Z Tobą jestem szczęśliwy. Szczęśliwy ponad miarę.  
Kiedy myślę o przyszłości, już nie mówię zrobię, lecz zrobimy.  
A to zmienia wszystko.*

*Nathan*

Na kopercie przykleił bilet do kina na *ET*. Prawdę mówiąc, niewiele  
pamiętają, bo przez cały seans się całowali.

*Cambridge, pokój w akademiku grudniowa niedziela 1982 roku*

Z głośnika gramofonu słyhać koncert Dworzaka grany z werwą przez  
Jacqueline Du Pré na jej sławnej wiolonczeli Stradivariususa.

Od godziny całują się na łóżku Mallory.

Rozpiął jej stanik i głaszcze jej skórę, jakby to było coś niezwykle  
cennego.

Po raz pierwszy mają zamiar się kochać.

— Jesteś pewna, że chcesz tego teraz?

— Tak — odpowiada Mallory bez wahania.

Właśnie to w nim kocha — połączenie delikatności i uprzedzającej  
grzeczności, co sprawia, że jest kimś wyjątkowym.

Już wtedy podświadomie wiedziała, że jeśli kiedyś będzie miała dzieci, to  
tylko z nim.

*3 stycznia 1983 r. Nathanie,*

*Skończyły się ferie Bożego Narodzenia. Cudownie było spędzić z Tobą  
kilka nocy.*

*Ale dziś wieczorem jest mi smutno.*

*Odjechałeś do Nowego Jorku, na Manhattan.*

*Czuję, że ciężko mi będzie doczekać się następnych ferii, by znowu być z Tobą.*

*Chociaż wiem, że jutro będziemy rozmawiali przez telefon.*

*Boję się, że kiedyś to wszystko się skończy. Bo to, co przeżywam z Tobą, jest wyjątkowe.*

*Kocham Cię do szaleństwa.*

*Mallory*

*Na kopercie zostawiła kilka śladów szminki i następujące słowa: „Proszę wrzucić ten list ze wszystkimi pocałunkami do skrzynki pana Nathana Del Amico. Pilnujcie, żeby żaden z pocałunków się nie zatarł!”.*

*6 stycznia 1983 Mallory, moja słodka,*

*Brakuje mi Cię, ale czuję Twoją obecność w powietrzu wokół mnie.*

*Żebyś wiedziała, jak marzę, by jak najprędzej znowu wziąć Cię w ramiona i budzić się koło Ciebie.*

*Przesyłam Ci z mojego pokoju mnóstwo pocałunków, które kieruję do Cambridge.*

*Ubóstwiam Cię.*

*Nathan*

*Do koperty wsunął zdjęcie, które zrobił jej podczas ostatnich wakacji w parku w kampusie w Cambridge. Na odwrocie napisał zdanie z *Romea i Julii*: *Ach! Więcej groźby leży w oczach twoich niż w ich dwudziestu mieczach*<sup>2</sup>.*

---

<sup>2</sup> William Szekspir, *Romeo i Julia*, (akt II, scena II). Przekł. Józefa Paszkowskiego.

*Boston, 1984*

Słyszc klakson.

Mallory wygląda przez okno. Nathan czeka przed swoim starym mustangiem. Biegnie do drzwi, ale ojciec staje jej na drodze.

— Nie ma mowy, żebyś z tym chłopakiem chodziła nadal, Mallory.

— A mogę wiedzieć dlaczego?

— Bo tak ma być!

Włącza się matka, która próbuje przemówić jej do rozsądku:

— Możesz, kochanie, znaleźć sobie kogoś lepszego.

— Lepszego dla kogo? Dla mnie czy dla was?

Rusza do drzwi, ale Jeffrey nie przyjmuje do wiadomości jej argumentów.

— Mallory, uprzedzam cię, jeśli przekroczysz próg...

— To co? Wypędzisz mnie? Wydziedziczysz? Nie zależy mi na waszych pieniądzech...

— Jednak dzięki tym pieniądzom masz z czego żyć i możesz studiować.

A zresztą dość tego! Jesteś jeszcze smarkulą!

— Przypominam ci, że mam dwadzieścia lat...

— Radzę ci, byś się nie sprzeciwiała!

— A ja dam wam inną radę: nie stawiajcie mnie w sytuacji, w której

muszę wybierać między nim a wami. — Zamilkła na chwilę dla

większego efektu, a potem dorzuciła: — Bo jeśli do tego dojdzie, wybiorę jego.

Uznawszy dyskusję za skończoną, wychodzi z domu, trzasnąwszy drzwiami.



*Ich pierwsze prawdziwe zagraniczne wakacje, ogród we Florencji, lato 1987*

Stoją przed wielką fontanną, otoczoną drzewami pomarańczowymi, figowcami i cyprysami.

Strumienie wody tryskające w górę tworzą w słońcu tęczowe łuki.

Mallory wrzuca do wody monetę i zachęca Nathana, by zrobił to samo.

— Pomyśl jakieś życzenie. Nathan wzbrania się.

— Nie wierzę w takie brednie.

— Proszę cię, Nat, powiedz jakieś życzenie. Kiedy on nadal się opiera, Mallory mówi:

— Zrób to dla nas.

By okazać dobrą wolę, wyjmuje z kieszeni tysiąclirową monetę, zamyka oczy i wrzuca ją do fontanny. Mallory nie pragnie niczego więcej niż to, co ma teraz. Niech to trwa jak najdłużej. *For always. For ever.*

*Wakacje w Hiszpanii, lato 1990*

Są w Barcelonie, w labiryncie ogrodów Horta.

To ich pierwsza prawdziwa sprzeczka.

Poprzedniego wieczoru powiedział jej, że będzie musiał wrócić dwa dni wcześniej z powodu pracy.

Znajdują się w jednym z najbardziej romantycznych miejsc świata, ale Mallory wciąż ma do niego żal.

Nathan próbuje wziąć ją za rękę, ale ona odsuwa się od niego i sama się zagłębia w kręte alejki zielonego labiryntu.

— Któregoś dnia możesz mnie w ten sposób stracić z oczu — mówi Mallory prowokująco.

— Odnajdę cię.

— Jesteś bardzo pewny siebie.

— Jestem pewny nas obojga.

*Niedzielnny poranek w ich mieszkaniu, jesień 1993*

Obserwuje go przez dziurkę od klucza w drzwiach łazienki.

Nathan stoi pod prysznicem i jak zwykle zamienia pomieszczenie w saunę.

Na cały głos śpiewa, fałszując, piosenkę U2.

Potem zakręca kran, odsuwa zasłonę kabiny i wydaje radosny okrzyk.

Na zaparowanym lustrze widnieją słowa: „ZOSTANIESZ TATUSIEM!”.

*Tego samego dnia dziesięć minut później, 1993*

Oboje stoją pod prysznicem i całując się, omawiają tę nowinę.

— A jeśli to będzie dziewczynka?

To ona skierowała rozmowę na wybór imienia.

— Może by tak nazwać ją Bonita? — proponuje Nathan.

— Bonita?

— Bonita lub Bonnie. W każdym razie, żeby znaczyło to „dobroć”. Chcę słyszeć to za każdym razem, kiedy będę ją wołał.

Mallory z uśmiechem otwiera butelkę z żelem do kąpieli i wylewa mu go na plecy.

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Ja wybiorę imię następnym razem.

Nathan bierze do ręki mydło lawendowe i myjąc jej plecy, pyta:

— Następnym razem?

— Ja wybiorę imię naszego drugiego dziecka.

Nathan przyciąga ją do siebie. Przytulają się, pokryci mydlaną pianą.

*1994*

Mallory, w ósmym miesiącu ciąży, leży na łóżku i przegląda gazetę.

Nathan położył głowę na jej brzuchu i nasłuchuje ruchów dziecka.

Pavarotti wyśpiewuje właśnie wysoką nutę w arii Verdiego.

Odkąd Nathan przeczytał o dobroczynnym wpływie muzyki klasycznej na rozwój dziecka w łonie matki, każdego wieczoru nastawia fragmenty z jakiejś opery.

Według Mallory ta muzyka może jest dobra dla dziecka, ale nie dla niej.

Założyła na uszy słuchawki walkmana i słucha piosenki *About a Girl* zespołu Nirvana.

*Restauracja w West Village, 1999*

Zamówili butelkę szampana.

— A jeśli to będzie chłopiec...

— To będzie chłopiec, Nathanie.

— Skąd to wiesz?

— Wiem, bo jestem kobietą i czekam na to dziecko od pięciu lat.

— Jeśli będzie chłopiec, to pomyślałem, że...

— Nie ma dyskusji. Będzie miał na imię Sean.

— Sean?

— Po irlandzku oznacza to „dar od Boga”.

— A co Bóg ma z tym wspólnego? — krzywi się.

— Wiesz doskonale.

Oczywiście, że wie. Po urodzeniu Bonnie lekarze powiedzieli, że Mallory nie będzie już mogła mieć dzieci. Ona jednak im nie uwierzyła. Zdaje sobie sprawę, że Nathan nie lubi wzmianek o religii, ale tego wieczoru jest tak szczęśliwy, że zgodziłby się na wszystko.

— Doskonale — mówi, podnosząc kieliszek — czekamy na małego Seana.

Mallory otworzyła oczy i film o szczęśliwych dniach nagle się urwał. Powrót w przeszłość okazał się bolesny. Wspomnienia czasu wielkiego szczęścia za każdym razem budzą w niej takie wzruszenie, że nie umie sobie z nim poradzić.

Wyjęła z kieszeni papierową chusteczkę, czując napływające do oczu łzy. Mój Boże, wszystko zepsuliśmy.

Tęskniła za Nathanem, ale między nimi powstała taka przepaść, że nie potrafiła zrobić kroku w jego kierunku.

Mogła podawać w nocy zupę na obozie skautowskim, walczyć z przedsiębiorcami zatrudniającymi dzieci, manifestować przeciw producentom modyfikowanej genetycznie żywności — tego się nie bała. Ale znaleźć się znowu twarzą w twarz z Nathanem to zupełnie inna sprawa.

Podeszła do okna wychodzącego na ulicę i długo patrzyła w niebo.

Chmury się rozproszyły i promień księżyca oświetlał stół, na którym stał telefon.

Postanowiła zadzwonić. Musi przynajmniej wykonać jakiś gest.

Natychmiast podniósł słuchawkę.

— Mallory?

— Zgadza się, Nathanie, możesz wcześniej przyjechać po Bonnie.

— Dziękuję — odrzekł z ulgą. — Postaram się być wczesnym popołudniem. Dobranoc.

— Jeszcze jedno...

— Tak?

— Pamiętam wszystko, Nat, wszystkie wspólnie spędzone chwile, wszystkie szczegóły, kolor nieba i zapach piasku, gdy całowaliśmy się po raz pierwszy, pamiętam dokładnie twoje słowa, gdy dowiedziałeś się, że jestem w ciąży, noce, podczas których całowaliśmy się tak długo, że bolały nas wargi... Pamiętam o tym wszystkim i nic bardziej niż ty nie liczy się w moim życiu. Więc nie masz prawa tak do mnie mówić.

— Ja...

Chciał coś powiedzieć, ale ona odłożyła słuchawkę.

Nathan podszedł do okna. Śnieg wciąż padał. Grube płatki wirujące za oknem przyklejały się do szyb.

Błądząc wzrokiem po zaśnieżonej ulicy, rozmyślał o tym, co powiedziała przed chwilą żona.

Rękawem koszuli otarł oczy, do których napłynęły łzy.

*Houston Street, Soho,**16 grudnia szósta rano*

Garrett Goodrich zszedł ostrożnie po oblodzonych schodach niewielkiego budynku z brązowej cegły.

Dach jego samochodu pokrywała prawie dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. Wyjął z kieszeni skrobaczkę i oczyścił przednią szybę. Ponieważ był spóźniony, poprzestał na oczyszczeniu szyby od strony kierowcy. Usiadł za kierownicą, zatarł ręce dla rozgrzewki, włożył kluczyk do stacyjki i...

— Na lotnisko, proszę!

Podskoczył i odwróciwszy się gwałtownie, zobaczył Na-thana, siedzącego z tyłu od strony pasażera.

— Cholera! Del Amico! Niech mnie pan tak nigdy więcej nie straszy! Jak pan się dostał do mojego samochodu?

— Nie trzeba było zostawiać mi zapasowych kluczy — odrzekł Nathan, potrząsając przed nosem lekarza pękiem kluczyków. — Zapomniałem je wczoraj wieczorem zostawić w skrzynce na listy.

— Co pan tu robi?

— Wyjaśnię panu po drodze. Lecimy do Kalifornii.

— Co pan sobie wyobraża! Mam dziś ciężki dzień i jestem już spóźniony, a pan...

— Wybieram się do San Diego po córkę.

— Miło mi to słyszeć. — Garrett wzruszył ramionami.

— Nie zamierzam narażać pana na żadne niebezpieczeństwo.

— Przykro mi, przyjacielu, ale nie wiem, w czym mógłbym panu pomóc. Zapalił silnik, żeby móc włączyć ogrzewanie. Nathan nachylił się do niego.

— Spójrzmy na sytuację obiektywnie, Garrett. Jestem kimś w rodzaju skazańca, któremu odroczone wyrok, podczas gdy pan tryska zdrowiem. Przypuszczam, że nie ma pan złych przeczuc co do własnej osoby na najbliższe dwadzieścia cztery godziny? Nie zobaczył pan świetlnej otoczki nad głową, gdy spojrzął pan dziś rano w lustro?

— Nie — potwierdził Goodrich wyraźnie rozdrażniony. — Ale nadal nie rozumiem, o co panu chodzi.

— Przyznam, że napędził mi pan stracha. Kiedy wychodzę na dwór, boję się, czy nie przejedzie mnie taksówka albo czy nie runie mi na głowę jakieś rusztowanie. Doszedłem więc do wniosku, że dopóki będę z panem, nic nie powinno mi się stać.

— To bez sensu. Proszę posłuchać...

— Nie — przerwał mu brutalnie Nathan — to pan niech posłucha: moja córka nie ma nic wspólnego z pańskimi cholernymi ponurymi przeczuciami. Nie chcę ryzykować, żeby stała jej się jakaś krzywda, gdy będzie ze mną w samolocie. Pozostanie więc pan ze mną do czasu, aż przywiozę ją bezpiecznie tutaj.

— Czy to ma znaczyć, że mam być pańską... polisą na życie?! — zawołał Garrett.

— Właśnie.

Lekarz pokiwał głową.

— Pan jest szalony. To wszystko odbywa się inaczej.

— A ja zmieniam reguły gry.

— Niech pan nie nalega, Nathanie. Nigdzie z panem nie pojedę. Rozumie pan? Nigdzie!

*Kilka godzin później*

Nathan rzucił okiem na zegarek.

Samolot linii United Airlines, rejs 211, miał za chwilę wylądować w San Diego. Ponieważ nie znaleźli bezpośredniego połączenia, musieli najpierw polecieć do Waszyngtonu, co trochę wydłużyło podróż.

Adwokat spojrział na siedzącego obok Goodricha. Lekarz kończył bez pośpiechu posiłek podany przez stewardesę pół godziny temu.

Nathan nie bardzo wiedział, co myśleć o ostatnich słowach Garretta.

Jedno było pewne: początek przykrych wydarzeń wiązał się z wtargnięciem lekarza w jego życie. Z drugiej strony nie mógł powstrzymać się od czegoś w rodzaju podziwu i współczucia, jakie żywił wobec niego. Bo jeśli przeczucia Garretta się sprawdzały (a Nathan miał teraz pewność, że naprawdę jest Posłańcem), to jego własna egzystencja nie mogła być normalna. Nie da się przecież żyć normalnie, gdy posiada się taki dar. Trudno znieść widok ludzi z wyrokiem śmierci.

Oczywiście wolałby go w ogóle nie spotkać albo spotkać w innych okolicznościach, ale cenił tego człowieka za jego wrażliwość. Garrett, który głęboko kochał swoją żonę i bardzo cierpiał po jej stracie, teraz bez reszty poświęcił się pacjentom.

Niełatwo było przekonać Goodricha do podróży do Kalifornii. Na ten dzień miał przewidzianą ważną operację, nie mówiąc już o tym, że potrzebny był w hospicjum.

Kiedy nie pomogły prośby, Nathan uciekł się do ostatecznego argumentu. Uświadomił Garrettowi, jaka jest jego sytuacja: być może zobaczy się z córką po raz ostatni, nadal kocha



gorąco swoją żonę i chce spróbować pogodzić się z nią przed śmiercią. Słowem, potrzebuje pomocy.

Wzruszony tym rozpaczliwym apelem Garrett zgodził się przełożyć operację i towarzyszyć Nathanowi do San Diego. Ponadto czuł się trochę odpowiedzialny za to, co się teraz działo w życiu adwokata.

— Nie je pan tosta z kawiolem? — zapytał Goodrich w chwili, gdy stewardesa zamierzała zabrać tacki.

— Mam inne zmartwienia na głowie — mruknął Nathan. — Proszę go zjeść, jeśli ma pan ochotę.

Garrett nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Złapał zręcznie tost w ostatniej sekundzie, zanim stewardesa zdążyła sprzątnąć tacki.

— Dlaczego jest pan taki niespokojny? — zapytał z pełnymi ustami. Nathan westchnął.

— Tak jest za każdym razem, kiedy dowiaduję się, że mam wkrótce umrzeć. To zły nawyk, przyznaję.

— Powinien pan skosztować tego australijskiego wina. Podziała jak balsam na pańskie serce.

— Pozwolę sobie zauważyć, Garrett, że pan trochę za dużo pije.

— Po prostu dbam o siebie. Wiadomo, że wino ma dobroczynny wpływ na układ krążenia.

— Bzdury. — Nathan machnął lekceważąco ręką. — Zwyczajny pretekst, żeby pozbyć się poczucia winy.

— Ależ skąd! — oburzył się Goodrich. — Dowiedziono naukowo, że polifenole zawarte w skórce winogron hamują wytwarzanie endoteliny, powodującej skurcz naczyń...

Nathan przerwał mu, wzruszając ramionami:

— Dobra, dobra, niech pan da spokój tym medycznym bzdurcom.

— Musi pan ustąpić przed naukowymi argumentami — powiedział Goodrich z uśmiechem.

— Zakładając, że to, co pan mówi, jest prawdą, to wydaje

mi się, że gdzieś czytałem, że te dobroczynne skutki dotyczą tylko wina czerwonego.

\_ Faktycznie — przyznał zaskoczony Goodrich.

— Może się mylę, Garrett, ale to australijskie wino, którego zalety tak pan zachwala, jest białe, prawda?

\_ Ależ z pana czepialski! — rozzłościł się Goodrich, po czym dodał: — Ale chyba taki powinien być adwokat. W tym momencie stewardesa ogłosiła:

— Proszę państwa, nasz samolot wkrótce wylądaje. Proszę upewnić się, czy wszyscy mają zapięte pasy i podniesione oparcia foteli.

Nathan wyjrzał przez okienko. Dostrzegł góry, a jeszcze dalej kalifornijskie wybrzeże, nad którym wibrowało suche pustynne powietrze.

Już niedługo zobaczy Mallory.

— Wylądował samolot linii United Airlines z Waszyngtonu. Pasażerowie proszeni są o skierowanie się do wyjścia numer dziewięć.

Ponieważ nie mieli żadnego bagażu, nie zabawili długo na lotnisku.

Nathan wynajął samochód w agencji Avis, a wówczas Goodrich niespodziewanie uparł się, że to on siądzie za kierownicą.

Tutejszy klimat zdecydowanie różnił się od nowojorskiego: powietrze było łagodne, niebo czyste, temperatura około dwudziestu stopni Celsjusza. Wkrótce zdjęli szaliki i płaszcze.

San Diego rozciągało się między dwoma półwyspami. Nathan poradził lekarzowi, by ominął centrum, bo w porze lunchu jest tam duży ruch.

Pokazał mu drogę na wybrzeże, skąd skręcili na północ, jadąc wzdłuż piaszczystych plaż, poprzecinanych skalnymi ścianami i małymi zatoczkami.

Uzdrowisko La Jolla zostało zbudowane na niewysokim wzgórzu, do którego dojeżdżało się krętą drogą, przy której stały eleganckie rezydencje. Goodrich nigdy tu nie był, ale to

miejsce przypominało mu Monako i Riwierę Francuską, które zwiedził wiele lat temu, podróżując po Francji. Oczarowany niezwykłym widokiem oceanu, wciąż spoglądał nań przez boczne okienko. Widać było ogromne, rozbijające się o skaliste brzegi fale, na których pływali surferzy.

— Niech pan nie zapomina patrzeć na drogę!

Lekarz zwolnił, żeby móc delektować się widokiem i rześkim morskim powietrzem. Dał się wyprzedzić fordowi mustangowi przemalowanemu na fioletowo, za którym śmignęły dwa harleye, prowadzone przez sześćdziesięciolatków o wyglądzie podstarzałych hippisów.

— Życie w Kalifornii ma zupełnie inny smak — stwierdził Goodrich w momencie, gdy przez drogę przebiegła wiewiórka.

Dzięki restauracjom i małym sklepikom La Jolla miała rzeczywiście szczególny urok i czuło się, że można tu miło spędzić życie. Zostawili samochód na jednej z ulic i resztę drogi przebyli pieszo.

Nathan chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Mimo bolącej nogi szedł dość prędko, zostawiając Garretta z tyłu.

— Co to, spieszy się panu na pociąg?! — zawołał lekarz. Goodrich zatrzymał się, by kupić gazetę i jak zwykle wdał «ię w pogawędkę ze sprzedawcą.

I proszę, znowu się kimś zainteresował, choć go nie zna! Ten facet jest nieprawdopodobny!

Garrett dołączył do niego po chwili.

— Wiedział pan te ceny? — zapytał, wskazując witrynę agenta nieruchomości.

W ostatnich latach czynsze w tym zakątku kraju ogromnie podskoczyły. Na szczęście Mallory mieszkała w domu kupionym przez jej babkę w czasach, gdy La Jolla była małą, nicinteresującą nikogo rybacką wioską. Doszli do niewielkiego drewnianego domu.

Jesteśmy na miejscu — powiedział Nathan, odwracając ftlę do lekarza.

Na drzwiach widniała tabliczka z napisem: „Zakaz wstępu cyberzwierzętom”. Cała Mallory.

Nathan z bijącym sercem zapukał do drzwi.

— A oto i nasz stary kumpel Del Amico! Vince Tyler!

Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, że drzwi otworzy Tyler.

Wysoki, z jasnymi, trochę przydługimi włosami, z intensywną opalenizną, cofnął się nieco, by wpuścić ich do środka, odsłaniając w uśmiechu świeżo oczyszczone z kamienia zęby.

A co on tu robi w środku dnia? Gdzie Bonnie i Mallory? Nathan próbował ukryć niezadowolenie, przedstawiając Tylerowi Garretta.

— Twoja córka zaraz wróci — poinformował Vince. — Jest u koleżanki.

— Mallory jest z nią?

— Nie, Lory jest na górze. Przygotowuje się.

Lory? Nikt nigdy nie nazywał w ten sposób jego żony. Nie lubiła ani zdrobnień, ani przydomków.

Nathan pragnął tylko jednego — zobaczyć żonę. Wahał się, czy wejść na górę do jej sypialni, gdyż nie był pewien, czy Mallory będzie z tego zadowolona. Lepiej poczekać tutaj, na dole.

Tyler, jakby chciał go jeszcze bardziej rozdrażnić, wyjaśnił:

— Zabieram ją na homara do Crab Catcher.

Crab Catcher to ekskluzywna restauracja na ulicy Prospect, nad samym oceanem.

Nasza restauracja. Tam poprosiłem ją o rękę. Tam świętowaliśmy urodziny Bonnie...

W czasach studenckich Nathan oszczędzał tygodniami, by móc zapraszać Mallory w takie miejsca.

— Nie byłeś tam kiedyś kelnerem? — zapytał Tyler, jakby coś sobie przypomniał.

Nathan spojrzał mu w oczy, zdecydowany nie wypierać się swojego pochodzenia.

— Owszem, latem często strzygłem trawniki albo pracowałem jako kelner. Jeśli sprawi ci to przyjemność, pamiętam nawet i to, że myłem twój samochód, gdy harowałem na stacji benzynowej.

Tyler udał, że nie usłyszał odpowiedzi. Usiadłszy wygodnie na sofie, sączył powoli whisky. W szeroko rozpiętej koszuli i błękitnej marynarce stanowczo nie pasował do tego pokoju. W folderze reklamującym restaurację czytał kartę win:

— ...bordeaux, sauternes, chianti... uwielbiam francuskie wina.

— Chianti to wino włoskie — zauważył Garrett. Świetny strzał, Garrett.

— Nieważne — mruknął Tyler i zmienił temat: — Jak idą interesy w Nowym Jorku? Znasz ostatnią anegdotę o twoich kolegach?

I zabrał się do opowiadania starego głupiego kawału o adwokatach.

— Autobus wiozący adwokatów po jakimś prawniczym kongresie ma wypadek na terenie należącym do farmera...

Nathan przestał go słuchać. Zastanawiał się, jaki etap osiągnęły stosunki między Mallory i Vince'em. Najwyraźniej stał się bardziej natrętny w swoich umizgach. Jak do tej pory nie osiągnął zbyt wiele z powodu ostentacyjnej wrogości Bonnie. Ale do czego może dojść po intymnej kolacji w Crab Catcher?

Nathan już setki razy zadawał sobie pytanie, co widzi w tym człowieku tak inteligentna kobieta jak Mallory, i nie znajdował na nie odpowiedzi.

Oboje znali go wystarczająco długo, by przekonać się, że to luilón i mitoman. Początkowo często o nim rozmawiali, kpiąc z jego niezbyt subtelných prób uwiedzenia Mallory. Ale i wtedy

Mallory czasami go broniła, podkreślając, że łatwo nawiązuje kontakty i ma miły sposób bycia.

Nathan nie doświadczył wprawdzie nigdy uprzejmości Tylera, ale wiedział, że potrafi robić złudnie dobre wrażenie. Był to urodzony manipulator, ukrywający zarozumiałstwo pod płaszczykiem uprzejmości. Niedawno zademonstrował swoją wrażliwość, tworząc instytucję, która miała gromadzić fundusze na organizacje pomagające dzieciom. Nazwał ją „Fundusz Tylera”.

Co za skromność!

Nathan wiedział, że za tą udawaną filantropią kryje się chęć uzyskania ulg podatkowych i podniesienia swojej wartości w oczach Mallory.

Jak to się mówi, chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Pocieszał się, że jego żona nie jest aż tak naiwna. Tyler kończył opowiadać głupi kawał:

— „...Jest pan pewien, że wszyscy byli martwi, gdy ich pan grzebał?” — zapytał policjant. A farmer odpowiedział: „Niektórzy z nich twierdzili, że nie, ale sam pan wie, że adwokaci to kłamcy!”.

I wybuchnął głośnym śmiechem.

— Przyznaj, mój chłopcze, że to niezła historyjka, co?

— Nie jestem twoim chłopcem — uciął Nathan, zdecydowany pokazać mu, co o nim myśli.

— Del Amico jak zawsze przeczulony na swoim punkcie, prawda? To właśnie mówiłem wczoraj wieczorem Lory, gdy...

— Moja żona ma na imię Mallory.

Ledwie Nathan to powiedział, zorientował się, że popełnił błąd.

— Ona już nie jest twoją żoną, mój chłopcze — odparował natychmiast Tyler.

Po jego twarzy przemknął ledwie dostrzegalny drwiący uśmieszek, który jednak nie uszedł uwagi adwokata. Potem nachylił się do niego i żeby go dobić, szepnął mu na ucho:

— Nie jest już twoją żoną, ale jest już prawie moją.

W tym momencie Nathan uznał, że, nie chcąc stracić twarzy, musi rąbnąć Tylera w gębę. Nigdy nie dawał sprowokować się takim typom. Tym razem jednak nie zamierzał się powstrzymać, nawet jeśli było to nierozsądne i mogło jeszcze bardziej zrazić do niego żonę. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, jak niewiele potrzeba, żeby w uznanym adwokacie z Park Avenue odezwał się syn włoskiej pokojówki, *bad boy*, który w dzieciństwie nie wahał się używać pięści na ulicach Queens. Przeszłość potrafi nas dopaść znieenacka, nawet jeśli przez całe życie staraliśmy się o niej zapomnieć.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanęła Bonnie.

— *Buenos dias!* — krzyknęła wesoło, wchodząc do pokoju. La Jolla znajdowała się niecałe dwadzieścia kilometrów od granicy meksykańskiej i Bonnie często zabawiała się, przekręcając hiszpańskie słowa zasłyszane na ulicy lub w szkole.

Na widok córeczki ulotniła się nagle cała złość i rozdrażnienie, jakie budził w Nathanie Tyler.

Bonnie rzuciła się w jego objęcia. Podniósł ją i okręcił dokoła.

Miała na sobie kolorową kurtkę, podkreślającą jej opaleniznę, oraz peruwiańską czapkę, której dwa końce opadały na uszy. Wyglądała naprawdę zabawnie.

— Brakuje ci tylko poncho i będziesz mogła pędzić stado lam przez górskie grzbiety w Andach — powiedział, stawiając ją na podłodze.

— A mogę dostać na Boże Narodzenie? — zapytała od razu.

— Poncho?

— Nie, lamę.

— To był żart, kochanie — rozległ się głos Mallory.

Nathan się odwrócił. Mallory schodziła po schodach, niosąc lorbę podróżną Bonnie.

Przywitała się z nim krótko. Przedstawił jej Garretta jako wybitnego chirurga, który wraca z kongresu w San Francisco i z którym łączą go interesy. Nieco zdziwiona Mallory przywitała się z nim uprzejmie.

— Jesteśmy bardzo spóźnieni — powiedziała, spoglądając ostentacyjnie na zegarek.

Dobre sobie! Nigdy nie przejmowałaś się tym, żeby być punktualnie w restauracji!

Nathan postanowił jednak nie oponować. Nic by to nie dało, a nie chciał sprzeczać się z nią w obecności Vince'a. Odpowiedział więc tym samym tonem:

— My też nie mamy zbyt wiele czasu. Nasz samolot odlatuje za godzinę.

— Lecicie przez Los Angeles? — zapytała, włączając system alarmowy.

Nathan potwierdził.

Vince wyszedł pierwszy, potrząsając kluczykami od samochodu.

Pozostali ruszyli za nim.

Niebo zaciągało się ciemnymi chmurami. Czuć było nadciągającą burzę.

Mallory zamknęła drzwi, po czym długo tuliła córkę.

— Dobrej podróży i nie zapomnij zadzwonić do mnie zaraz po przylocie do Nowego Jorku!

Przechodziła już na drugą stronę ulicy, gdzie stało porsche metalik Vince'a.

— *Hasta luego!*<sup>3</sup> — zawołała Bonnie, wywijając peruwiańską czapkę.

Mallory odwróciła się, żeby do niej pomachać. Ani razu nie próbowała podchwycić spojrzenia Nathana.

— *Bon appétit!* — krzyknął po francusku, zawierając w tym okrzyku całą gorycz i cały smutek, które czuł.

Mallory nie odpowiedziała.

Nathan wziął Bonnie za rączkę i ruszyli chodnikiem za Garrettem, który niósł torbę podróżną dziewczynki.

---

<sup>3</sup> *Hasta luego!* (hiszp.) — do zobaczenia!



Porsche ruszyło gwałtownie w ich kierunku. Tyler wykorzystał okazję, żeby przejechać tuż obok Nathana. Prowokujące głupie zachowanie ludzi, którzy chcą pokazać, że mają przewagę...

Mallory, siedząca na miejscu pasażera, schyliła się po coś do torby i nie zauważyła manewru Tylera. Tym bardziej że ten zaraz po tym pomachał adwokatowi.

Podły kretyn.

Nathan odprowadził wzrokiem oddalający się samochód.

*Lotnisko międzynarodowe w San Diego*

— Uwaga, zaczynamy wpuszczanie na pokład samolotu rejs numer pięć tysięcy dwieście czternaście linii United Airlines odlatującego do Los Angeles. Pasażerowie proszeni są o skierowanie się do wyjścia numer dwadzieścia pięć i okazanie karty pokładowej oraz dowodu tożsamości. Około czterdziestu podróżnych poderwało się jednocześnie z metalowych krzeseł, by uformować podwójną kolejkę przed stanowiskiem odlotu. Oni stanęli w tej kolejce jako pierwsi.

Bonnie słuchała muzyki z discmana, kiwając głową w takt akordów skrzypiec Hillary Hann. Garrett chrupał piąty już czekoladowy batonik, natomiast Nathan, sprawiając wrażenie bardzo zainteresowanego, obserwował przez okno samoloty, wykonujące swój taniec pod kierunkiem kontrolerów lotu.

Od kilku minut dręczyło go ponure przeczucie, że być może nie zobaczy już nigdy Mallory.

To się nie może tak skończyć. Musi ją zobaczyć, przynajmniej ten jeden, ostatni raz.

Poznanie Mallory było najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się w życiu. Z pewnością było już za późno na podejmowanie drugiej próby, ale miał prawo choćby do tego, żeby się z nią pożegnać bez towarzystwa Vince'a Tylera, obmawiającego go złośliwie za jego plecami.

Garrett już miał podać hostessie swoją kartę pokładową, kiedy Nathan pociągnął go za rękaw.

— Nie lecę z wami — oznajmił bez żadnych wstępów.

— Chce pan tam wrócić?

— Muszę się z nią zobaczyć ostatni raz. Ona musi wiedzieć...

Goodrich przerwał mu obojętnym tonem:

— Niech pan robi, co pan uważa.

— Zabieram Bonnie.

— Proszę ją zostawić, nic jej przy mnie nie grozi. Usunęli się na bok, by przepuścić pozostałych pasażerów, którzy zaczęli się już niecierpliwić.

Nathan nachylił się do córki. Bonnie, zdejmując słuchawki z uszu, uśmiechnęła się do niego.

— Posłuchaj, kochanie, zapomniałem powiedzieć coś mamie, myślę więc, że możemy polecieć następnym samolotem.

Dziewczynka podniosła wzrok na Goodricha. Zazwyczaj nieufna, od razu polubiła tego olbrzyma. Zawahała się przez chwilę, po czym zapytała:

— A czy mogłabym polecieć z Garrettem?

Nathan, bardzo zdziwiony jej reakcją, pogładził ją po włosach.

— Jesteś pewna, kochanie, że będziesz się dobrze czuła?

— *Muy bien*<sup>4</sup> — odpowiedziała, całując go.

Nathan spojrział w oczy Goodrichowi. Niewiele było osób, którym powierzyłby córkę, choćby tylko na kilka godzin, ale ten lekarz do takich należał.

Tak, ufał mu. Mimo jego nieco makabrycznych zdolności, Bonnie będzie przy nim bezpieczna. Zresztą Poślaniec przybył do niego, a nie do niej...

— Nic jej się przy mnie nie stanie — zapewnił Goodrich. — Niech pan nie zapomina, że jestem czymś w rodzaju polisy na życie.

---

<sup>4</sup> *Muy bien* (hiszp.) — bardzo dobrze.

Nathan nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Wyjął z kieszeni bilet Bonnie i podał go lekarzowi.

— Postaram się zdobyć miejsce w następnym samolocie — zapewnił i zniknął w tłumie idącym w przeciwnym kierunku.

— Proszę przyjechać po nią do hospicjum. Niech się pan nie martwi, zajmę się wszystkim! — zawołał za nim Goodrich.

Nathan opuścił w pośpiechu halę odlotów, wybiegł z lotniska, przywołał taksówkę i kazał kierowcy jechać do La Jolla.

*Bez wątpienia przyjaźń i miłość są do siebie podobne.  
Można by nawet powiedzieć,  
że miłość to namiętna przyjaźń.*

### **Seneka**

Lał deszcz.

Zadzwoził do drzwi, ale Mallory jeszcze nie wróciła.

Stanął po drugiej stronie ulicy, wypatrując samochodów, które przejeżdżały tędy dość rzadko.

Mój Boże, to prawdziwa ulewa! I żadnego miejsca, żeby się przed nią schronić. Nie mógł stanąć na werandzie któregoś z okolicznych domów, gdyż tutejsi mieszkańcy znani byli z tego, iż powiadamiali policję, gdy tylko zauważyli jakiegoś podejrzanego osobnika. Lepiej będzie, jeśli nikt go nie zobaczy, choćby nawet miał przemoknąć do suchej nitki.

Rozkosze życia w Kalifornii, też coś! Kichnął głośno.

Czuł się głupio i był taki nieszczęśliwy, mając świadomość rychłej śmierci.

Co ja tu właściwie robię?

Mallory może nie wróci do rana, albo pojawi się w towarzystwie Tylera.

Zresztą wiedział, że nawet jeśli będzie sama, okaże mu obojętność.

Cholera! Był już przemoczony do nitki. Szczękał zębami z zimna. Chyba nigdy nie czuł się tak, jakby przegrał życie.

Gdy ulewa nasiliła się jeszcze bardziej, przed dom zajechał porsche. Nathan zmrużył oczy. Z miejsca, w którym stał, widział niewiele, ale wydawało mu się, że ani Mallory, ani Vince nie wysiedli z samochodu. Wyglądało na to, że o czymś dyskutują. A może się... całują? Nathan podszedł trochę bliżej, ale ściana deszczu zasłaniała wnętrze wozu przed niedyskretnymi spojrzeniami. Po kilku minutach wysiadła Mallory, na moment jakby się zawahała, po czym pobiegła w kierunku domu.

Porsche ruszyło z piskiem opon, rozpryskując błoto.

Chwilę potem w domu pozapalały się kolejno wszystkie lampy, ukazując sylwetkę Mallory na tle muślinowych firanek.

Nathan czuł się fatalnie i nie wiedział, co ma robić. On, który szczycił się tym, że jest człowiekiem czynu, teraz był jak sparaliżowany. Czy mówienie tej kobiecie, że ją nadal kocha, ma jakikolwiek sens?

Nagle drzwi się otworzyły. Mallory wyszła na ulicę, zagłębiając się w ścianę deszczu.

Dlaczego nie wzięła parasola? — zastanawiał się Nathan.

W tym samym momencie niebo przecięła błyskawica i rozległ się grzmot. Mallory odwróciła się, rozejrzała i zawołała:

— Nathan!

Płonące świece pachniały cynamonem.

Zdjął koszulę i wycierał się energicznie ręcznikiem.

Przy smutnej, deszczowej pogodzie mieszkanie Mallory wydawało się jeszcze bardziej przytulne. Kwiaty i kolory rozjaśniały każdy zakątek salonu. Zauważył, że nie ma choinki ani świątecznych dekoracji, ale wcale go to nie zaskoczyło — Hoże Narodzenie zawsze napawało jego żonę niepokojem.

Powiesił na wieszaku marynarkę oraz spodnie i umieścił je

nad grzejnikiem. Owinąwszy się grubym pledem, umościł się na kolorowych poduszkach leżących na kanapie. Trącił przy tym pograżonego w drzemce pręgowanego kota, który miauknął niezadowolony, że zakłócono mu błogi sen.

Nie był to kot perski ani syjamski, lecz zwykły bezdomny dachowiec, którego Mallory przygarnęła, by królik Bonnie miał towarzystwo.  
— Cześć, nie bój się.

Nathan posadził go obok. Kot, obłaskawiony głaskaniem, zgodził się dzielić swoje terytorium, okazując ukontentowanie cichym mruczeniem. Nathan usadowił się wygodniej i ukołyszany posapywaniem kota też zamknął oczy.

Burza rozszalała się na dobre, niebo przecinały serie błyskawic, raz po raz rozlegały się groźne pomruki grzmotów.

Mallory przygotowywała kawę w kuchni.

Włączyła radio, które nadawało jej ulubioną starą piosenkę Van Morissona.

Kuchenne drzwi wychodziły na salon. Wychyliła się nieco i ukradkiem obserwowała Nathana. Zauważyła, że zamknął oczy. Jak dawniej, gdy patrzyła na niego, gdy spał, poczuła ogromne wzruszenie.

Jak to się stało, że wiedziała, iż Nathan stoi na ulicy? Tego nigdy nie da się wyjaśnić. Nagle jakaś tajemnicza siła kazała jej wyjść na deszcz i go odszukać. Była pewna, że tam jest, że na nią czeka. Coś takiego zdarzyło jej się nie pierwszy raz. Podobnie jak jej mąż, nie była religijna, a mimo to istniała między nimi jakaś duchowa więź, dodająca otuchy i zarazem tajemnicza, powstała jeszcze w dzieciństwie, o której nikomu nie mówiła, by nie wydać się śmieszna.

Znowu na niego spojrzała. Dlaczego wrócił? Już rano zaintrygował ją lekarz, który mu towarzyszył. Domyślała się, że coś jest nie w porządku. Czy Nathan zachorował? Ostatnio, kiedy do niej telefonował, usłyszała w jego głosie jakby nutę lęku, a tam, na deszczu, zobaczyła w jego oczach strach.

Tak dobrze znała tego mężczyznę odpoczywającego na kanapie. Znała go tak, jak nikogo innego na świecie. I jak sięga pamięcią, nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek coś przestraszyło Nathana Del Amico.

*Zima 1984 lotnisko w Genewie*

Mallory czeka w hali przylotów.

Rozmawiali przez telefon trzy dni temu, a dziś ma spędzić samotnie swoje dwudzieste urodziny w miejscu odległym od rodzinnego domu sześć tysięcy kilometrów.

Prosiła go, żeby nie przyjeżdżał, bo lot z Nowego Jorku do Genewy kosztuje majątek, a przecież wiedziała, że nie ma pieniędzy i że cierpi z tego powodu. Oczywiście mogłaby zapłacić za jego bilet, ale on nigdy by się na to nie zgodził. Mimo to przyjechała na lotnisko i czekała na przylot samolotu Swissair. Po prostu na wypadek gdyby...

Drżąca i zdenerwowana przygląda się pierwszym pasażerom, którzy zaczęli się pojawiać.

Kilka miesięcy wcześniej, kiedy już sądziła, że wyleczyła się, przeżyła nawrót tej choroby. To że znowu zaczęli się z Nathanem spotykać, wcale jej nie pomogło. Od początku na drodze ich miłości stało zbyt wiele przeszkód: wrogość jej rodziców, bariera społeczna, odległość... Znowu zaczęła chudnąć i ważyła nie więcej niż czterdzieści kilogramów.

Na początku bez większego trudu udawało się jej ukrywać przed rodzicami i Nathanem, że traci na wadze. Gdy przyjeżdżała do domu na wakacje, starała się sprawiać wrażenie, że jest w doskonałej formie.

Matka jednak szybko zauważyła

zachodzące w niej zmiany. Rodzice zareagowali zgodnie ze swoim zwyczajem: nie uznawali półśrodków i wybrali rozwiązanie radykalne, przekonani, że to rozwiąże wszelkie problemy.

W taki oto sposób znalazła się w szwajcarskiej klinice, bardzo drogiej, specjalizującej się w problemach psychologicznych dorastającej młodzieży. Mijał już trzeci miesiąc, odkąd przebywała w tym wstrętnym domu wypoczynkowym. Chociaż narzekała, musiała jednak przyznać, że leczenie okazało się skuteczne, zaczęła normalnie jeść i odzyskiwała siły. Mimo to każdego dnia toczyła boje z destrukcyjną siłą tkwiącą w niej samej.

Lekarze tłumaczyli jej, że brak apetytu wynika z protestu wobec czegoś, co sama musi zidentyfikować, jeśli chce być zdrowa.

Ale czy to rzeczywiście był protest?

Pewnie można i tak na to spojrzeć. Od dzieciństwa czuła coś niejasnego, co nasilało się coraz bardziej, w miarę jak dorastała.

To mogło nadejść w każdym miejscu, o każdej porze. Na przykład na ulicy, gdy spacerowała z przyjaciółkami, czy na zakupach. Wystarczyło, że przeszła obok bezdomnych, śpiących na kartonach rozłożonych na śniegu. Zawsze wydawało jej się, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Nikt tak naprawdę ich nie dostrzega. A na niej te czerwone od mrozu twarze robiły wstrząsające wrażenie. Nic więc dziwnego, że nie interesowały jej błaahostki. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest uprzywilejowana. Konfrontacja bogactwa i biedy była dla niej nie do zniesienia.

Wszyscy pasażerowie opuścili już samolot. Ostatni zjeżdżają ruchomymi schodami po przejściu przez kontrolę celną. Mallory zaciska mocno palce.

Jeśli zaczęła jeść, robiła to w dużej mierze dla niego. Związek z Nathanem stanowił dla niej solidny punkt zaczę-



pienia, gwarancję szczęścia, które chciałyby zachować za wszelką cenę. Kiedy już straciła nadzieję, nagle pojawia się na schodach. Na głowie ma czapkę Jankesów. Ubrany jest w granatowy sweter, który podarowała mu na urodziny.

Nie rozgląda się po sali, ponieważ nie spodziewa się, że ktoś na niego czeka. Dopiero gdy dojdzie do taśmociągu z bagażami, ona zdobywa się na odwagę i go wołała.

Nathan odwraca się zaskoczony, odstawia torbę, podbiega do Mallory i porywa ją w ramiona.

Ona tuli się do niego, ciesząc się tą bezcenną chwilą. Wsuwa głowę pod jego ramię, wdychając odurzający zapach jego wody kolońskiej. Zamyka oczy. Czuje się jak w dzieciństwie wolnym od wszelkich kłopotów i trosk.

— Wiedziałam, że znajdziesz mnie na końcu świata — żartuje, całując go.

On patrzy jej w oczy i mówi z powagą:

— Dla ciebie pójdę nawet dalej niż na koniec świata.

W tym momencie wie na pewno, że to mężczyzna jej życia. I że pozostanie nim na zawsze.

— Nie spodziewałem się, że przyjdiesz — szepnął Nathan, otwierając oczy.

Postawiła filiżankę z gorącą kawą na drewnianym taborecie.

— Wrzuciłam twoje spodnie do suszarki. Niedługo będziesz mógł je włożyć.

— Dziękuję.

Rozmawiali jak dwoje ludzi, którzy dobrze się znali, zanim rozdzielił ich los.

— Co oznaczają te bagaże? — zapytał, wskazując na dwie lorby podróżne stojące przy drzwiach.

— Zaproszono mnie na konferencję przygotowującą Forum Społeczne w Porto Alegre. Najpierw odmówiłam z powodu Monnie, ale ponieważ zabrałeś ją wcześniej...

— Co takiego? Jedziesz do Brazylii?

— Tylko na trzy, cztery dni. Wróć na Boże Narodzenie. Mallory otworzyła jedną z toreb i coś z niej wyjęła.

— Masz, włóż na siebie, bo się przeziębisz — powiedziała, podając mu spraną bawełnianą koszulkę. — Myślę, że jeszcze na ciebie pasuje. Przypomniał sobie, że nosił tę koszulkę tego pamiętnego wieczoru, kiedy kochali się po raz pierwszy. Dawno temu.

— Nie sądziłem, że ją zachowałeś. Zmieszana, wzięła z kanapy szal i owinęła się nim.

— Rzeczywiście zimno tu — przyznała, wstrząsając się. Wyszła na kilka sekund, by wrócić z butelką meksykańskiej tequili.

— Oto jeden z przyjemniejszych sposobów na rozgrzewkę — powiedziała, podając mu kieliszek.

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna zobaczył na jej twarzy uśmiech. I w dodatku ten uśmiech był przeznaczony dla niego.

— *A tu salud!*<sup>5</sup>, jakby powiedziała Bonnie.

— *A tu salud!* — powtórzył Nathan.

Stuknęli się kieliszkami, a potem, jak tego wymaga tradycja, wypili ich zawartość jednym haustem. Mallory usiadła obok niego na kanapie.

— Wiele czasu upłynęło, odkąd rozmawialiśmy prawda? Deszcz wciąż padał, bębniąc o szyby i zostawiając na nich długie smugi wody.

— Przyznaj się, co cię gnębi.

— Nic takiego — skłamał Nathan.

Postanowił nie mówić jej o Posłańcach. Ta historia jest zbyt irracjonalna, nieprawdopodobna. Mallory mogłaby uznać, że zwariował, zaniepokoić się, że zostawił Bonnie z Goodrichem.

Ona jednak nie ustępowała:

— Nie możesz dłużej udawać. Czego się boisz?

---

<sup>5</sup>*A tu salud!* (hiszp.) — na zdrowie!

Tym razem już nie kłamał:

— Że cię stracę.

Wzruszyła ramionami, jakby była rozczarowana.

— Już chyba się utraciliśmy.

— Można stracić człowieka w różny sposób. Odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

— Co przez to rozumiesz? Zamiast odpowiedzieć, zapytał:

— Jak mogło do tego dojść, Mallory?

— Przecież dobrze wiesz.

— Nic takiego by się nie stało, gdyby nie śmierć Seana — odpowiedział, wpatrując się w przestrzeń.

— Seana zostaw w spokoju! — zdenerwowała się. — Już wtedy nie byłeś tym, kogo pokochałam.

— Miłość nie ulatnia się tak nagle.

— Nie powiedziałam, że cię już nie kocham. Stwierdziłam tylko, że nie byłeś taki, jak na początku.

— Przecież poznałaś mnie, gdy miałem osiem lat! Całe szczęście, że się zmieniłem. Wszyscy się zmieniają.

— Nie udawaj, że nie rozumiesz. Twoje życie ograniczało się do pracy. Na mnie nie zwracałeś uwagi.

— Przecież musiałem pracować! — bronił się.

— To nie z powodu pracy upokorzyłeś mojego ojca tym procesem!

Ważniejsza była dla ciebie twoja duma niż żona.

— To Jeffrey doprowadził do procesu. Nie zapominaj o tym, co twoja rodzina zrobiła mojej matce.

— Zrobili to moi rodzice, nie ja. W ogóle o mnie nie pomyślałeś. Tak bardzo się ode mnie oddaliłeś, Nathanie. Wciąż byłeś niezadowolony, wciąż dążyłeś do jakiegoś nieosiągalnego szczęścia.

— Pragnąłem tego szczęścia dla nas. Dla ciebie, dla dzieci...

— Przecież byliśmy szczęśliwi, Nathanie. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy? Czego ci było trzeba? Pieniądzy? Po co? Zeby kupić trzeci samochód, a potem czwarty? Żeby grać w idiotycznego golfa w ekskluzywnym klubie?

— Chciałem być ciebie godny, Mallory. Pokazać, że mi się udało.  
Teraz już nie kryła gniewu:

— No, właśnie! Pokazać, że tobie się udało! Wielkie ambicje Nathana Del Amico!

— Nie jesteś w stanie tego zrozumieć. W środowisku, w którym się urodziłem...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Doskonale wiem, gdzie się urodziłeś i jakie to było dla ciebie trudne — powiedziała, podkreślając dobitnie każde słowo — ale życie nie jest współzawodnictwem ani wojną i nie masz obowiązku udowadniać, że udało ci się w każdej dziedzinie.

Zerwała się z kanapy.

— Mallory!

Próbował ją zatrzymać, ale pobiegła w drugi kąt pokoju. Chcąc się uspokoić, zapaliła kilka małych świeczek, umieszczonych w głębokiej misie przerobionej na świecznik.

Nathan podszedł do niej, chciał ją objąć, ona jednak odsunęła się gwałtownie.

— Spójrz na to. — Rzuciła mu „New York Timesa”, który leżał na stole w salonie.

Chociaż mieszkała w Kalifornii, nadał prenumerowała nowojorski dziennik, który czytywała od czasów studenckich. Nathan wziął gazetę i przeczytał kilka nagłówków: „Ohio: Nastolatek uzbrojony w pistolet zabił w liceum trzy osoby”.

„Chile: Erupcja wulkanu zapowiada zagładę ludzkości”. „Afryka: Setki tysięcy uchodźców na drogach regionu Wielkich Jezior”.

„Bliski Wschód: Znowu napięcie po kolejnym samobójczym zamachu”.

Po chwili Mallory zapytała go smutno:

— Jaki sens ma życie, jeśli nie można go z kimś dzielić? — W oczach miała łzy. — Co mogło być dla ciebie ważniejsze

niż dzielenie miłości z nami? — Ponieważ milczał, mówiła dalej: — Nie sprawiało mi radości życie z człowiekiem bez wad. Powinieneś był przyznać się do swoich słabości przynajmniej przede mną. Powinieneś mi zaufać...

Te słowa oznaczały jedno: bardzo mnie rozczarowałeś.

Patrzył na Mallory błyszczącymi oczami. Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Jednakże nie zasługiwał na to, by tylko jego obarczono winą.

— Ja w każdym razie nadal noszę obrączkę. — Podniósł rękę. — Noszę ją, a ty ośmieliłaś się zabierać tego durnia do naszej restauracji!

Mówiąc to, podsuwał pod oczy Mallory obrączkę, jak obrońca, pokazujący sędziom niezbity dowód niewinności swojego klienta.

Nie był jednak teraz na sali sądowej, lecz stał przed żoną, którą kochał, ona natomiast patrzyła na niego wzrokiem zdającym się mówić: „Nie osądzaj mnie na podstawie pozorów, nie rób mi tego!”. Wydobyła spod swetra cienki łańcuszek z zawieszoną na nim obrączką z białego złota.

— Ja także zachowałam swoją obrączkę, Nathanie Del Amico, jednak to niczego nie dowodzi.

Z jej oczu popłynęły łzy, ale próbowała mówić dalej:

— Jeśli chodzi o Vince'a, to wiedz, że nic dla mnie nie znaczy. — Po czym dorzuciła, wzduszając ramionami: — Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś, że wykorzystuję tego niedołęgę, to nie jesteś zbyt spostrzegawczy.

— Gdy chodzi o ciebie, często tracę spostrzegawczość.

— Wykorzystuję go, lecz wcale się tym nie szczycę. Ten facet odziedziczył prawdziwą fortunę i pójdę z nim do wszystkich restauracji świata, żeby część tych pieniędzy dał najbardziej potrzebującym.

— To dość cyniczne — zauważył. Zaśmiała się smutno.

— „Cynizm i odwaga to dwa filary biznesu”. Sam mnie pan tego nauczył, znakomity prawniku, zapomniałeś?

Wyjęła z kieszeni papierową chusteczkę i wytarła oczy. Nathan nie miał odwagi zbliżyć się do niej, by znowu nie zostać odtrąconym. Podeszedł do okna i otworzywszy je na oścież, wdychał świeże powietrze. Wyglądało na to, że czarne ciężkie chmury odpływają na północ.

— Już nie pada — powiedział, żeby przerwać napięcie.

— Nic mnie to nie obchodzi — mruknęła Mallory. Nathan odwrócił się do niej. Miała zapadnięte policzki, bladą, niemal przezroczystą cerę. Pragnął wyznać jej, że zawsze była dla niego na pierwszym miejscu i że tak już pozostanie do końca jego dni. Zdołał jednak powiedzieć tylko jedno:

— Wiem to wszystko, Mallory.

— Co wiesz?

— To wszystko, co przed chwilą powiedziałaś: że szczęście nie ogranicza się do dóbr materialnych, że szczęście to przede wszystkim umiejętność dzielenia się przyjemnościami i kłopotami, życie pod jednym dachem, z rodziną... Teraz już to wiem, Mallory.

Rozłożył bezradnie ręce i uśmiechnął się jak winowajca.

Popatrzyła na niego wyrozumiale. Kiedy zachowywał się tak jak teraz, przypominał jej małego chłopca, któremu kiedyś nie potrafiła się oprzeć. Zrezygnowała z dalszych wymówek. Podbiegła do niego i przytuliła się. Nie powinna być dla niego niesprawiedliwa, bo wiedziała dobrze, że po śmierci Seana Nathan rzucił się w wir pracy, by zapomnieć o cierpieniu. Nie mogła mieć mu tego za złe, choć bardzo żałowała, że przeżywając tę tragedię, nie potrafili się porozumieć.

Przymknęła oczy. Jeszcze nie wyszedł, ale ona wiedziała, że za kilka minut boleśnie odczuje jego nieobecność.

Według biologów uczucie miłości w znacznej mierze jest wynikiem reakcji chemicznych, które zachodzą w mózgu, wywołując pożądanie i przywiązanie. Jeśli to prawda, to w jej przypadku działo się tak za każdym razem, gdy była blisko niego.

Chciała, żeby ta chwila trwała w nieskończoność. Mimo to zdobyła się na ogromny wysiłek, by położyć temu kres. Właściwy moment jeszcze nie nadszedł. Wciąż miała do niego ogromny żal.

— Musisz już iść, jeśli chcesz zdążyć na ostatni samolot — powiedziała, odsuwając się od niego.

Stał na progu, nie mogąc zdecydować się na odejście. Taksówka już od pięciu minut czekała przed domem.

Jak jej wyjaśnić, że to może ich ostatnie spotkanie, ostatni uśmiech, ostatnia okazja, by móc się dotykać.

— Jeśli coś mi się stanie, chciałbym, żebyś...

— Nie mów głupstw — przerwała mu.

— To nie są głupstwa, Mallory, wyobraź sobie, że...

— Zobaczmy się znowu, Nathanie. Obiecuję ci to. Ponieważ nigdy go nie okłamała, powinien jej uwierzyć i tym razem.

Pocałowała wewnątrz swojej dłoni i pogłaskała nią delikatnie policzek męża.

Wsiadając do taksówki, obejrzał się, by spojrzeć na nią po raz ostatni.

Było to spojrzenie człowieka, który boi się, że na zawsze utraci ukochaną osobę. Ostatni znak wdzięczności duszy, która na tej ziemi miała szczęście odnaleźć swoją drugą połowę.

Patrząc, jak oddala się w czystym po deszczu powietrzu, Mallory dotknęła obrączki zawieszanej na łańcuszku. Ścisnęła ją z całych sił, powtarzając w myślach wiersz:

*Nasza miłość jest nieugięta jak śmierć. Nie zdołają jej ugasić strumienie wody, Nie zatopią jej wartkie rzeki.*

*Gdybym miał dziecko, powiedziałbym:  
urodziłem się, zakosztowałem życia  
i stwierdziłem, iż jest ono tak dobre,  
że warto je pomnożyć.*

**Milan Kundera**

*17 grudnia*

— *Que hora es?*<sup>6</sup> — zapytała Bonnie, przecierając oczy. Dopiero cą, się obudziła.

— Zgadnij! — odrzekł Nathan, biorąc ją na ręce. Wrócił z San Diego o szóstej rano. Zastał córeczkę śpiącą na kanapie w gabinecie Goodricha. „Położyła się spać bardzo późno — wyjaśnił lekarz. — Samolot miał opóźnienie z powodu złej pogody”. Nathan, z córeczką śpiącą w jego objęciach, pojechał do domu. Położył ją do łóżka o ósmej rano, kiedy słońce dawno już wzeszło.

Teraz dziewczynka patrzyła z niedowierzaniem na kuchenny zegar.

— Już trzecia po południu?

— Tak, dziecinko! Solidnie sobie pospałaś.

— Nie jestem dziecinką — zaprotestowała, ziewając.

— Ależ tak, jesteś! — powiedział. Posadził ją na wysokim

\* *¿Que hora es? (hiszp.) — która godzina?*



taborecie przed kubkiem z gorącą czekoladą. — Jesteś moją dziecinką. — Chyba nigdy nie spalam tak długo — zachichotała, biorąc rogalik z sezamem.

Popatrzył na nią z czułością. Przebywanie z nią sprawiało mu wielką radość. Stwierdził, że mała jest w dobrym nastroju. Wydawała się znacznie spokojniejsza niż podczas ubiegłych wakacji. Najwyraźniej mijał już szok po rozwodzie. W końcu zrozumiała, że pomimo separacji rodziców w dalszym ciągu ma matkę i ojca.

Teraz jednak pojawił się nowy, znacznie poważniejszy problem: miała jak najbardziej dosłownie stracić ojca.

Martwił się o nią. Czy istnieje jakiś sposób, by przygotować dziecko na śmierć któregoś z rodziców?

Na razie wołał odsunąć czarne myśli i korzystać ze szczęśliwych chwil. — Moglibyśmy pójść po choinkę — zaproponował, przypuszczając, że sprawi jej to przyjemność.

— O tak! Udekorujemy ją bombkami, gwiazdami i błyszczącymi łańcuchami.

— A potem kupimy coś dobrego na obiad.

— Zrobimy sałatkę z makaronu w atramentowym sosie z mątwy? — zapytała błagalnie.

Odkąd skosztowała go w restauracji Tribeca, gdzie poszli razem z Mallory, gdy Bonnie była jeszcze bardzo mała, było to jej ulubione danie.

— I wspaniały deser. Chcesz przygotować ze mną wielki, przepyszny deser?

— Oczywiście — powiedziała, skacząc z radości.

— A co sprawiłoby ci największą przyjemność?

— *Pumpkin pie*<sup>7</sup> — odpowiedziała bez wahania.

— To deser na Święto Dziękczynienia. Nie chcesz czegoś specjalnego na Boże Narodzenie?

---

<sup>7</sup> Słodki placek z dynią.

— Nie — pokręciła główką. — Lubię taki wilgotny placek z dynią, z dużą ilością mascarpone — sprecyzowała, oblizując się na samą myśl o tym przysmaku.

— No to kończ szybko śniadanie.

— Już zjadłam. — Wstała od stołu, by przytulić się do ojca. Uściskała go mocno, pocierając przy tym bosymi stopkami.

— Zimno ci, wiewióreczko?

— Tak, jestem cała zamrznięta.

Była naprawdę urocza, usiłując używać trudnych słów.

— Zmarznięta — poprawił ją ze śmiechem. — Jesteś małą, zmarzniętą dziewczynką, która musi czym prędzej ciepło się ubrać.

Znalezienie odpowiedniego makaronu nie było rzeczą łatwą. Musieli pójść do Deana i Delucca. Na kilka dni przed świętami ten luksusowy sklep spożywczy był zatłoczony. Klienci przepychali się łokciami, by jak najszybciej zrobić zakupy, ale oni mieli dużo czasu, im się nie spieszyło.

Na Broadwayu Bonnie przez dobry kwadrans oglądała choinki, wystawione przez sprzedawcę na ulicy. Kiedy wreszcie dokonała wyboru, Nathan zapakował drzewko do bagażnika terenówki, a potem pojechali do sklepu na 3. Alei, gdzie jego zdaniem były najlepsze w mieście owoce i warzywa.

Kupili tam piękną dynię i francuską zupę rybną w słoiku, która nosiła śmieszna nazwę „zupa po seczuańsku”.

Wrócili do domu późnym popołudniem, gotowi zabrać się do działalności kulinarnej.

Bonnie zdjęła ciepłą kurtkę z kapturem i szybko rozłożyła wszystkie zakupy na kuchennym stole: ciasto makaronowe w kawałkach, dynię, pomarańcze, cukier waniliowy, olejek migdałowy, mascarpone...

— Przyjdiesz mi pomóc? — zapytała z filuternym uśmiechem.

— Już pędzę.

Popatrzył na córkę i poczuł, że ściska mu się serce. Chciałby jej powiedzieć, żeby nie bała się przyszłości, że nawet po śmierci zawsze będzie nad nią czuwał.

Ale co on sam o tym wiedział? Nikt nie ma pojęcia, jak się to wszystko odbywa.

Bał się, że zostawi swoją małą córeczkę, która, pozbawiona jego pomocy, narażona będzie na wszelkie podłości tego cynicznego świata.

Podszedł do stołu. Bonnie, w za dużym fartuszku, zdążyła już otworzyć książkę kucharską na właściwej stronie i czekała cierpliwie na jego instrukcje.

— No to do roboty!

Nathan wziął zwinięte w rulon ciasto i wsunął do środka małe i suszoną fasolę. Całość owinał folią aluminiową, po czym wstawił do piekarnika, obok kruchego ciasta na placek z dynią. Tymczasem Bonnie oczyściła dynię. Pomógł jej pokroić miąższ w drobną kostkę, a ona ostrożnie polała go kilkoma kroplami olejku migdałowego. Nathan, postawiwszy dynię na kuchence, by się podgrzała, skorzystał z chwili przerwy, by zadać jej pytanie:

— Pamiętasz, jak umarł Sean?

— Oczywiście — odparła, patrząc mu prosto w oczy. Chociaż starała się tego nie pokazać, zauważył na jej twarzy cień smutku. Mimo to mówił dalej:

— Byłaś wtedy bardzo malutka.

— Miałam cztery lata — sprecyzowała.

— Żeby ci to jakoś wyjaśnić, powiedzieliśmy z mamą, że Sean jest w niebie.

Kiwnęła głową na znak, że pamięta.

— Początkowo zadawałaś dużo pytań na ten temat. Kilka razy pytałaś, czy w niebie jest zimno. Chciałaś też wiedzieć, co twój braciszek tam je i czy będziesz mogła go kiedyś odwiedzić.

— Pamiętam.

— Nie wiem, czy wybraliśmy najlepszą metodą, by wytłumaczyć ci, czym jest śmierć...

— Dlaczego po śmierci idzie się do nieba?

— Tak naprawdę, kochanie, to nikt nic o tym nie wie. Dziewczynka zamyśliła się na chwilę, przypominając sobie wszystko, co słyszała na ten temat.

— Moja koleżanka Sara mówi, że po śmierci idzie się do raju lub do piekła.

— Tego nie wiemy — powtórzył Nathan. Zrozumiał jednak, że ta odpowiedź jej nie zadowoliła.

— A może poszukamy w encyklopedii? — zaproponowała z ożywieniem. — Mama zawsze mówi, że jeśli się czegoś nie wie, trzeba zajrzeć do encyklopedii.

— W encyklopedii też tego nie znajdziemy. To tajemnica. W tym momencie zadzwonił minutnik piekarnika. Nathan wyjął upieczony, gorący placek.

Wbrew jego oczekiwaniom mała nie zaoferowała swojej pomocy.

— Hej, Bonnie, jesteś mi potrzebna. Trzeba przygotować masę do placka. Pokaż, że potrafisz rozbić jajka tak, jak cię uczyłem. Pospiesz się!

Bonnie zabrała się do roboty najpierw z pewnym wahaniem, a potem już z pełnym zaangażowaniem. Wymieszała żółtka z cukrem. Poradziła z tym sobie w pięć minut.

— Patrz, jak się ubiło! — zawołała ze śmiechem.

— Teraz trzeba wrzucić dynię, nalać soku pomarańczowego i dosypać mascarpone.

Podzielili się pracą. On wyciskał pomarańczę, a ona przepuszczała dynię przez maszynkę do mielenia.

Kiedy skosztowała przygotowanej przez siebie masy, pod jej nosem zostały pomarańczowe wąsiki.

Nathan pobiegł po aparat fotograficzny i zrobili sobie nawzajem zdjęcia. Potem podniósł aparat nad ich głowami. Przytulili się do siebie policzkami.

— Raz, dwa, trzy, *cheese*.

Jeszcze jeden piękny uśmiech.

Pozwolił jej rozsmarować masę na placku, a potem wsunął go do piekarnika.

Bonnie przykucnęła przed szybą piecyka i obserwowała, jak placek zaczyna się przyrumieniać. Była tak przejęta, jakby oglądała najlepszy program w telewizji.

— Mniam, mniam... Wygląda doskonale. Długo trzeba będzie czekać?

— Jakieś czterdzieści minut, kochanie.

Dziewczynka podniosła się, skierowała na niego swój malutki nosek i pozostała w tej pozycji przez kilka sekund, jakby wahała się, czy mu o czymś powiedzieć. W końcu się zdecydowała:

— Babcia nie lubi, kiedy pytam ją o śmierć. Mówi, że jestem za mała i że to przynosi nieszczęście.

— To bzdury, kochanie. Po prostu dorośli boją się rozmawiać z dziećmi na ten temat.

— Dlaczego?

— Obawiają się, że je przestraszą, a przecież wywołują w nich strach właśnie przez to, że nie chcą o tym mówić. Zawsze boimy się tego, czego nie znamy.

— Co więc trzeba wiedzieć o śmierci? — zapytała. Zastanowił się przez chwilę.

— Po pierwsze, że jest nieunikniona.

— To znaczy, że nie można przed nią uciec?

— Tak, dziecinko, wszyscy ludzie umierają.

— Nawet Lara Croft?

— Lara Croft nie istnieje, przecież wiesz.

— A Jezus?

— Nie jesteś Jezusem.

— To prawda — przyznała z uśmiechem.

— Po drugie, że śmierć jest nieodwracalna. Spróbowała powtórzyć to nowe słowo, którego sensu nie rozumiała.

— Niewracalna?

— Nieodwracalna, kochanie. To trudne słowo oznacza, że kiedy się umrze, nie można ożyć.

— Jaka szkoda — westchnęła, szczerze zmartwiona.

— Tak, wielka szkoda. Ale nie martw się, tak szybko nie umrzesz. Ani jutro, ani pojutrze.

— A kiedy?

Nathan pożałował, że zaczął tę rozmowę. Bonnie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby mógł powiedzieć jej coś pewnego na temat przyszłości.

— Kiedy już będziesz bardzo, bardzo stara.

— I będę miała zmarszczki?

— Tak, będziesz miała zmarszczki, siwe włosy i zarost na brodzie. To ostatnie wywołało uśmiech na jej buzi. Ale nie na długo.

— A ty i mama? Kiedy wy umrzecie?

— Nie myśl o tym. Na pewno nie dziś. Ale jeśli umrę, to nie powinnaś się za bardzo martwić.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Mam nie być smutna, kiedy umrzesz? — zapytała, jakby powiedział coś wyjątkowo absurdalnego.

— Ależ tak, możesz być smutna, ale nie powinnaś niczego żałować ani robić sobie wymówek. Zrozumiałaś? Nie będzie w tym twojej winy.

Oboje z mamą jesteście z ciebie bardzo dumni. Nie powinnaś żałować, że spędzałaś ze mną za mało czasu. Powiedz sobie wtedy, że robiliśmy razem wiele fajnych rzeczy i że pozostaną nam piękne wspomnienia.

— Czy to właśnie czułeś, kiedy umarła twoja mama? Nathan, zmieszany, nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

— Niezupełnie, ale próbowałem — przyznał. — Nie bój się okazywać swoich uczuć wobec tych, których kochasz.

— Dobrze — powiedziała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Żeby poradzić sobie ze śmiercią kogoś bliskiego, musisz

zbliżyć się do tych, którzy cię kochają. Oni ci pomogą, podtrzymają na duchu.

— Powinnam przyjść do ciebie albo do mamy?

— Tak. Zawsze przychodź do nas, kiedy masz jakieś kłopoty. Nawet wtedy, kiedy będziesz już dorosła. Zawsze będziesz mogła się do nas zwrócić. A jeśli kiedyś umrę, to zostanie ci mama. Twoja mama jest wspaniała, potrafi zaradzić wszystkim smutkom.

— Ale to będzie bardzo trudne — stwierdziła Bonnie drżącym głosem.

— Masz rację, to trudne. Czasami będziesz czuła się bardzo samotna i będzie ci się chciało płakać, wtedy płacz, bo to bardzo pomaga.

— Tylko małe dzieci płaczą — zaproponowała bliska łez.

— Nie, płaczą wszyscy. Uwierz mi. Ludzie, którzy nigdy nie płaczą, to najbardziej nieszczęśliwe istoty na ziemi. Za każdym razem, kiedy zapragniesz poczuć mnie koło siebie, porozmawiaj ze mną w jakimś miejscu, w którym lubiliśmy bywać razem.

— Często mówisz do Seana?

— Tak — wyznał, odczuwając niemal ulgę, że mógł jej to powiedzieć. — Rozmawiam z Seanem i z moją mamą. Sean nadal żyje w moim sercu. Na zawsze pozostanie moim synkiem. I tak samo powinno być z tobą: zawsze będę twoim tatą, a mama zawsze będzie twoją mamą. Nawet po śmierci, bo to niczego nie zmienia.

— Czy idziesz na cmentarz, kiedy chcesz z nimi porozmawiać?

— Nie, nie lubię cmentarzy. Idę do parku, bardzo wcześnie rano, kiedy nie ma tam prawie nikogo. Wszystkim mówię, że biegam dla utrzymania formy, a tak naprawdę po to, żeby być z nimi. Każdy powinien znaleźć swoje miejsce. To bardzo ważne, żeby komunikować się z osobą, którą się kocha, aby pozostała z nami przez całe nasze życie.

— Myślisz o nich cały czas?

— Nie — skłamał Nathan. — Często, ale nie cały czas. Poczul gęsią skórkę na ramionach. A potem dodał, patrząc w dal:

— Życie jest czymś cudownym, czymś bardzo cennym. Bonnie objęła go za szyję. W głębi duszy zastanawiała się nad tym, jacy śmieszni są jej rodzice. Zawsze mówią o sobie dobrze, ale nie mogą być razem z nią w święta Bożego Narodzenia. Zaczynała jednak się domyślać, że życie dorosłych bywa czasami bardzo skomplikowane i że nie powinna się w to mieszać.

Kolacja upłynęła im w świetnym nastroju. Nie poruszali już żadnych smutnych tematów. O ile zupa i sałatka były dość udane, to placek, jak wyraziła się Bonnie, był *deliciosa*, z lukrem i syropem owocowym. Wieczór poświęcili na ubieranie choinki, słuchając kompozycji Debussy'ego *Kącik dziecięcy*, która bardzo podobała się Bonnie. Na dworze cicho padał śnieg.

— Dlaczego mama nie lubi Bożego Narodzenia?

— Bo uważa, że zatarł się prawdziwy sens tego święta. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie rozumiem.

Musi bardziej uważać, jego córka nie jest jeszcze dorosła. Spróbował wytłumaczyć to jaśniej:

— Mama uważa, że przy tej okazji powinniśmy więcej myśleć o ludziach cierpiących nędzę, zamiast tak zachłannie kupować nowe rzeczy, których w rzeczywistości wcale nie potrzebujemy.

— To prawda? — zapytała Bonnie, która nie wyobrażała sobie, żeby mama mogła się mylić.

— Prawda. Żyjemy tu w cieple, bezpiecznie, podczas gdy jest tylu samotnych ludzi. Ciężko być samotnym, smutno.

— A mama jest teraz sama — zauważyła dziewczynka.



— Pewnie jest z Vince'em — odrzekł Nathan bez przekonania.

— Chyba nie.

— Mówi ci to twoja kobieca intuicja? — zapytał, puszcżając do niej oko.

— Właśnie — odrzekła Bonnie, przymykając dwoje oczu naraz.

Nazywała to „podwójnym puszcżeniem oka”, bo tylko to potrafiła zrobić. Pocałował ją w główkę.

Kiedy skończyli ubieranie choinki, obejrżeli razem na DVD fragment *Shreka*, opowieść o zielonym olbrzymie z uszami w kształcie lejków.

Potem Bonnie grała mu na skrzypcach i całkiem nieźle zaśpiewała po hiszpańsku piosenkę *Besame mucho*, której nauczyła się w szkole.

Nathan odegrał bardzo entuzjastyczną publiczność, wielokrotnie żądając bisów.

A potem nadeszła pora na spanie.

Przygotował jej pościel w swoim łóżku, a ona poprosiła, by zostawił na korytarzu zapalone światło.

— Dobranoc, mała wiewióreczko — pożegnał ją, wychodząc. — Bardzo cię kocham.

— Ja też cię bardzo kocham — odpowiedziała. — I to niezwracalnie.

Nie miał serca poprawiać tego błędu i pocałował ją jeszcze raz.

Kiedy wychodził z sypialni, przypomniał mu się kwietniowy dzień 1995 roku na oddziale położniczym w San Diego. Wtedy pierwszy raz wziął na ręce swoją małą córeczkę, która dopiero co się urodziła. Był tak wzruszony i onieśmielony, że nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Widział tylko maleństwo z pomarszczoną buzią, z zamkniętymi oczkami, robiące śmieszne miny i machające rączkami.

Wtedy nie wiedział jeszcze, że zajmie tak ważne miejsce w jego życiu. Że ten maleńki człowieczek stanie się dla niego cenniejszy niż źrenice jego oczu.

Domyślał się, że kiedy zostanie ojcem, nastąpi w jego życiu radykalna zmiana, ale nie miał najmniejszego pojęcia, ile mu to przyniesie miłości i wzruszeń.

Jeszcze nie wiedział, że dziecko może dostarczyć tyle radości.

Ani tego, że utrata dziecka może wywołać tak wielką rozpacz.

Potem maleństwo otworzyło oczka i spojrzało na niego uważnie, jakby chciało dać mu do zrozumienia, że go potrzebuje. Poczul wtedy ogromne wzruszenie, bezgraniczną miłość.

I z pewnością nie było słów, by opisać jego szczęście.

22

*Każdy człowiek jest sam  
i nikt nie przejmuje się drugim,  
a nasze cierpienia są jak bezludna wyspa.*

**Albert Cohen**

*18 grudnia*

Nathan, choć tak naprawdę nie miał na to ochoty, musiał jednak dotrzymać obietnicy danej żonie i zawieźć Bonnie do dziadków na dwa długie dni.

Wstał rano i mimo wczesnej godziny zadzwonił do Jeffrey'a i Lisy Wexlerów, by ich uprzedzić, że przyjadą. Wiedział, iż pojęcie „długiego spania” nie istniało w słowniku teściów nawet podczas wakacji.

Ponieważ Bonnie poszła późno spać, poczekał do ósmej, żeby wyciągnąć ją z łóżka, przyjechali więc na miejsce spóźnieni prawie półtorej godziny. Po drodze zatrzymali się w Starbucks, żeby wypić gorącą czekoladę ze ślazowymi cukierkami.

Ponieważ napadało sporo śniegu, Nathan postanowił jechać land-roverem. Tak jak jej matka Bonnie uwielbiała ten wielki Namochód z dużymi kołami. Siedząc wysoko, wyobrażała sobie, że dowodzi statkiem powietrznym, który leci nad Ziemią.

Już od trzydziestu lat Wexlerowie spędzali święta Bożego

Narodzenia w górach Berkshires na zachód od Massachusetts. Było to dość daleko od Nowego Jorku, ale droga wiodła piękną pagórkowatą okolicą. Między wzgórzami ulokowały się malownicze miasteczka typowe dla Nowej Anglii. Jechali drogą nr 7, minęli Norwalk, Great Barrington, a potem skierowali się do Stockbridge. Nathan prowadził ostrożnie, bo droga miejscami była śliska. Przed ich oczami przepływały pola przysypane cienką warstwą śniegu.

Żeby się rozerwać, Bonnie włożyła do odtwarza płytę z fortepianową improwizacją Keitha Jarretta na temat z musicalu *Czarodziej z krainy Oz*. Zaczęła podśpiewywać *Gdzieś, ponad tęczę...*, puszczając do ojca „podwójne oko”. Była taka urocza w za dużej baseballowej czapce, którą włożyła dla ochrony przed silnym słońcem.

Nathan był dumny, że potrafił ją dobrze wychowywać. Oboje z Mai lory wcześniej zaczęli okazywać wobec córki stanowczość i wpoili jej kilka podstawowych zasad: należy szanować innych i pamiętać, że oprócz praw ma się także obowiązki.

Udało im się również oprzeć pokusie rozpieszczania córeczki. Nie było mowy o adidasach za dwieście dolarów ani o drogich ubraniach. Uważali kupowanie takich rzeczy za niewłaściwe, podobnie jak niestosowna wydawała im się postawa tych rodziców, którzy pozwalali znieważać się własnym dzieciom, zachwycając się bogactwem ich słownictwa, zamiast surowo je zganić.

Co z takich dzieci wyrośnie? Ci młodzi, niedojrzali psychicznie egoiści, otoczeni w dzieciństwie nadmierną troską i traktowani jak kapryśne książątka, zetkną się kiedyś z brutalną rzeczywistością dnia codziennego i zmuszeni będą do kompromisów, przeżywając frustracje.

Znów spojrzał na córkę. Ukołysana jazzem, spała z zaciśniętymi piąstkami, z głową odwróconą do oświetlonego zachodzącym słońcem okna.

Zadumał się nad przyszłością.

Jak do tej pory wychowywanie córki nie było kłopotliwe, trudności miały dopiero nadejść.

Bez wątpienia któregoś dnia poprosi, by pozwolił jej wyjść wieczorem, przekłuć uszy, nos lub jeszcze coś innego... Tak, zawsze nadchodzi moment, kiedy pojawiają się kłopoty, kiedy najgrzeczniejsza córeczka zmienia się w niewdzięczną nastolatkę, przekonaną, że jej rodzice to starzy idioci, niezdolni jej zrozumieć.

Mallory będzie musiała sama stawić czoło takiej sytuacji. Jego już nie będzie, nie przyjdzie jej z pomocą. Nie pozna pierwszego niepokoju, gdy Bonnie nie wróci wieczorem, ani pierwszego narzeczonego, którego przyprowadzi do domu. Nie dowie się o jej pierwszej podróży na drugi koniec kraju, którą będzie chciała odbyć z koleżankami... Pewnie poradziłyby sobie z tym wszystkim. Gdyby nie czekano na niego gdzie indziej.

Gdy myślał o zrozumieniu, jakie panowało między nim i Bonnie, często wracał pamięcią do czasów dzieciństwa, kiedy on i jego matka byli sobie bardzo bliscy. Potem, chcąc zrobić karierę, postanowił zerwać ze środowiskiem, w którym dorastał. Niełatwo synowi sprzątaczkii podbić Nowy Jork!

Dopiero niedawno zdał sobie sprawę, jak wiele zawdzięczał matce.

Nauczyła go odwagi i zdolności do wyrzeczeń, pokazała, jak walczyć z przeciwnościami losu.

On jednak pozwolił jej umrzeć, nie podziękowawszy za to wszystko. W ostatnich latach poprzedzających jej śmierć, kiedy zaczynał dobrze zarabiać, powinien był zbliżyć się do niej i razem z nią cieszyć się swoimi sukcesami. Powinien był jej powiedzieć: „Widzisz, udało nam się, twoje poświęcenie nie poszło na marne. Jestem szczęśliwy”. On tymczasem nawet jej nie odwiedzał. Zbyt zajęty sobą, wysyłał jej co miesiąc pieniądze, żeby nie musiała pracować. A kiedy do niej przychodził, zawsze się spieszył. Ograniczał się do kilku konwencjonalnych

zdań i wychodził, zostawiając plik pieniędzy (za każdym razem coraz grubszy), jakby przepraszając za to, że jest złym synem.

Dziś gdy myślał o wszystkich tych straconych okazjach, miał ogromne poczucie winy. Ale nie tylko to wspomnienie go dręczyło.

Chodziło o epizod, o którym nigdy nie mówili, ale zapamiętali go na całe życie.

Miał trzynaście lat. Wydarzyło się to latem 1977 roku, na początku sierpnia, podczas ostatnich wakacji, które spędził w Nantucket z Mallory (wtedy pierwszy raz ją pocałował w usta... Ale to zupełnie inna historia). Rok wcześniej, gdy zdał błyskotliwie cały szereg testów, został przyjęty do Wallace School, prestiżowej szkoły na Manhattanie.

Szkoła zwalniała z połowy opłat szczególnie zdolnych uczniów, ale i tak dla Eleanor Del Amico był to duży wydatek. Tym bardziej że wymagano zapłaty za cały rok z góry. Nathan wytłumaczył matce, że będzie to inwestycja w jego przyszłość, jedyna szansa, żeby nie skończył jako magazynier czy zmywacz podłóg.

Tego lata Eleanor była bez grosza. Zimą chorowała na przewlekły bronchit i musiała pójść do szpitala, co pociągnęło za sobą wielkie wydatki. Na początku miesiąca poprosiła Wexlerów, by dali jej pensję z góry, by mogła opłacić szkołę syna. Ale Jeffrey, jak zawsze bardzo zasadniczy, kategorycznie odmówił.

— Co za podłość — powiedziała wówczas matka do Nathana. —

Uratowałeś życie ich córce, a oni odmawiają ci takiej drobnostki.

Miała rację, choć Nathan nie lubił, gdy odwoływała się do tego wydarzenia sprzed wielu lat, by dostać coś od swojego chlebodawcy.

I wtedy z kasetki na biżuterię Lisy Wexler zniknęła bransoletka z pereł.

Nathan nigdy nie zrozumiał, jak to się stało, ale podejrzenie natychmiast padło na jego matkę i na niego. Jeffrey Wexler przepytął ich tak, jakby nie wątpił w ich winę. Przeszukał ich nawet, każąc im stanąć pod ścianą z rękami do góry. Nathan nie studiował jeszcze prawa i nie wiedział, że

tego rodzaju praktyki są niedozwolone. Ponieważ pokojówka nie przyznawała się do winy, Jeffrey przeprowadził rewizję w jej pokoju, otwierając wszystkie szuflady i walizki. Kiedy niczego nie znalazł, zagroził, że wezwie policję, sądząc, że przestraszy tym Eleanor. Ona jednak nadal uparcie się nie przyznawała i padłszy przed nim na kolana, powtarzała:

— Przysięgam panu, panie Wexler, że niczego nie ukradłam.

Ostatecznie sprawa zakończyła się zwolnieniem Eleanor z pracy. Mimo nalegań żony, Jeffrey nie zdecydował się wezwać policji, lecz wyrzucił Eleanor, nie płacąc jej. W środku lata, bez grosza przy duszy, Nathan i matka wrócili do rozgrzanego upałamiami Nowego Jorku.

Było to najgorsze upokorzenie w jego życiu, gdy stojąc pod ścianą jak złodziej, napotkał wzrok Mallory. Czuł się poniżony i zhańbiony. Ten wstyd towarzyszył mu do dziś, ukryty gdzieś w zakamarkach jego duszy. Wiedział, że nigdy nie zajdzie tak wysoko, żeby zmyć tę hańbę. Nie wystarczało mu, że pokonał tyle przeszkód i zrobił karierę. On chciał jeszcze więcej. Pragnął pokonać Jeffrey'ego w tym cholernym procesie, żeby zapłacił za jego upokorzenie, odstępując mu apartament w San Remo, wart wiele milionów dolarów. Zdawał sobie sprawę, że tym procesem wyrządza krzywdę Mallory. Ale nawet świadomość, że sprawia ból kochanej osobie, nie zdołała go powstrzymać. Kiedy człowiek bardzo czegoś chce, gotów jest na wszystko.

Najbardziej jednak bolesne było to, że w końcu uwierzył Wexlerowi, a nie matce. Nigdy nie rozmawiał z nią o bransoletce, ale kiedy rozważył tę sprawę dogłębnie, doszedł do wniosku, że matka ją ukradła. I że zrobiła to dla niego. W październiku 1977 roku opłata za pierwszy rok w szkole została wniesiona w ostatniej chwili, dzięki czemu mógł kon-

tynuować naukę. Wtedy nie próbował dowiedzieć się, jak doszło do tego cudu. Czasami jednak w smutne dni powtarzał sobie tę straszliwą prawdę, że jego matka została złodziejką i że zrobiła to dla niego.

Bonnie otworzyła oczy. Jeszcze kilkaset metrów i dojadą na miejsce. Stockbridge, znajdujące się w sercu gór Berkshires, było uroczym małym miasteczkiem, założonym przez Mohikanów, zanim dotarli tu misjonarze, gorliwie nawracający ich na chrześcijaństwo. Wexlerowie mieli ranczo pod miastem. Trzymali kilka koni i ślicznego kuca, na którym bardzo lubiła jeździć Bonnie.

Nathan stanął przed bramą z kamerą i nacisnął klakson. Po kilku sekundach otworzyły się dwa skrzydła bramy, wpuszczając go na zwirowy podjazd.

Zatrzymał się przed niewielkim pawilonem, zajmowanym przez strażników. Ostatnio, kiedy tu był, nawet nie wysiadł z wozu.

Tym razem będzie inaczej.

Goodrich radził, by przed śmiercią ze wszystkimi się pogodzić. Postąpi więc zgodnie z jego radą! Nathan postanowił wyjawić Jeffreyowi to, o czym nie mówił nikomu. Coś, co może zniszczyć jego reputację, a nawet spowodować wykluczenie go z palestry.

Podczas studiów Nathan traktował zawód adwokata jak powołanie, sposób na obronę najsłabszych, którzy, tak jak on, pochodzili z nizin społecznych. Jednakże ten zawód ma sens tylko wtedy, gdy przestrzega się skrupulatnie pewnej zasady. Nathan zawsze postępował godnie z nią... oprócz jednego przypadku.

Trzasnął drzwiczkami samochodu. Słońce było wysoko, wiatr wzbijał obłoczki brunatnożółtego pyłu.

Z daleka ujrzał Jeffreya, który zbliżał się ku nim wolno.



Bonnie rzuciła się biegiem na spotkanie dziadka, radośnie pokrzykując. Napotykając wzrok teścia, Nathan jak zawsze stwierdził, że Mallory jest bardzo do niego podobna. Mieli takie same jasnoniebieskie oczy i rasowe twarze.

Tak, Mallory jest bardzo podobna do ojca. I dlatego Nathan, mimo całej niechęci, nie potrafił nim gardzić.

Po przywitaniu Nathan powiedział Jeffreyowi, że bardzo zależy mu na rozmowie w cztery oczy. Byli teraz w jego gabinecie.

Wexler zapalił krótkie, grube cygaro, jakimi zwykł się delectować bez względu na porę dnia. Puszczając kółeczka dymu, a Nathan patrzył okiem konesera na półki pełne oprawnych w skórę dzieł prawniczych.

Jeffrey urządził gabinet jak prawdziwą bibliotekę. Zielone, połączane lampy oświetlały stare meble z drogiego drewna. Ogromny stół do pracy był zasłany plikami dokumentów i pudełkami z dyskietkami. Stały też na nim dwa laptopy. Kilka miesięcy po oficjalnym odejściu na emeryturę Jeffrey wciąż był bardzo aktywny.

Miał za sobą dość nietypową drogę życiową. Gdy był młody, grał w baseball, ale musiał zrezygnować z ulubionego sportu po upadku, jaki przydarzył mu się podczas górskiej wycieczki. Doznał poważnego urazu czaszki i został zmuszony do skierowania energii na coś innego. Po ukończeniu studiów na Harvardzie z pierwszą lokatą najpierw pracował jako sędzia, a potem został przyjęty do jednej z najbardziej znanych kancelarii adwokackich w Bostonie. W ostatnich latach, doskonale orientując się w sytuacji, zadbał o swoje interesy, specjalizując się w pozwach zbiorowych. Bronił z sukcesem pracujących w stoczniach robotników, narażonych na szkodliwe działanie azbestu. Zdobył fortunę, występując o odszkodowanie do wytwórni papierosów w imieniu ofiar tego nałogu. Od dwóch

lat zaangażowany był w proces przeciw operatorom telefonii komórkowej, wytoczony przez chorych na guza mózgu, uważających, że ukryto przed nimi ryzyko szkodliwego wpływu fal elektromagnetycznych.

Nathan musiał przyznać, że Wexler znał się na rzeczy. Był jednym z ostatnich adwokatów w starym stylu, wspominających z nostalgią dawne czasy, kiedy przedstawiciele prawa działali bardziej z przekonania niż dla zysku. Był okres, gdy pojawiła się między nimi pewna zażyłość, ale sprawa bransoletki zepsuła wszystko. Mimo to nawet teraz Nathan czuł w głębi duszy podziw dla teścia.

Wexler podciągnął szelki.

— No więc co takiego ważnego masz mi do powiedzenia? — zapytał, nie wyjmując cygara z ust.

— Przypomina pan sobie nasz proces... — zaczął Nathan.

— Jeśli chcesz wracać do starych sporów... — Wexler nie krył rozdrażnienia.

Nathan nie pozwolił mu mówić dalej. Postanowił wyrzucić z siebie wszystko, co miał na sercu.

— Przekupiłem sędziego Livingstone'a. Dałem mu łapówkę przez jednego z jego asystentów, by wydał wyrok na moją korzyść.

Jeffrey nie mrugnął nawet okiem. To był twardy człowiek, który nigdy nie okazywał uczuć.

Teraz jednak wydawał się zmęczony; miał sińce pod oczami, głębokie zmarszczki i nieco zaniedbaną brodę.

— Chciałem się zemścić, odebrać panu apartament w San Remo za to, co zrobił pan mojej matce. Nie znalazłem na to innego sposobu i w efekcie zhańbiłem nasz zawód.

Wexler pochylił głowę, jakby zastanawiał się nad czymś głęboko, po czym otworzył usta, ale nic nie powiedział.

Stanął przy oknie, wbiwszy wzrok w zaśnieżone góry.

Odwróć się, Jeffrey. Wysłuchaj mnie.

Nathan wygłaszał do jego pleców całą litanię wymówek. Płynęły długo tłumione słowa:

— Niech pan sobie przypomni czasy, gdy miałem osiem lat, kiedy zabierał mnie pan na ryby nad jezioro i opowiadał o wygranych procesach. Pewnie wtedy postanowiłem zostać adwokatem. Uczyłem się oczywiście dla siebie, ale na początku w jakiejś mierze również i po to, by zyskać pańskie uznanie. Roilem sobie naiwnie, że mnie pan zaakceptuje, że będzie ze mnie dumny. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jak bardzo pragnąłem, by mnie pan zaakceptował.

Jak bardzo chciałem mieć takiego ojca jak ty... Zapadła cisza. Jeffrey odwrócił się twarzą do zięcia.

— Powinien był pan mnie zaakceptować! — powiedział z naciskiem Nathan. — Zrobiłem, co do mnie należało. Żeby to osiągnąć, wiele zniosłem. Tymczasem doprowadził pan do tego, że sprzeniewierzyłem się swojemu zawodowi, że przekupiłem sędziego jak jakiegoś zwykłego opryszka...

— Uratowałem cię — przerwał mu Jeffrey.

— Co takiego?

— Przez jakiś czas studiowałem z sędzią Livingstone'em. W czasie tego procesu przyszedł do mnie, by mi powiedzieć, że próbujesz go przekupić. Nathan osłupiał.

— Słucham?

Stary adwokat westchnął i zaczął mówić, jakby przypominał sobie powoli zdarzenia sprzed lat:

— Livingstone to prawdziwy drań, ale potrafił być ostrożny i nie dać się złapać. Zdecydowałem, że dam mu dwa razy więcej, niż mu proponowałeś, żeby tylko nie doniósł na ciebie władzom sądowym i by wydał wyrok na twoją korzyść.

— Ale dlaczego?

Wexler odpowiedział po chwili z lekkim wahaniem:

— Zrobiłem to dla Mallory. Nie chciałem, by została zamieszana w ten skandal. A poza tym także...

Nathan uniósł brwi. Jeffrey zrozumiał to nieme pytanie. Nie patrząc mu w oczy, wrócił do przeszłości:

— Tego pamiętnego wieczoru latem siedemdziesiątego siód-

mego roku dużo wypilem. Przeżywałem wtedy trudny okres zarówno w małżeństwie, jak i w pracy. Wracalem z Bostonu, gdzie na prośbę Lisy oddałem do jubilera jej bransoletkę, by naprawił zameczek. Przed wyjazdem z miasta spędziłem popołudnie u jednej z moich asystentek, która była wtedy moją kochanką. Ma się rozumieć, niczego jej nie obiecywałem. W tamtych czasach w moim środowisku nikt nie rozwodził się po to, żeby ożenić się z sekretarką. Jednak ona mnie szantażowała w nadziei, że opuszczę żonę. Gdy od niej wyszedłem, wstąpiłem do hotelowego baru, by napić się whisky. Nie ograniczyłem się do jednego kieliszka, wypilem cztery lub pięć. Przypuszczam, że wiesz o moim problemie z piciem... Nathan nie od razu zrozumiał.

— Jak to?

— W tamtym czasie piłem bardzo dużo. Jestem alkoholikiem.

Nathan spodziewał się wszystkiego, ale nie rewelacji tego rodzaju.

— Od kiedy?

— Udało mi się przestać pić na początku lat osiemdziesiątych, ale potem znów zacząłem. Próbowałem już wszystkiego — terapii, spotkań anonimowych alkoholików... ale nie jest łatwo chodzić na takie spotkania, przyznawać głośno, że jest się pijakiem, i dyskutować o osobistych sprawach z obcymi ludźmi.

— Nic o tym nie wiedziałem — wyjąkał Nathan. Tym razem to Jeffrey nie krył zdziwienia.

— Byłem przekonany, że Mallory ci o tym powiedziała. Po raz pierwszy Nathan zobaczył, że oczy teścia błyszczą od łez. Jeffrey był dumny, że córka ukrywała ten sekret tak długo, nawet przed człowiekiem, którego kochała.

Słuchając wyznania Wexlera, Nathan zaczynał rozumieć, na czym polegały problemy Mallory.

— Gdy przyjechałem do Nantucket — ciągnął Jeffrey — stwierdziłem, że nie mam bransoletki. Znacznie później sek-

retarka przyznała się, że ją ukradła, by zasiać niezgodę w moim małżeństwie. Wówczas jednak jeszcze tego nie wiedziałem. Przeraziłem się nie na żarty i nazajutrz rano, kiedy żona zapytała, gdzie bransoletka, powiedziałem, że odłożyłem ją na miejsce, do pudełka z biżuterią. To doprowadziło nas do oskarżenia twojej matki. Sądzę, że moja żona udawała, iż wierzy w tę historię, ale wołała zachować pozory. Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem szepnął:

— Strasznie mi przykro, Nathanie. Postąpiłem wtedy tak podle.

Rzeczywiście, to było podle!

Przez jakiś czas Nathan nie był w stanie wydusić słowa. To wyznanie poraziło go, ale jednocześnie przyniosło ulgę. Matka nie była złodziejką, tylko ofiarą wielkiej niesprawiedliwości. Tymczasem Jeffrey, którego uważał za człowieka uczciwego i nieomylnego, okazał się kłamcą, miał kochanki, był alkoholikiem. Był istotą ludzką, taką jak inni. Jak on. Spojrzał na teścia i uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie czuje do niego urazy. Nawet nie pragnie go osądzać. Nie był to właściwy moment. Spozrzegł na twarzy Wexlera wyraz ulgi, jakby on także od dawna czekał, by móc wszystko wyznać. Od lat każdy z nich ukrywał swój sekret, który tak wiele zepsuł w ich życiu.

Pierwszy ciszę przerwał Jeffrey:

— Wiem, że to nie oczyszcza mnie z winy, ale dyskretnie czuwałem nad tym, aby twoja matka znalazła nowe miejsce pracy, i to ja zapłaciłem wtedy za twoją szkołę.

— Ma pan rację — odrzekł Nathan z zaczerwienionymi oczami — to nie oczyszcza pana z winy.

Jeffrey podszedł do sejfu, otworzył go, wyjął coś stamtąd i podał drżącą ręką Nathanowi.

Była to bransoletka z czterech rzędów pereł, ze srebrnym zameczkiem, wysadzany drobniutkimi brylancikami.

*Jeśli nie jest się gotowym na wszystko,  
to nie jest się gotowym na nic.*

**Paul Auster**

*A beautiful sight, we're happy tonight. Walking in a winter wonderland...*

Nathan zagrał ostatnie akordy znanej piosenki bożonarodzeniowej. Zamknął wieko pianina i spojrzał ze wzruszeniem na córeczkę, która zasnęła na skórzanej kanapie w salonie. Na zewnątrz zapadła już ciemność. Niebo, które jeszcze chwilą wcześniej płonęło czerwienią, różem i pomarańczem, teraz przybrało ciemniejsze barwy. Dorzucił drewna do kominka i poruszył węgle, które zaczynały już przygasać. W pokoju obok znalazł haftowaną kapekę, którą okrył nogi Bonnie. Mieli za sobą spokojne popołudnie. Spędzili je, tylko we dwójkę. Po śniadaniu Lisa Wexler wyszła kupować prezenty świąteczne na cele dobroczynne, a Jeffrey pożyczył od zięcia wóz terenowy i pojechał do Pitsfield, gdzie zamierzał kupić sprzęt wędkarski, spodziewając się ładnej pogody.

Nathan mógł więc nacieszyć się córką. Po śniadaniu Bonnie od razu pobiegła do stajni, by przywitać się ze swoim pięknym kucem rasy Connemara, którego nazwała Spirit. Nathan pomógł jej przygotować go do jazdy, po czym osiodłał dla siebie jednego z koni Wexlerów. Cały ranek jeździli po zalesionych

pagórkach, ciągnących się aż po horyzont wokół posiadłości. W tej scenerii jak z pocztówki ani razu nie pomyślał o śmierci. Poddał się rytmowi końskich kopyt oraz uspokajającemu szmerowi wodospadów i strumieni. Przez te kilka godzin nic więcej dla niego nie istniało. Nic oprócz śmiechu Bonnie, czystego powietrza i pięknego śniegu, który okrywał wszystko dokoła, przydając pejzażowi dziewiczości. Rozpamiętywał te chwile, gdy drzwi salonu otworzyły się i stanęła w nich Lisa Wexler.

— Dobry wieczór, Nathanie — powiedziała, wchodząc do pokoju. Wciąż była piękną kobietą, ze smukłymi nogami, zawsze ubrana z klasą i zachowująca się w każdych okolicznościach z arystokratyczną wyniosłością, której nabywa się przez wiele pokoleń.

— Dobry wieczór, Liso, nie słyszałem, kiedy pani przyjechała.

— Silnik samochodu pracuje bardzo cicho. No tak, jeśli ma się Bentleya...

— Udała wam się przejażdżka? — zapytała, patrząc z czułością na Bonnie.

— Wspaniale.

Ponieważ był w dobrym nastroju, dodał żartobliwym tonem:

— A jak się mają pani biedacy?

Rzuciła na niego krótkie, taksujące spojrzenie i nic nie odpowiedziała.

Lisa Wexler nie lubiła wdawać się w takie prowokacyjne rozmówki.

— Gdzie jest Jeffrey? — zapytała, gasząc światło, by nie obudzić wnuczki.

— Powinien już być. Pojechał do Pitsfield kupić sprzęt wędkarski.

Po pięknej twarzy Lisy przemknął cień.

— To znaczy, że pożyczył od pana samochód?

— Tak. Czy coś się stało?

— Nie... nic — mruknęła, usiłując ukryć zakłopotanie.

Pokręciła się przez chwilę po salonie, po czym usiadła na kanapie, założywszy nogę na nogę, i wzięła książkę, leżącą na małym stoliku. Charakterystyczną dla niej pozą, narzucającą dystans, dała Nathanowi do zrozumienia, że skończyła rozmowę na ten temat. Tym razem Nathanowi to nie przeszkadzało. Wyznanie Jeffreya na temat bransoletki ciążyło mu na duszy. Niewiele było trzeba, by wygarnął Lisie, co o tym sądzi. Żeby czymś się zająć, zaczął oglądać luksusowo oprawione dzieła, stojące w oszklonej bibliotece. Chętnie nalałby sobie kieliszek wina, ale w całym domu nie było ani kropli alkoholu.

Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenie w kierunku teściowej. Lisa Wexler najwyraźniej czymś się denerwowała. W ciągu niecałych pięciu minut kilka razy spojrzała na zegarek.

Niepokoi się o Jeffreya.

Nathan musiał przyznać, że ta nieprzystępna, dumna kobieta, typowy okaz bostońskiej elity, zawsze go fascynowała. Działo się tak zwłaszcza dlatego, że Mallory była całkowitym przeciwieństwem swojej chłodnej surowej matki. Nathan wiedział, że jego żona uwielbia ojca. Zawsze był ciekaw dlaczego. Dopiero po porannej spowiedzi Jeffreya zrozumiał, że Mallory kocha ojca za jego wrażliwość i słabość, których Nathan nigdy u niego nie podejrzewał. Mallory widziała w ojcu „towarzysza broni”, ponieważ oboje prowadzili niemającą końca wojnę — Jeffrey z alkoholizmem, Mallory z depresją. Przy nich Lisa robiła wrażenie góry lodowej, dominującej nad rodziną.

A mimo to teraz dręczył ją niepokój, ponieważ mąż pojechał do Pitsfield. Nathan nie mógł tego zrozumieć, bo przecież Jeffrey nie był człowiekiem, który prosi żonę o pozwolenie na wydanie kilku tysięcy dolarów na najnowocześniejszy sprzęt wędkarski.

Nagle, jakby za sprawą szóstego zmysłu, Lisa zerwała się z kanapy i wyszła na ganek. Zapaliła wszystkie latarnie w alei i otworzyła automatyczny zamek przy bramie.

Wkrótce dał się słyszeć warkot silnika land-rovera. Kiedy wóz wjechał w aleję, Nathan stwierdził, że Jeffrey prowadzi



bardzo niepewnie: skręcał gwałtownie, wjeżdżał na trawniki, niszcząc automatyczny system nawadniania i kępy kwiatów, które nie zdołają odrosnąć na wiosnę. Gdy samochód znalazł się w pełnym świetle, Nathan zobaczył, że jest w wielu miejscach porysowany i że brakuje dekla na przednim kole. Natychmiast domyślił się, że Jeffrey miał wypadek. Silnik zakrztusił się i auto stanęło przy ogrodzeniu trawnika.

— Wiedziałam! — wymknęło się Lisie, która natychmiast pobiegła do męża.

Jeffrey, z trudem wydostawszy się z samochodu, brutalnie odepchnął żonę. Chwiejny krok starego adwokata nie pozostawiał żadnych złudzeń — był w sztok pijany.

— Chce mi się sikać! — krzyknął.

Nathan podszedł do teścia, by wyreńczyć Lisę. Już z daleka czuć było alkohol.

— Pomogę panu, proszę się na mnie oprzeć.

— Odczep się! Nie potrzebuję twojej pomocy... Chcę się tylko wysikać... Wexler rozpiął spodnie i zaczął siusiać na trawnik koło ganku.

Nathan stał zmieszany, czując zarazem wstyd i współczucie dla teścia.

— To się zdarza nie pierwszy raz... — szepnęła Lisa, łapiąc Nathana za ramię.

Zaskoczyła go tak niezwykła u niej oznaka poufałości. Widać było, że szuka u niego wsparcia.

— Co to znaczy?

— Kilka miesięcy temu Jeffrey został zatrzymany za jazdę po pijanemu. Mimo naszych stosunków musiał zapłacić mandat i odebrano mu na rok prawo jazdy. Spisane zostały namiary wszystkich wozów, zarejestrowanych na jego nazwisko.

— To znaczy, że dziś prowadził bez prawa jazdy? Lisa skinęła głową.

— To bardzo poważna sprawa — powiedział Nathan. — Trzeba się upewnić, czy nie wyrządził jakiejś szkody.

Znowu podszedł do Jeffreya.

— Miał pan wypadek, prawda?

— Nie! — wrzasnął Wexler zięciowi w twarz.

— A ja myślę, że tak.

— Nie! — powtórzył adwokat. — Ominąłem go!

— Kogo pan ominął?

Nathan złapał teścia za kołnierz palta.

— Kogo pan wyminął? — powtórzył, potrząsając nim.

— Ten rower... ominąłem go.

Nathan miał złe przeczucia. Jeffrey chciał mu się wyrwać, ale tylko zwałił się na śnieg. Nathan podniósł go i podtrzymując, zaprowadził do domu. Jeffrey musiał się poddać i pozwolił żonie, by zaciągnęła go do sypialni. Po policzkach Lisy płynęły łzy wstydu.

Nathan wrócił do salonu, zabrał płaszcz i wybiegł z pokoju. Lisa złapała go na schodach.

— Dokąd pan jedzie?

— Proszę się nim zająć, Liso, pojedę, żeby przekonać się, czy coś się nie stało.

— Niech pan nikomu o tym nie mówi, Nathanie. Błagam pana, proszę nie mówić nikomu, że widział go pan w tym stanie.

— Sądzę, że powinna pani wezwać policję, a także lekarza. Nie wiemy, co się tak naprawdę wydarzyło.

— Nie mam zamiaru nikogo wzywać! — powiedziała stanowczo Lisa, zamykając za nim drzwi.

W jednej chwili wróciła jej oschłość. Górę wziął instynkt samozachowawczy.

Nathan usadowił się za kierownicą land-rovera, żeby zawrócić. Już miał zapalić silnik, gdy nagle pojawiła się Bonnie.

— Tatusiu, jadę z tobą! — zawołała, otwierając drzwiczki samochodu.

— Nie, kochanie, wracaj do domu! Pomóż babci. Nie zostawiaj jej samej.

— Wolę jechać z tobą.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwiczki.

— Co się stało, tatusiu? — zapytała, przecierając zaspane oczy. Nie spotkała pijanego dziadka. Tym lepiej.

— Porozmawiamy o tym później, dziecinko, a teraz zapnij pas. Nathan wrzucił bieg i ruszył aleją. Jechał do centrum miasta.

— Posłuchaj, kochanie, wyjmij telefon ze schowka, wystukaj numer dziewięćset jedenaście i poproś o połączenie z biurem szeryfa. Bonnie zachwycona, że bierze udział w tej przygodzie, wykonała polecenie bardzo dokładnie. Dumna z siebie, po drugim sygnale podała słuchawkę ojcu.

— Biuro szeryfa w Stockbridge, proszę się przedstawić — powiedział policjant.

— Nazywam się Nathan Del Amico, aktualnie przebywam u moich teściów, Jeffreya i Lisy Wexlerow. Chciałbym się dowiedzieć, czy informowano was o jakimś wypadku w okolicy.

— Tak, powiadomiono nas o wypadku, który miał miejsce na skrzyżowaniu drogi do Lenox i drogi numer sto osiemdziesiąt trzy. Czy był pan może świadkiem?

— Ja... jeszcze nie wiem, dziękuję, do widzenia. Rozłączył się, nie dając policjantowi powiedzieć nic więcej. W pięć minut dotarł do wskazanego miejsca — skrzyżowania

przy wyjeździe z miasta. Były tam już trzy wozy policji z migającymi światłami na dachach. Jeden z policjantów kierował ruchem, by zrobić przejazd dla karetki pogotowia, która nadjechała na sygnale z przeciwnego kierunku. Gdy Nathan znalazł się bliżej, zrozumiał, że stało się coś poważnego. Z powodu tłoku i zamieszania nie mógł się zorientować, co naprawdę się wydarzyło. Nie widać było ani samochodu, który spowodował wypadek, ani ofiary.

— Co się stało, tatusiu? Co się stało? — dopytywała się coraz bardziej zdenerwowana Bonnie.

— Nie wiem, kochanie.

Już zamierzał się zatrzymać, gdy jakiś policjant dał mu znak, by zjechał na bok. Zastosował się do polecenia i zgodnie z tym, czego wymagano w takich okolicznościach, siedział w samochodzie z rękami na kierownicy. Z miejsca, w którym się znajdował, widział ratowników krzątających się przy nieruchomo leżącym ciele, które wyciągnęli z rowu. Był to chłopiec, zapewne w wieku jego córki, ubrany w nieprzemakalną, fosforyzującą kurtkę, by być widocznym dla kierowców samochodów.

O Boże, biedny dzieciak! Jeffrey wpakował się w paskudną kabałę!

— Czy on umarł? — zapytała Bonnie, stając na siedzeniu.

— Mam nadzieję, że nie, kochanie, może tylko stracił przytomność.

Przytul się do mnie, nie patrz tam.

Objął ją. Oparła główkę na jego ramieniu, a on kołysał ją uspokajająco.

Cholera, dlaczego Jeffrey uciekł? Jest adwokatem i dobrze wie, że ucieczka z miejsca wypadku, gdy są ofiary, to przestępstwo.

Nathan wychylił się przez okno. Zobaczył idącego w jego kierunku policjanta. Ambulans miał już zamknięte drzwi i zabierał chłopca do szpitala na ostry dyżur... a może do kostnicy? Boże, spraw, żeby ten dzieciak przeżył! Nathan spojrzał ponownie w kierunku rowu. Obok leżał pogięty rower. Jeden z ratowników wyszedł z rowu, trzymając w ręku rozdarty plecak, z przyczepionym do niego kaskiem, którego chłopiec nie włożył na głowę. Nathan zmrużył oczy. W drugiej ręce mężczyzna trzymał aluminiowy dekiel od jego land-rovera.

Jeśli chłopiec umrze, Jeffrey zostanie oskarżony o zabójstwo. Nathan uświadomił sobie, że zaczyna myśleć jak adwokat. Prowadzenie wozu bez prawa jazdy, jazda po pijanemu,

ucieczka z miejsca wypadku, nieudzielenie pierwszej pomocy rannemu...  
Same obciążające okoliczności.

Wiedział, że w takich wypadkach orzeczona kara może wynosić  
dwadzieścia pięć lat więzienia. Znał nawet taki przypadek, kiedy sędzia  
oskarżył recydywistę o umyślne zabójstwo i skazał go na dożywocie.

Więzenie! Więzenie!

Policjant skierował latarkę na land-rovera. Obszedł wóz dokoła i mimo  
ciemności od razu zauważył zadrapania i brak dekla.

Jeffrey tego nie przetrzyma. Nie przeżyje w celi więcej niż kilka  
miesięcy. Lisa też nie zniesie uwięzienia męża.

A Mallory! Nathan wiedział, że niedługo umrze. Nie będzie go więc przy  
niej, zostanie sama, załamana. Mąż na cmentarzu, ojciec w więzieniu,  
matka zżerana wstydem.

To będzie koniec, koniec Wexlerów.

— Tatusiu, to twoja butelka? — Bonnie machała opróżnioną w trzech  
czwartych butelką whisky, którą znalazła pod fotelem pasażera.

Jeszcze tego brakowało.

— Zostaw to, dziecinko.

Policjant dał mu znak latarką, by opuścił szybę. Nathan wolno wykonał  
polecenie.

Do wnętrza samochodu wdarło się lodowate wieczorne powietrze.

Nathan pomyślał o Mallory. Czekają ich trudne godziny. Wziął głęboki  
oddech.

— To ja... to ja potrafiłem to dziecko.

*Można zabezpieczyć się przed wszystkimi wypadkami,  
ale wobec śmierci my,  
ludzie, jesteśmy całkiem bezbronni.*

## **Epikur**

*Szpital w Pitsfield, ostry dyżur, godzina 20.06*

— Claire, jest pani potrzebna!

Claire Giuliani, młoda lekarka, internistka, skończyła przed kilkoma minutami dyżur, gdy została wezwana przez przełożoną pielęgniarek. Lekarz, który powinien ją zastąpić, jeszcze się nie pojawił, a do szpitala wieziono ciężko rannego. W ciągu dziesięciu sekund Claire zdjęła wełniany beret i płaszcz, włożyła biały kitel, który zdążyła już schować do metalowej szafki.

Musi szybko się skoncentrować. Dopiero od miesiąca była samodzielnym lekarzem i w dalszym ciągu odczuwała lęk, że nie stanie na wysokości zadania. Prawdę mówiąc, ten pierwszy miesiąc nie był najlepszy. Lekarz sprawujący nad nią kontrolę wytknął jej bezlitośnie, w obecności całego personelu, wszystkie niedociągnięcia. Claire bardzo się tym przejęła. Nie jest łatwo zdobyć uznanie, gdy ma się zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Wycie syreny ambulansu, gdy wjeżdżał na parking, zmroziło jej krew w żyłach. Tego wieczoru będzie zupełnie sama i musi sobie poradzić. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i wjechały przez nie nosze na kółkach, popychane przez pielęgniarzy z pogotowia ratunkowego. Claire głęboko odetchnęła i przystąpiła do działania.

— Co my tu mamy, Armando? — zapytała pierwszego pielęgniarza.

— Siedmioletni chłopiec potrącony przez samochód. Od dwudziestu minut nieprzytomny. Stłuczenia, złamania miednicy, żeber i kości piszczelowej. Ciśnienie spada, puls sto dziesięć, saturacja prawidłowa. Brak danych o przebytych chorobach.

Claire nachyliła się nad chłopcem. Pielęgniarze już go zaintubowali i założyli dożycie w obawie przed jeszcze większym spadkiem ciśnienia. Skontrolowała oddech, osłuchując płuca.

W porządku, nie ma krwawienia do opłucnej. Następnie obmacała jego brzuch. Nie ma pęknięcia śledziony.

— Dobra, gazometria, krzyżówka i krzepliwość. Nie denerwuj się, Claire.

— Trzeba także zrobić tomografię czaszki, rentgen klatki piersiowej, miednicy, kręgosłupa szyjnego, stawów barkowych...

O czymś zapomniałaś.

— ...i kości piszczelowych. No, do roboty! — krzyknęła. — Podnosimy na trzy...

— ...trzech! Mówię ci, że było ich trzech! Powaliłem ich jednym uderzeniem pięści. Nie powinni byli mnie zaczepiać!

Nathan starał się nie słuchać pijaka, który wszczął bijatykę w supermarkecie i znalazł się razem z nim w tej samej celi w komisariacie policji. Minał kwadrans, odkąd zamknięto za

nim kratę, a on wciąż nie mógł pogodzić się z tym, że czeka go noc w więzieniu. W jednej sekundzie przestał być szanowanym adwokatem i stał się zwykłym draniem, który potrafił dziecko i uciekł z miejsca wypadku. Nie mógł zapomnieć widoku rannego chłopca. Wciąż widział kruche, nieruchome ciało w odblaskowej nieprzemakalnej kurteczce. Pytał o stan chłopca, ale nikt nie chciał mu nic powiedzieć. Z pijakami się nie rozmawia.

Dowiedział się tylko jednego, że chłopiec nazywał się Ben Greenfield. Kevin, Candice, Ben...

Od jakiegoś czasu śmierć szła za nim krok w krok. Czyhała na niego na każdym rogu ulicy i w oczekiwaniu, aż przyjdzie jego kolej, porywała niewinne ofiary. Garrett miał rację: śmierć jest obecna wszędzie. Teraz już poznał tę straszną prawdę, którą dotąd ignorował, a która zburzyła jego pogląd na świat.

Boże, jak tu zimno. A ten kretyn nie przestaje gadać!

Zaczął zabijać ręce dla rozgrzewki. Był zmęczony, przybity, ale wiedział, że nie uda mu się zasnąć.

Kevin, Candice, Ben... Wizja ich poranionych ciał zrodziła w nim uczucie paniki i bezsilności. Wyciągnął się na wąskiej drewnianej ławce i podłożył ręce pod głowę. Wydarzenia ostatnich dwóch godzin przepływały mu przed oczami niczym film.

W momencie gdy policjant kazał mu opuścić szybę wozu, czas nagle stanął, a on gorączkowo usiłował pozbierać myśli. W jednej sekundzie pojął, że od niego, syna sprzątaczkii, zależy los tej szanowanej rodziny. Teraz to on, karierowicz, parweniusz, nigdy przez tę właśnie rodzinę niezaakceptowany, może ich wszystkich ocalić. Od uratowania honoru Wexlerów zależy przyszłość dwóch najważniejszych osób w jego życiu. Liczy się tylko miłość do Mallory i Bonnie.

Muszę myśleć o Mallory, bo jeśli ją stracę, stracę wszystko.

Kazano mu wyjść z samochodu i nie robić żadnych gwałtownych ruchów. Potem przeszukano go i założono kajdanki.



Wiedział, że ten obraz pozostanie na zawsze w pamięci Bonnie. Co pomyślała? Co tak naprawdę wie o pracy ojca? Niewiele. Tłumaczył jej, że jest adwokatem, występującym w imieniu przedsiębiorstw, ale z pewnością nic z tego nie rozumiała. Natomiast doskonale wiedziała, czym zajmuje się policja. Zadaniem policji jest łapanie przestępców. A policja właśnie aresztowała jej ojca.

Sytuację pogarszał fakt, że policja znalazła butelkę whisky, dobrze napoczętą przez jego teścia. W stanie Massachusetts nie wolno było mieć w samochodzie otwartej butelki z alkoholem. Nathan doskonale wiedział, co za to grozi. Dla policjanta, który go zatrzymał, butelka oznaczała niedwuznacznie prowadzenie wozu po pijanemu. Nathan zdecydowanie temu zaprzeczył. Gotów był nawet poddać się testowi na zawartość alkoholu we krwi, żeby dowieść, że mówi prawdę. Zażądał, by zrobiono mu próbę alkomatem. Oczywiście nie wykryto ani promila alkoholu. Policjanci byli tak rozczarowani, że wykonali test trzy razy. Aresztowano go więc pod zarzutem ucieczki z miejsca przestępstwa.

Sprawa była bardzo poważna. To że należał do elity prawników, nie zwalniało go od odpowiedzialności karnej. Spowodował wypadek, w którym ktoś został ciężko ranny i groziła mu za to kara do dziesięciu lat więzienia. Nie mówiąc już o tym, że sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej, jeśli Ben umrze.

— Cholera! Zimno, że tyłek można sobie odmrozić!

Nathan westchnął. Starał się nie zwracać uwagi na tego typka. Musi być silny. Jutro sędzia wyznaczy astronomicznie wysoką kaucję i zostanie zwolniony. Jeśli dojdzie do procesu, potrwa to jeszcze parę miesięcy, a do tego czasu jego nie będzie już na tym świecie. Wtedy być może stanie przed innym sędzią, surowszym niż sędzia sądu stanu Massachusetts... W tym samym momencie, ponad sto kilometrów od tego miejsca, Abby Coopers zatrzymała swoją małą toyotę na

parkingu przed sklepem na drodze do Norwalk. Na masce wozu rozłożyła mapę, szukając najlepszego dojazdu do Stockbridge.

— A psik! A psik!

Kichnęła kilka razy. Męczył ją katar i straszliwy ból głowy. Na domiar złego znowu zaczął padać śnieg, zalepiając szkła jej okularów. Coś okropnego! Nieraz już próbowała nosić soczewki kontaktowe, ale nie mogła się do nich przyzwycząić.

Po raz setny powtórzyła w myślach treść rozmowy, którą odbyła z szefem. Nie mogła uwierzyć w całą tę historię! Nathan w więzieniu! Zanim odprowadzono go do celi, miał prawo do jednego telefonu. Zadzwoił więc do swojego biura. Chciał rozmawiać z Jordanem, a ponieważ go nie było, Abby odebrała telefon. Wyczuła, że Nathan jest zrozpaczony. Bardzo się tym przejęła i postanowiła, że natychmiast do niego pojedzie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby uciec i zostawić dziecko na drodze bez pomocy.

No tak, ale czy znamy naprawdę innych ludzi? Może zbyt go idealizuje? To prawda, że świetnie się rozumieją. Tworzą wspaniałą zespół. Miał wprawdzie reputację karierowicza, cynika gotowego na każdy kompromis, ona jednak wiedziała, że jest wrażliwy i nie zawsze taki pewny siebie. Czasami, kiedy była ładna pogoda, w południe schodzili na dół, by zjeść kanapki na ławce w parku. W takich chwilach pojawiała się między nimi jakaś szczególna więź. Uważała, że jest w nim coś wzruszającego, niemal dziecinnego.

Kiedy się rozwiódł, przez jakiś czas miała nadzieję, że zbliży się do niej, ale nic takiego nie nastąpiło. Domyślała się, że Nathan nadal bardzo kocha Mallory. Wiele razy widziała ich razem, gdy jeszcze pracowali w San Diego. Tworzyli naprawdę niezwykłą parę.

*Szpital w Pitsfield, poczekalnia, godzina 1.24*

— Państwo Greenfield?

Claire Giuliani niepewnie szła przez poczekalnię. Zawsze bała się takich momentów.

— Tak.

Rodzice chłopca, dręczeni niepokojem od kilku godzin, patrzyli wyczekująco na młodą lekarkę. Oczy matki błyszczały od łez. We wzroku ojca widać było gniew.

— Nazywam się Giuliani. To ja zajęłam się Benem, kiedy go tu przywieziono...

— Boże, jak on się czuje? — przerwała jej matka. — Czy możemy go zobaczyć?

— Państwa syn ma liczne złamania — zaczęła wyjaśniać Claire. — Jego stan jest teraz stabilny, ale doznał urazu czaszki, który pociągnął za sobą ciężkie wstrząśnienie mózgu z krwiakiem podtwardówkowym.

— Krwiak podtwardówkowy?

— To jest... obrzęk, który uciska mózg. Robimy, co możemy, żeby obniżyć ciśnienie śródczaszkowe, i zapewniam panią, że...

— Co to wszystko znaczy? — zapytał zdenerwowany ojciec.

— To znaczy, że nie możemy teraz powiedzieć, kiedy państwa syn wyjdzie ze śpiączki — wyjaśniła spokojnie Claire. — Może za kilka godzin, a może...

— Na co czekacie? Róbcie coś! Czy to znaczy, że do końca życia będzie jak roślina?

— Trzeba mieć nadzieję, proszę pana — powiedziała Claire, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Ale on odtrącił ją i kilka razy uderzył z wściekłością w dystrybutor napojów.

— Zabiję go! Jeśli Ben się nie obudzi, zabiję tego łotra adwokata!

*19 grudnia*

— Nie ma mowy, żebyś wziął na siebie moją winę! Jeffrey Wexler siedział z zięciem w zajeździe dla kierowców przy drodze międzystanowej nr 90. Zamówili dużo kawy. Wiszący nad ich stolikiem zegar z logo Coca-Coli wskazywał dziesiątą rano. W sali panowała ożywiona atmosfera — lokalna stacja radiowa podała właśnie ostrzeżenie o możliwości gołoledzi, a głośne komentarze kierowców ciężarówek niemal zagłuszały nieustający hałas przejeżdżających szosą samochodów.

Nathan został zwolniony pół godziny temu przez zastępcę szeryfa, faceta o nazwisku Tommy Diluca. O północy adwokat poprosił go o pozwolenie na pójście do toalety, jednak zastępca szeryfa nie tylko odmówił spełnienia jego prośby, lecz jeszcze obrzucił go dodatkowo porcją wyzwisk i poinformował ze szczegółami o tym, co zrobią mu więźniowie zakładu karnego w Lowell, gdy zamkną go tam na dwadzieścia lat. Jeffrey zapłacił całą kaucję, wynoszącą pięćdziesiąt tysięcy dolarów, podczas gdy Abby zajęła się załatwieniem sądowych formalności. Nathan natychmiast odzyskał rzeczy osobiste. Miał tylko jedno pragnienie: czym prędzej opuścić to miejsce.

— Do szybkiego zobaczenia — pożegnał go zastępca szeryfa ze złośliwym uśmiechem.

Nathanowi z trudem udało się nad sobą zapanować. Nic nie odpowiedział. Wyszedł z podniesioną głową, choć był cały obolały po bezsennej nocy, spędzonej na twardej drewnianej pryczy. Gdy popychając oszklone drzwi, ostatnią zaporę przed wolnością, zobaczył w szybie swoje odbicie, pomyślał, że wygląda, jakby w ciągu tej jednej nocy postarzał się o kilka lat.

Jeffrey czekał na niego w towarzystwie swojego szofera. Gładko ogolony, w eleganckim kaszmirowym płaszczu, robił bardzo solidne wrażenie. Aż trudno było sobie wyobrazić, że ten sam człowiek kilka godzin temu był pijany, choć nerwowe zaciąganie się cygarem zdradzało niepokój.

Jeffrey, który nigdy nie był skory do czułych gestów, ograniczył się do pocieszającego klepięcia Nathana po ramieniu, gdy ten sadził się w samochodzie. Nathan, gdy tylko odzyskał swój telefon komórkowy, podjął próbę połączenia się z Mallory w Brazylii, ale po kilku sygnałach połączenie zostało przerwane. Jeffrey również bezskutecznie próbował się do niej dodzwonić. Szofer Wexlera zawiózł ich do restauracji przy autostradzie. Wiedzieli, że muszą czym prędzej poważnie porozmawiać. — Nie ma mowy, żebyś wziął na siebie moją winę! — powtórzył Jeffrey, zaciskając pięść na fornirowanym stoliku.

— Zapewniam pana, że tak będzie lepiej.

— Posłuchaj, może jestem alkoholikiem, ale nie tchórzem. Nie chcę uchylać się od odpowiedzialności.

Nathan nie zamierzał się z nim zgadzać.

— W tej chwili musi pan przede wszystkim myśleć o rodzinie. I proszę mi nie przeszkadzać.

— O nic cię nie prosiłem. To, co zrobiłeś, jest głupie. Wiesz równie dobrze jak ja, że bardzo wiele ryzykujesz.

— Nie więcej niż pan. Czy naprawdę chciałby pan ostatnie lata życia spędzić w więzieniu?

— Nie zgrywaj bohatera, Nathanie. Bądźmy realistami: ja już przeżyłem swoje życie, podczas gdy ty masz córkę, która cię potrzebuje. Poza tym... Wiesz przecież, że z Mallory nie wszystko jest skończone... Bądź rozsądny!

— One potrzebują pana — odrzekł Nathan, unikając wzroku teścia. Wexler ściągnął brwi.

— Nie rozumiem.

Nathan westchnął. Musi powiedzieć teściowi część prawdy. Nie może postąpić inaczej, choć oczywiście nie zamierza wspominać o Posłańcach. Po kilku sekundach wahania powiedział:

— Proszę mnie posłuchać... ja niedługo umrę.

— Co ty opowiadasz?

— Jestem chory.  
— Kpisz ze mnie?  
— Nie, mówię poważnie.  
— Co ci jest? Masz raka? Nathan skinął głową.  
Jeffrey Wexler był zaszokowany.  
— Ale... ale... czy radziłeś się specjalistów? — zapytał, zacinając się. —  
Wiesz przecież, że znam najlepszych lekarzy w MGH8...  
— Nie ma takiej potrzeby, jestem skazany.  
— Przecież nie skończyłeś nawet czterdziestki! Nie umiera się w wieku  
czterdziestu lat! — zawołał Wexler, wywołując zainteresowanie kilku  
klientów przy sąsiednich stolikach.  
— Jestem skazany — powtórzył Nathan ze smutkiem.  
— Nie wyglądasz na umierającego — upierał się Jeffrey, który nie mógł  
pogodzić się z tą myślą.  
— Tak to już jest.  
— A niech to cholera!  
Stary adwokat zamrugnął szybko, a po jego policzku spłynęła łza, czego  
nawet nie próbował ukryć.  
— Ile zostało ci czasu?  
— Niewiele. Kilka miesięcy... może mniej.  
— Dobry Boże — szepnął Jeffrey, nie wiedząc, co jeszcze mógłby  
powiedzieć.  
— Niech pan nie mówi o tym nikomu — poprosił z naciskiem Nathan. —  
Rozumie pan, nikomu. Mallory o niczym nie wie i chcę powiadomić ją o  
tym sam.  
— Oczywiście — szepnął Jeffrey.  
— Proszę się nią zająć. Ona pana uwielbia. Potrzebuje pana. Dlaczego nie  
widuje się pan z nią częściej?  
— Bo mi wstyd.  
— Wstyd czego?

---

8 MGH — Massachusetts General Hospital, słynny szpital w Bostonie.

— Wstydzę się mojej ułomności, tego, że nie potrafię przestać pić...

— Każdy ma jakieś słabości.

Zdecydowanie wszystko się na tym świecie poprzestawiało. Nathan ma niedługo umrzeć i to on pociesza teścia! Jeffrey nie wiedział, jak wyrazić swoje współczucie. Dałby naprawdę wiele, żeby ocalić życie zięcia.

Wróciły wspomnienia: zobaczył dziesięcioletniego Nathana, gdy szli razem na ryby lub kiedy brał go do którejś z cukierek i fundował ciastko z syropem klonowym. W tamtym czasie traktował go niemal jak syna i zamierzał pomóc mu w studiach. Potem mogliby razem pracować, założyć kancelarię prawniczą (Wexler&Del Amico), połączyć talenty, by walczyć o słuszne sprawy: rehabilitację ludzi, obronę słabych... Wszystko zepsuło jednak jego pijaństwo i sprawa bransoletki. Alkohol i pieniądze, przekłete pieniądze, które demoralizują ludzi, odbierają sens życiu, a przecież wszystko i tak kończy się śmiercią.

Poczuł zimny dreszcz, rozchodzący się od czaszki przez plecy, ramiona i brzuch. Poprzedniego wieczoru nawet nie zdawał sobie sprawy, że przejechał to dziecko. Jak to możliwe? Jak można upaść tak nisko?

Ze sto razy obiecywał sobie, przysięgał, że już nigdy więcej nie weźmie do ust kropli alkoholu.

Pomóż mi, Panie.

Modlił się w duchu, choć dobrze wiedział, że Bóg już dawno zostawił go własnemu losowi.

— Pozwól mi być twoim obrońcą — zaproponował nieoczekiwanie. —

Pozwól mi przynajmniej na to, bym cię bronił.

Czuł, że to jedyna rzecz, którą może jeszcze dobrze robić. Nathan kiwnął głową na znak zgody.

— Wyciągnę cię z tego — obiecał Jeffrey z błyskiem w oku. — To paskudna sprawa, ale postaram się doprowadzić do ugody z prokuratorem: powiedzmy osiem miesięcy w zawieszeniu i sto godzin pracy społecznej. Uda mi się, jestem przecież najlepszy...

Nathan upił łyk kawy, po czym powiedział z uśmiechem:

— Najlepszy po mnie.

Jakby pieczętując to porozumienie, przez chmury przebił się promyk słońca. Obaj prawnicy odwrócili się do okna, by nacieszyć się jego ciepłem. W tym momencie na parking wjechała Abby, z którą umówili się tu na spotkanie. Na prośbę Jeffreya wzięła land-rovera. Ponieważ Nathan nie był pijany w chwili wypadku, nie skonfiskowano mu wozu, miał więc prawo prowadzić samochód aż do rozprawy.

Nathan pomachał do niej przez szybę.

— Pojedzie z tobą — powiedział Jeffrey, wstając z krzesła — a ja zajmę się odprowadzeniem jej wozu.

— Zabieram ze sobą Bonnie — oznajmił stanowczo Nathan.

— Słuchaj... Lisa zabrała ją na dwa dni do Nantucket. Ona...

— Co takiego? Zabieracie mi córkę w takim momencie!

— Nikt ci jej nie zabiera, Nathanie. Gdy tylko wrócą, sam odwiozę ją do Nowego Jorku. Daję ci na to moje słowo. Będiesz miał trochę czasu, żeby dojść do siebie.

— Ależ ja nie mam czasu!

— Odeślę ci ją pojutrze, obiecuję. Spróbuj trpchę odpocząć. Nathan poddał się.

— No dobrze. — A po chwili milczenia dodał: — Proszę zadzwonić do mnie, gdy tylko będzie pan miał wiadomości od Mallory.

Poszedł na parking do Abby, która wydawała się nieco zmieszana.

— Cieszę się, że cię widzę, Abby.

Nathan zbliżył się, żeby ją objąć, ale ona najwyraźniej nie miała na to ochoty.

— W sprawie kaucji wszystko zostało załatwione — oznajmiła oficjalnym tonem, jakby rozmawiała z którymś z klientów.

— Czy ma pani jakieś wieści o chłopcu? — zapytali jednocześnie obaj adwokaci, wiedząc, iż wraca właśnie ze szpitala.

— Nadal jest w śpiączce. Lekarze są powściągliwi w przewidywaniach. W każdym razie, gdybym była na pana miejscu,



nie pokazywałabym się tam — uprzedziła Nathana. — Rodzice są bardzo zdenerwowani...

Jeffrey zwiesił głowę. Nathan milczał. Odprowadził Jeffreya do samochodu i mocno uścisnął mu rękę. Czy zobaczy jeszcze kiedyś teścia?

— Ja będę prowadziła, jeśli nie robi to panu różnicy.

— Słuchaj, Abby, nie bądź śmieszna...

— Ja prowadzę! — powtórzyła Abby tak zdecydowanie, że Nathan wołał się jej nie sprzeciwiać.

Już zamierzał zająć miejsce dla pasażera, kiedy obok nich zatrzymał się stary chrysler.

Wyskoczył z niego dobrze zbudowany mężczyzna i zaczął krzyczeć do Nathana:

— Morderca! Powinni pana zamknąć i nigdy nie wypuścić!

— To ojciec tego chłopca — uprzedziła go zaniepokojona Abby.

Nathan podniósł głos:

— Proszę mnie wysłuchać, panie Greenfield, to był wypadek...

Rozumiem pański ból. Zapewniam pana, że pański syn będzie miał najlepszą opiekę. Może pan wystąpić o duże odszkodowanie.

Greenfield gotował się z gniewu. Nathan chciał go uspokoić, ale wiedział, jak by się czuł, gdyby jakiś drań przejechał jego Bonnie.

— Nie chcemy pańskich zasranych pieniędzy, chcemy sprawiedliwości.

Zostawił pan umierające dziecko w rowie, jest pan łotrem! Jest pan...

Nathan nie zdołał uchylić się przed strasznym ciosem, który powalił go na ziemię. Mężczyzna pochylił się nad nim. Wyjął z kieszeni zdjęcie syna i machał nim przed oczami Nathana.

— Mam nadzieję, że ta twarz będzie prześladować pana przez całe życie!

Nathan podniósł się z trudem, trzymając się za nos. Na śnieg kapały duże krople krwi, tworząc na nim czerwoną plamę.

*Sądzę, że wiesz, podobnie jak ja, na czym polega problem...*

### **komputer HAL w filmie**

### ***Odyseja kosmiczna 2001 Stanleya Kubricka***

— Niech pani przestanie tak na mnie patrzeć, Abby. Jechali już pół godziny i nie zamienili ani słowa.

— A więc to prawda? — zapytała sekretarka, wymijając ciężarówkę.

— Co takiego?

— Naprawdę zostawił pan w rowie umierające dziecko? Nathan westchnął.

— Nie zostawiłem go. Wyjaśniałem już pani, że wróciłem do teściów, by wezwać pomoc.

Abby nie przekonał ten argument.

— Przecież miał pan przy sobie komórkę!

— Zapomniałem o niej — parsknął ze złością Nathan. Abby pokręciła głową z powątpiewaniem.

— Przykro mi, ale trudno w to uwierzyć.

— A niby dlaczego?

— Oglądałam miejsce wypadku. W pobliżu stoi dużo domów, z których mógł pan zadzwonić.

— Spanikowałem... myślałem, że ranczo jest bliżej... Abby dobiła go jeszcze słowami:

— Gdyby wezwał pan pomoc wcześniej, ten chłopiec miałby

może więcej szans, żeby z tego wyjść. Przecież tu chodzi o życie dziecka!

— Wiem o tym, Abby.

Ona zaś dodała cicho, jakby mówiąc sama do siebie:

— Boże, ten chłopiec jest w wieku mojego syna.

— Nie wiedziałem, że ma pani syna — powiedział zaskoczony Nathan.

— Opiekuje się nim ktoś inny.

— Nie wiedziałem — powtórzył.

W jego głosie słychać było prawdziwe zmieszanie.

— No widzi pan, można z kimś pracować przez wiele lat

i nic nie wiedzieć o jego życiu osobistym — odrzekła tonem wymówki.

— Takie to już czasy, przede wszystkim liczy się biznes...

Odczekała chwilę, a potem dorzuciła:

— Mimo to zawsze pana podziwiałam. Pojechałam za panem bez wahania z San Diego do Nowego Jorku, bo wydawał mi się pan inny od tych wszystkich *golden boys*<sup>9</sup>. Myślałam, że jeśli kiedyś będę miała jakiś problem, pan mi pomoże...

— Idealizowała mnie pani, Abby.

— Proszę mi dać skończyć! Krótko mówiąc, w głębi duszy uważałam pana za człowieka dobrego, uczciwego, z zasadami...

Znowu wyminęła ciężarówkę, po czym zjechawszy na prawy pas, mówiła dalej:

— Przykro mi to mówić, ale wczoraj straciłam złudzenia. Straciłam to, co dla mnie najważniejsze.

— Co takiego?

— Dobrze pan wie, zaufanie.

— Dlaczego?

Na moment przestała patrzeć na drogę i odwróciła się do niego.

— Ponieważ nie mogę ufać człowiekowi, który zostawił na drodze umierające dziecko.

---

<sup>9</sup>*Golden boys* (ang.) — złoci chłopcy.

Nathan milczał. Abby nigdy tak do niego nie mówiła. Przez krótką chwilę miał ochotę nacisnąć hamulec i wygarnąć jej wszystko: o Posłańcach, o bliskiej śmierci, o tym, że skłamał, by chronić żonę i córkę...

Do samego Manhattanu nie odezwali się już ani słowem. Żeby wszystko się udało, nikt nie może o niczym wiedzieć.

Nikt oprócz Bonnie i Mai lory.

— Panie Del Amico, proszę o kilka słów dla Trial TV!

Adwokat odsunął gwałtownie mikrofon dziennikarza. Stojący za nim kamerzysta usiłował zrobić mu kilka zdjęć. Nathan znał ich — pracowali dla kanału telewizyjnego, specjalizującego się w relacjach z rozpraw sądowych i robieniu z nich sensacji.

Cholera, przecież nie jestem O. J. Simpson. Przepuścił Abby, po czym wszedł do biurowca na Park Avenue.

Na widok bizantyjskiej mozaiki w holu odczuł pewną ulgę. Abby natychmiast skierowała się do jego biura, podczas gdy on wjechał na trzydzieste piętro, gdzie znajdowała się sala sportowa. Był tak zmęczony, pozbawiony energii, przybity, że przez pół godziny stał pod gorącym prysznicem. Stopniowo odzyskiwał siły, woda działała na niego ożywczo, jakby był rośliną. Do gabinetu wszedł czysty i ogolony. Abby czekała na niego z nieprzeniknioną miną. Przygotowała mu podwójną kawę i kilka ciasteczek. Otworzył szafę w ścianie i wyjął nową koszulę jeszcze w plastikowej torebce. Włożył ją.

Usiadł w skórzanym fotelu, włączył komputer i przysunął do siebie kilka dokumentów leżących na stole. Poczul się znacznie lepiej, znalazłszy się znowu w swoim gabinecie, w którym spędził tyle godzin i odniósł tyle zwycięstw. Lubił ten pokój. Lubił swoją pracę, cały ten luksus, dający mu poczucie, że ma władzę.

Ponownie spróbował połączyć się z Mallory. Bez rezultatu. Wszedł więc na stronę „National Lawyer”. W tym środowisku wieści rozchodziły się bardzo szybko. Skoro na miejscu wypadku znaleźli się ci dwaj dziennikarze, to na pewno ukazały się już informacje na jego temat. Nie musiał długo szukać, żeby trafić na to, czego się spodziewał. Kiedy kliknął na rubrykę „wiadomości dnia”, na pierwszym miejscu zobaczył następującą informację:

**Znany adwokat z Park Avenue spowodował poważny wypadek drogowy.**

**Nathan Del Amico, jeden z najbardziej znanych prawników kancelarii Marble&March, został ostatniej nocy zatrzymany pod zarzutem ucieczki po potrąceniu chłopca jadącego na rowerze na bocznej drodze do Stockbridge (MA) . Ofiarę wypadku, chłopca w wieku siedmiu lat, natychmiast przewieziono do szpitala w Pitts-field. Lekarze oceniają jego stan jako krytyczny. obrońcą adwokata, zwolnionego rano po zapłaceniu kaucji w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ma być Jeffrey Wexler, jeden z czołowych przedstawicieli bostońskiej pa-lestry.**

**Jakiegokolwiek będą następstwa tego wydarzenia, nie ulega wątpliwości, że będzie ono końcem kariery człowieka, któremu ludzie z jego branży nadali przydomek „Amadeusz” z powodu zręczności, jaką się wykazał w wielu delikatnych sprawach.**

**W piątek 20 grudnia wspólnik kancelarii Marble&March, Ashley Jordan, powiedział, że ta sprawa „dotyczy tylko i wyłącznie Nathana Del Amico i nie ma żadnego związku z działalnością instytucji, która go zatrudnia”.**

**Jeśli Del Amico zostanie uznany za winnego, grozi mu kara ośmiu lat więzienia.**

Dziękuję za wsparcie, Ashley.

Nathan nie mógł oderwać oczu od ekranu. „National Lawyer” był gazetą opiniotwórczą w środowisku adwokackim.

Z gorzkim uśmiechem przeczytał jeszcze raz słowa: „koniec kariery”.

Tak, to prawda.

W dodatku nie będzie to odejście w chwale. Poświęcił całe lata, by stać się gwiazdą, zawsze wyszukując sprawy, które mogły przynieść rozgłos. A teraz cała ta piękna budowla runie w ciągu zaledwie kilku godzin.

Jego rozmyślania przerwała Abby:

— Przyszedł dziwny faks — powiedziała, wsuwając głowę przez drzwi.

— Nie wiem, czy tu zostanę, Abby. Proszę pokazać to panu Jordanowi.

— Sądzę jednak, że to pana zainteresuje — powiedziała tajemniczo.

Z początku Nathan niewiele widział. Było to niezbyt wyraźne > czarno-białe zdjęcie przedstawiające samochód terenowy, stojący przy dystrybutorze na stacji benzynowej. Część zdjęcia została powiększona tak, aby można było odczytać numer rejestracyjny.

Nie ulegało wątpliwości, że to jego land-rover!

Wóz nie miał jeszcze zarysowań, dekiel był na swoim miejscu...

Zdjęcie zrobiono przed wypadkiem.

Zamiast opisu zdjęcia podano adres strony internetowej, należącej do jakiejś publicznej instytucji. Można było się domyślać, że dalsze informacje znajdują się właśnie tam.

Nathan usiadł przy komputerze, włączył przeglądarkę inter-

netową, by odnaleźć wskazany adres. Jego manipulacje nie na wiele się zdały, klikał kilka razy, lecz strona się nie otworzyła.

Co to wszystko znaczy?

Wystarczyło kilka minut, by znowu zaczął się denerwować.

Poprosił Abby, żeby sprawdziła, skąd wysłano faks. Sekretarka w minutę ustaliła miejsce jego nadania.

— To punkt usług kserograficznych i faksowych w Pitsfield — poinformowała.

No tak, inaczej mówiąc, jest to miejsce, skąd każdy może anonimowo wysyłać fakсы.

Nathan jeszcze raz wystukał podany adres, uważając, by się nie pomylić. Ekran nadal był pusty.

Ponownie przyjrzał się zdjęciu. Co chciano mu zasugerować? Kto za tym stoi?

Kiedy spojrział znowu na ekran komputera, widniał na nim komunikat mówiący, że wystąpił błąd. Nathan nacisnął ikonę „odśwież” — znowu to samo. Kliknął jeszcze raz na tę samą ikonę, a wówczas otworzyło się następne okno z odtwarzaczem multimedialnym, który wyemitował krótki filmik. Dzięki szerokopasmowemu połączeniu Nathan uzyskał obraz wysokiej jakości.

Ujrzał kilka kolejnych zdjęć zrobionych przez kamerę na stacji obsługi. Było to to samo miejsce, uwidocznione na fotografii przesłanej faksem, ale tym razem widać było Jeffreya. Wexler schylony nad land-roverem tankujący benzynę. Nathan nie od razu zrozumiał intencje osoby, która przesyłała mu te zdjęcia. Dopiero po chwili zobaczył datę i godzinę, widniejące w prawym dolnym rogu: 19 grudnia, godzina 19.14.

W policyjnym raporcie przeczytał, że wypadek zdarzył się prawdopodobnie o godzinie 19.20. W pobliżu Stockbridge nie ma wielu stacji benzynowych. Widoczne na ekranie numery dystrybutora oraz logo Texaco pozwalały bardzo łatwo ziden-

tyfikować to miejsce. Niewątpliwie chodziło o stację benzynową w Neumkeag. Bardzo niedaleko od niej został potrącony Ben Greenfield. Jeśli Jeffrey tankował o godzinie 19.14, potwierdzało to ponad wszelką wątpliwość jego winę.

Nagle obraz przeskoczył. Ucięto moment, gdy Jeffrey poszedł zapłacić. Potem widać było, jak wraca chwiejnym krokiem do wozu i solidnie łyknąwszy z butelki, siada za kierownicą.

— Ależ te zdjęcia całkowicie pana uniewinniają! — wykrzyknęła Abby, która bez wiedzy szefa stanęła za nim i obejrzała film.

Nathan tylko kiwnął głową. Odwrócił się do sekretarki i zobaczył jej błyszczące podnieceniem oczy.

Film kończył się tym, że samochód odjechał. Nathan spróbował puścić go jeszcze raz, ale bez rezultatu. Przeszukał pliki tymczasowe, ale nie znalazł filmu.

— Cholera! — zaklął. — Od razu go skasowałem!

— Ale kto?

— Kto? Agent tej lichej stacyjki benzynowej. Bardzo zadowolony, że poznał prawdę.

— Ale dlaczego się nie ujawnia?

— Bo jest ostrożny. Chce, żebyśmy wiedzieli, że istnieje, ale nie chce, byśmy zdobyli dowody przeciw niemu.

— Dowody na co? — zapytała naiwnie Abby.

— Dowody na to, że mnie szantażuje. Abby usiadła obok szefa.

— Powinien się pan dobrze zastanowić. Nie wiem wprawdzie, dlaczego pan to robi, ale wiem, że nie jest to dobry pomysł. Jeszcze może pan się wycofać. Nie powinien pan poświęcać kariery, żeby chronić teścia!

— Ja nie chronię Jeffreya, ale moją żonę i córkę.

— Nie ochroni ich pan, biorąc na siebie jego winę — powiedziała sekretarka, podsuwając mu pod nos artykuł w „National Lawyer”. — W kularach już mówią o panu w czasie



przeszłym. Jeśli pan nie zareaguje, będzie pan spalony w zawodzie.  
Przecież to jasne!

Nathan nie odpowiedział od razu. Zachwiał się nieco w swoim przekonaniu. Abby miała rację. Ten nieoczekiwany film dawał mu szansę wycofania się. Czy nie zrobił wystarczająco dużo, żeby pomóc teściowi? Jeśli będzie brnął w to dalej, ściągnie na siebie ogromne kłopoty. Nadszedł chyba czas, żeby wrócić na ziemię i odzyskać dobre imię. W tym momencie z pokoju Abby dobiegł cichy szum faksu. Nathan oderwał kartkę, a Abby zajrzała mu przez ramię. Grubym markerem napisano:

**1 min \$**

— Milion dolarów! — wykrzyknęła sekretarka. — Ten typ oszalał!

Nathan jak zahipnotyzowany wpatrywał się w kawałek papieru. Gdy w końcu odwrócił się do Abby, powziął decyzję.

Zamierzam wygrać moją ostatnią sprawę, co jednocześnie będzie moją klęską.

— Czy pomoże mi pani, Abby?

— Czy pomogę panu wyjść z twarzą z tej sytuacji? Oczywiście.

— Chcę, żeby mi pani pomogła jeszcze bardziej się pogрузić...

*Zrób pieniądze, a cały świat  
zacznie zwracać się do ciebie per „pan”.*

**Mark Twain**

Creed Leroy jeszcze raz przewinął kasetę. Oglądał tę scenę już ze dwadzieścia razy, ale wcale go to nie nudziło.

Jak to dobrze, że kilka miesięcy temu zainstalował tę kamerę na podczerwień. Żona zrobiła mu wtedy awanturę, że niepotrzebnie wydaje pieniądze. A przecież nie kosztowała tak dużo, zaledwie 475 dolarów w sprzedaży wysyłkowej, łącznie z opłatą za dostarczenie. Christy zawsze szukała sposobu, żeby mu dopiec. Teraz jednak wszystko się zmieni, bo te nędzne 475 dolarów przyniesie mu cały milion! Czego jeszcze trzeba? Najlepsza inwestycja wszech czasów! W momencie gdy na całej planecie lamentowano z powodu spadku na giełdzie, on, Creed Leroy, trafił na żyłę złota!

Wyregulował jasność i kontrast na monitorze, po czym włożył do drugiego magnetowidu czystą kasetę. Dla pewności lepiej mieć kopię. Miał szczęście, to fakt. Zazwyczaj każdego wieczoru kasował taśmy, w ogóle ich nie oglądając. Jednak 18 grudnia majstrował przez godzinę przy instalacji alarmowej, z którą były problemy, i dlatego, żeby nie kłaść się zbyt późno, postanowił skasować taśmy nazajutrz.

No i patrzcie! „Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić

dziś" — mówi przysłowie. Co za idiotyzm! Kiedy otworzył gazetę, zobaczył w niej zdjęcie tego wozu terenowego i artykuł o wypadku, jaki miał syn Greenfielda. Natychmiast rozpoznał samochód, który tankował do pełna benzynę bezpośrednio przed wypadkiem. Najdziwniejsza jednak była informacja dotycząca kierowcy, ponieważ poprzedniego wieczoru za kierownicą land-rovera nie siedział ten młody adwokat. Nie, Creed doskonale pamiętał, że był to jeden z miejscowych bogaczy — Jeffrey Wexler, który zazwyczaj jeździł z szoferem.

Creed obejrzał więc nagranie, które utwierdziło go w tym przekonaniu: Wexler był sam, kompletnie pijany, kilka minut przed tym, nim potrafił chłopca!

Tymczasem gazeta podawała, że ten nowojorski adwokat sam przyznał się do spowodowania wypadku. Creed Leroy nie studiował wprawdzie na uniwersytecie, ale od razu zrozumiał, że coś w tej historii nie gra. Kolejne kręactwo tych cholernych adwokatów. Jak większość obywateli nienawidził prawników, uważając, że kierują się tylko drapieżną chciwością. Sprawdził kasę fiskalną — Wexler zapłacił gotówką, banknotem dwudziestodolarowym. Nie było więc śladu po transakcji kartą

i nikt oprócz niego nie widział, jak Wexler wjeżdżał na stację.

Początkowo zamierzał pójść na policję, ale szybko zmienił zdanie: dobre uczynki nie są nigdy wynagradzane na tym świecie. Nie otrzyma żadnej rekompensaty za współpracę. Najwyżej umieszczą jego nazwisko w lokalnej prasie. Przyszędłby do niego, by zrobić wywiad, jeden z tych pismaków, mówiono by o nim przez kilka dni, a potem zapomniano o całej sprawie.

Wpadł na znacznie lepszy pomysł. Wręcz doskonały. Wiązało się z nim pewne ryzyko, ale była to dla niego jedyna okazja, by odmienić swoje życie. Creed postanowił nic nie mówić żonie. Od jakiegoś czasu był zmęczony życiem, jakie prowadził. W najskrytszych marzeniach hołubił przekonanie, iż gdzieś tam czeka na niego zupełnie inna egzystencja i że nareszcie będzie kimś.

Wieczorami Creed Leroy spędzał długie godziny przy komputerze, surfując po sieci. Resztę wolnego czasu poświęcał na łowienie ryb. Czasami, gdy nie było klientów, lubił zajrzeć do jakiejś popularnej powieści, które brał z zainstalowanego na stacji stojaka z tanimi książkami. Nie interesowały go opowieści o seryjnych zabójcach, przepadał za to za sensacyjnymi powieściami o prawnikach i finansjerze, choć nie do końca wszystko rozumiał. Raz trafił na pasjonującą książkę, od której nie mógł się oderwać, dopóki nie dotarł do ostatniej strony. Była to powieść Johna Grishama (zresztą byłego adwokata...) nosząca tytuł *Wspólnik* czy coś w tym rodzaju. Zdziwiająca historia człowieka, który pozoruje swoją śmierć, by zacząć życie jako zupełnie ktoś inny. Do tego jednak potrzebował pieniędzy. Bohater powieści Grishama zdefraudował kilkaset milionów dolarów, należących do jego wspólników, ale on, Creed Leroy, zadowolił się jednym milionem. I to ten adwokat z Nowego Jorku, Nathan Del Amico, będzie uprzejmy mu go dać. Najpierw zamierzał szantażować Jeffrey'ego Wexlera, ale po namyśle doszedł do wniosku, że lepiej będzie zaatakować jego byłego zięcia. Ostatecznie to on przyznał się do przestępstwa. Poza tym Wexler miał w tym regionie zbyt duże wpływy. Leroy zamknął więc swój kram na cały dzień. Wszedł do Internetu i bez trudu znalazł wiele informacji o Del Amico, a przede wszystkim numer faksu w jego biurze. Następnie kupił niewielki aparat cyfrowy, który podłączył do magnetowidu, żeby przegrać zdjęcia zrobione kamerą na stacji. Ażeby nie zostawić żadnych śladów, wysłał faks z punktu usług faksowych w Pitsfield. Całe życie czekał na taką okazję. To miał być jego rewanż. Teraz pokaże im wszystkim, do czego zdolny jest Creed Leroy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, on także już wkrótce będzie nosił włoskie garnitury i koszule od Ralphi Laury. Być może nawet kupi sobie nowy model land-rovera, taki, jaki ma ten adwokat.

W każdym razie zajdzie daleko. Daleko od tej dziury i tej pracy, której nienawidzi. Daleko od żony. Nie znosił żony, która ostatnio zrobiła sobie operację plastyczną piersi i wytatuowała na plecach węża.

Nacisnął przycisk w magnetowidzie, wyciągnął kasetę i zapakował ją do dużej szarej koperty.

Od dwóch dni czuł, że serce bije mu żywiej. Tym razem szczęście się do niego uśmiechnęło!

Nikt w tym kraju nie mówi o szczęściu, a przecież często od niego tak wiele zależy. Więcej niż od osobistych zalet. Być we właściwym miejscu, o właściwej porze, choć raz w życiu... Oto, co jest ważne.

Creed włączył alarm i zamknął drzwi na zasuwę. W przydymionej szybie ujrzał swoje odbicie. Nie był stary. W marcu skończy czterdzieści lat.

Zmarnował pierwszą połowę życia, ale drugiej nie zmarnuje na pewno.

Żeby jednak tak się stało, адвокат musi zapłacić.

*20 grudnia*

Nathan wrócił do dawnego trybu życia: biegał o szóstej rano w Central Parku, a o w pół do ósmej zjawiał się w pracy.

— Kupiłem dla pani paczki — oznajmił, otwierając drzwi do pokoju Abby.

— Niech mi pan ich nawet nie pokazuje — zaprotestowała. — Od samego patrzenia utyję ze dwa kilo.

Zabrali się do pracy i wkrótce odnaleźli nazwisko właściciela stacji obsługi w Stockbridge. Był nim niejaki Creed Leroy. Nathan zdawał sobie sprawę, że to jego ostatnia batalia. Nie zmienił postanowienia i był zdecydowany za wszelką cenę ratować Jeffreya od więzienia. Żeby chronić Mallory, zamierzał więc zapłacić astronomiczną kwotę, której żądał Leroy.

W normalnych okolicznościach postąpiłby zupełnie inaczej. Pogrzebałby w przeszłości Leroya. Z doświadczenia wiedział,

że w życiu każdego człowieka są jakieś sekrety. Jeśli szuka się odpowiednio długo, zawsze w końcu coś się znajdzie.

Ale on nie miał tyle czasu. Zgromadzony na jego koncie milion dolarów, z którego był taki dumny, musi teraz oddać temu nędznemu typowi!

Dziwne, ale wcale nie przejął się perspektywą utraty majątku. Teraz najważniejsze było co innego. Prawdę mówiąc, odczuwał nawet pewną satysfakcję, że zacznie od zera. Każdy człowiek powinien żyć dwa razy! Gdyby było to możliwe, postaraliby się nie popełnić tych samych błędów. Nie zrezygnowaliby z wielkich marzeń, ale nie kierowałby się aż tak bardzo ambicjami. Nie byłby tak próżny, poświęcaliby mniej czasu na sprawy przemijające i bezużyteczne, a skoncentrowaliby się na istotnych problemach. Spróbowałby pilniej „uprawiać swój ogród”, jak to określił pewien filozof.

Mówię tak, bo wiem, że niedługo umrę. Dość tego rozmyślania.

Spojrzał na zegarek. Zadzwoił do swojego przedstawiciela w banku, by poprosić go o sprawdzenie stanu konta.

— Cześć, Phil, co tam słyhać na Wall Street?

Phil Knight jakiś czas studiował razem z nim. Nathan cenił go i regularnie jadał z nim lunch.

— Cześć, Nat, jaką międzynarodową korporację masz zamiar ocalić przed długim i kosztownym procesem? Czy Bill Gates jeszcze się do ciebie nie zwrócił?

Nathan najpierw upewnił się, że czek, który dostała Candice, zanim zginęła, został zrealizowany. Potem zlecił Knightowi sprzedaż wszystkich swoich akcji i zawartości skrytki w skarbcu, ponieważ będzie potrzebował gotówki.

— Jakież problemy, Nat? — zapytał bankowiec, zaniepokojony perspektywą opróżnienia konta klienta.

— Żadnych, Phil, zapewniam cię, że te pieniądze będą dobrze użyte...

Czy to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie? Zastanowił się nad tym, odkładając słuchawkę. Historie z szantażem na ogół nie kończą się dobrze. Nie przejmował się

wielkością sumy, ale obawiał się, czy położy to kres szantażowi, czy Creed za jakieś pół roku nie przyjdzie z tym do Mallory lub Jeffreya. Mógł przecież kopiować ten film w nieskończoność!

Nathan, skrzyżowawszy ramiona, bujał się w fotelu. Teraz jednak ważniejsze jest co innego. Na tym etapie istotne jest, by uniknąć ryzyka, że Leroy zdecyduje się pójść na policję.

Stojący na jego biurku zegar wskazywał 10.22. Nathan podniósł słuchawkę i wykręcił numer Creeda Leroya. Chciał jak najszybciej przekonać się, jakim jest człowiekiem.

*Nassau, wyspy Bahama,*

*trochę wcześniej tego samego ranka*

Creed Leroy udał się do Bostonu wcześniej rano, żeby zdążyć na pierwszy samolot lecący do Nassau. Kiedy doleciał do stolicy wysp Bahama, wsiadł do lokalnego samolotu, wiozącego dużą grupę turystów, którzy zamierzali spędzić Boże Narodzenie w słońcu.

W mieście panował ogromny ruch. Minibus głośno zatrąbił, zanim zatrzymał się przy chodniku, by wyrzucić tłum pasażerów. Creed czuł się świetnie w takim ścisku. Lubił anonimowość wielkich miast. Idąc Bay Street — główną aleją miasta, zatkaną starymi samochodami i autami turystów — miał wrażenie, że niczym kameleon zmienił skórę. Nie jest teraz agentem stacji benzynowej. Tu może być kimkolwiek.

Postanowił zastosować się do wskazówek, wyczytanych w powieściach sensacyjnych. Gdy zachodziła potrzeba wyprania pieniędzy i założenia konta *offshore*, zawsze wymieniano Nassau i jego czterysta banków oraz instytucji finansowych. Nieuczciwi finansiści bez wiedzy władz skarbowych anonimowo żonglowali tu milionami, przerzucając fantastyczne sumy z jednego raju podatkowego do drugiego zwykłym kliknięciem myszy. Creed zawsze się zastanawiał, czy to prawda.

Wkrótce się o tym przekona.

W Internecie znalazł namiary miejscowego banku, proponującego wachlarz interesujących go usług. Wysłał e-maila z prośbą, by przysłano mu informację. Teoretycznie można otworzyć konto *offshore*, nie ruszając się z domu, ale Creed uparł się, że chce załatwić to osobiście. Skreślił w jedną z przecznic Bay Street i wszedł do niewielkiego banku, jakich przy tej ulicy było wiele.

Gdy Leroy wychodził stamtąd pół godziny później, na jego ustach igrał uśmiech. John Grisham nie kłamał. Okazało się to jeszcze łatwiejsze niż w powieściach. Najpierw usłyszał słowa, których oczekiwał: poufność, tajemnica bankowa, żadnych podatków... A potem wszystko poszło jak z płatka. Formularz otwarcia konta został wypełniony i podpisany w ciągu niecałego kwadransa. Pięć procent odsetek rocznie bez podatku, książeczka czekowa, karta bankomatowa bez rejestrowania jego nazwiska, bez jakiegokolwiek istotnej informacji o nim, ale dająca możliwość podjęcia pieniędzy w każdym bankomacie na świecie. Tego właśnie szukał. Obiecano mu także, że jego konto będzie niedostępne dla władz skarbowych

i policji. Na razie w jednej ze skrytek w podziemiu zostawił brązową kopertę z kopią filmu, który miał mu zapewnić fortunę.

A wszystko to bez żadnych formalności oprócz fotokopii jego paszportu i depozytu gwarancyjnego w wysokości piętnastu tysięcy dolarów.

Poprzedniego dnia, w dalszym ciągu nic nie mówiąc żonie, sprzedał pikapa, uzyskując w ten sposób część tej sumy. Ponadto wyjął z ich wspólnego konta pięć tysięcy dolarów. Przynurzał sobie, że odeśle Christy dwa razy tyle potem, gdy już będzie daleko od niej, bardzo bogaty.

Creed Leroy wdychał ciepłe powietrze. Nigdy nie był w tak doskonałym nastroju. Do szczęścia brakowało tylko jednego: żeby zadzwonił Nathan Del Amico i umówił się na spotkanie.

Przechodząc przed eleganckim salonem fryzjerskim w stylu kolonialnym, zajrzał przez szybę do środka. Tak jak niegdyś jakiś klient dopiero co ogolony rozkoszował się ciepłym paru-



jącym ręcznikiem położonym na jego twarzy. Na ten widok Creed aż się oblizał. Nikt nigdy go jeszcze nie golił. Zdecydował się natychmiast. Czas już zmienić swój wizerunek, zgolić tę niechlujną brodę i przyciąć włosy opadające na ramiona. Potem udał się do jednego z luksusowych sklepów, by kupić ubranie bardziej pasujące do jego przyszłego statusu. Młoda sprzedawczyni poprosiła go, by usiadł. W tym momencie odezwała się jego komórka. Zadbał o to, by telefony do niego przekierowywano mu ze stacji benzynowej na komórkę. Rzucił okiem na zegarek. Ponieważ zapomniał przesunąć wskazówkę do przodu, na tarczy widniała godzina 10.22.

— Halo? — rzucił niecierpliwie.

— Mówi Nathan Del Amico. Garrett Goodrich aż podskoczył.

— Dobry Boże, Nathanie, telefonowałem do pana wiele razy, a pan odzywa się dopiero teraz! Co to za historia z tym wypadkiem?

— Wszystko panu wytłumaczę, Garrett. Jestem w szpitalnej kawiarence. Czy ma pan chwilę?

— A która jest godzina?

— Dochodzi wpół do pierwszej.

— Skończę wypełnianie dokumentów i zejdę do pana za dziesięć minut.

— Garrett?

— Słucham?

— Znowu potrzebuję pańskiej pomocy.

*Kancelaria Marble&March, 16.06*

— Może pani coś wymyśli, Abby?

— A o co chodzi?

Nathan z zagadkową miną kołysał się w fotelu, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

— Jak już pani wie, jestem gotowy zapłacić ten okup. Chciałbym jednak mieć pewność, że zapłacę tylko ten jeden raz. Szantaż ma to do siebie, że znasz jego początek, ale...

— ...ale nie wiesz, kiedy się skończy — dokończyła za niego.

— Właśnie. Nie chciałbym, żeby za parę miesięcy lub za rok Leroy zwrócił się z takim samym żądaniem do Jeffreya lub Mallory... albo nawet do mnie — dodał, pokonując wewnętrzny opór.

— Prawo przewiduje surowe kary za szantaż — przypomniała Abby.

— Oczywiście, ale żeby zniechęcić Leroya do powtórnej próby szantażu, trzeba pozbawić go materiału dowodowego. Właśnie się przekonałem, że ten typ jest ostrożny.

— Co takiego? Rozmawiał pan z nim? — zawołała Abby urażona, że nie powiedział o tym zamiarze.

— Tak, zatelefonowałem do niego dziś rano, ale on uparł się, że oddzwoni do mnie za pięć minut z budki telefonicznej.

— Wyzначył panu spotkanie?

— Mam spotkać się z nim jutro.

— Co pan planuje w związku z tym?

— Muszę znaleźć sposób, żeby zaczął mówić, a przede wszystkim muszę to nagrać. Do tego potrzebny jest mi odpowiedni sprzęt: miniaturowy aparat podsłuchowy, choćby taki, jakim posługują się szpiedzy.

— Pozwolę sobie panu przypomnieć, że nie jest to już epoka afery Watergate! — zawołała Abby ze śmiechem.

— Czyżby znała pani lepszy sposób?

— Na przykład to. — Pokazała jego telefon komórkowy.

— Komórka?

— Tak, ale użyta jakby w odwrotnym kierunku. Nathan ściągnął brwi. Widząc jego niepewną minę, wyjaśniła:

— Pana telefon ma system głośnomówiący, prawda?

— Oczywiście, żeby można było rozmawiać w czasie jazdy, nie odrywając rąk od kierownicy.

— A co się dzieje, jeśli dzwoni telefon, gdy pan właśnie prowadzi?

— Włącza się automatycznie po trzech sygnałach. Nie widzę jednak, co to ma wspólnego...

— Proszę dać mi dokończyć. Niech pan sobie wyobrazi, że przełączy pan na sygnały ciche.

— Na wibrowanie?

— Nie — pokręciła głową — gdy telefon wibruje, brzęczy. To za mało dyskretne.

— No to nie rozumiem, o co pani chodzi.

— Zaraz pan zobaczy.

Wzięła od niego telefon i wcisnęła kilka guzików.

— Wystarczy zaprogramować bezdźwięczne powiadomienie. Teraz pana telefon został przekształcony w ukryty mikrofon, agencie zero zero siedem — odpowiedziała, rzucając mu aparat, który Nathan złapał w locie.

Żeby sprawdzić, jak to działa, Nathan podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego w gabinecie i zadzwonił na swoją komórkę. Nie wydała najmniejszego dźwięku.

— Coś niesłychanego. Jak się pani tego nauczyła?

— Z pisma dla kobiet. To był bardzo interesujący artykuł, w którym opisano kilka niezawodnych sposobów na śledzenie swojego partnera, by dowiedzieć się, czy nas zdradza.

*Nie jestem człowiekiem bez wad.*

**François Villon**

*Szpital w Pitsfield,*

*oddział intensywnej opieki medycznej, godzina 1.00*

— Przyszedł doktor Goodrich.

— Dobrze.

Claire Giuliani była pod wrażeniem, że tak znakomity lekarz przybył z Nowego Jorku, by zobaczyć jej pacjenta.

— Zostawiam pana samego. Proszę powiedzieć, gdyby pan czegoś potrzebował.

— Dziękuję, pani doktor.

Garrett zamknął za nią drzwi i wszedł do sali.

Była oświetlona tylko małą lampką nocną, której słabe światło padało na stojące tam łóżko. W głębi znajdowała się typowa lodowato biała lada ze zlewem z nierdzewnej stali. Słysząc było charakterystyczny dźwięk monitora, kontrolującego rytm serca, i szmer respiratora, który właczał powietrze do rurki intubacyjnej.

Garrett podszedł do łóżka i pochylił się nad Benem. Pielęgniarki nakryły dziecko pledem, by zapobiec hipotermii. Leżący nieruchomo chłopiec, niczym figurka z porcelany, wydawał się bardzo mały na szerokim łóżku. Liczne ślady krwawych

wylewów na twarzy jeszcze podkreślały wrażenie kruchości. Od jego ramion biegły cienkie przewody do zawieszonych nad łóżkiem pojemników, zawierających płyny infuzyjne.

Garrett zerknął na ekran monitora, by sprawdzić rytm serca i ciśnienie. Potem skontrolował strzykawkę, automatycznie dozującą morfinę w regularnych odstępach czasu.

Znał dobrze takie miejsca, ale za każdym razem, kiedy wchodził do pokoju chorego, ogarniało go współczucie i dziwne wzruszenie. Zamienił kilka słów z tą młodą lekarką Giulani, która najwyraźniej nie była zbyt pewna siebie. A przecież doskonale wykonała swoją robotę. Zrobiono przy dziecku wszystko, co trzeba. Nie można było zrobić więcej. Teraz pozostawało tylko czekanie.

Garrett przyjechał tutaj wyłącznie na prośbę Nathana, który opowiedział mu o spowodowanym przez siebie wypadku. Goodrich jednak nie uwierzył w ani jedno jego słowo. Nathanowi bardzo zależało na tym, by Garrett sprawdził, czy chłopcu zapewniono najlepszą opiekę. Chciał też usłyszeć wyczerpującą opinię lekarską, a nie zdawkowe formułki. Nie dodał nic więcej, ale niewątpliwie chodziło mu o to, czy życie Bena Greenfieldda nie jest w niebezpieczeństwie.

Garrett spojrział na oszklone drzwi, żeby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje. Zgasił lampkę wiszącą nad łóżkiem. Odetchnął z wielką ulgą, gdy wokół głowy dziecka nie dostrzegł żadnej aureoli.

Ben nie obudzi się może tak szybko, lecz z pewnością nie umrze.

Garrett postanowił spróbować czegoś, co robił bardzo rzadko.

Bardzo ostrożnie przybliżył dłonie do twarzy Bena...

Dopóki nie spotkał Nathana, nie wiedział, że posiada taką zdolność. Była to dziwna, wciąż niepojęta dla niego moc, która pojawia się u Posłańców po jakimś czasie. Coś trudnego do opisania. W jego umyśle otwierały się na moment drzwi, przez które przebijał się nagły jak błyskawica przebłysk światła. Czasami sprawiało mu to ból, czuł się, jakby z jego ciała

uchodziła cała energia. Ale trwało to zaledwie sekundę. Potem wszystko wracało do normy.

Jednak żeby to zadziało, potrzebny był bliski kontakt.

Nie zawsze odnosiło to pożądany skutek. Zdarzało się jednak, że udawało mu się otworzyć te drzwi i poznać przyszłość. Dochodziło do tego poza wszelkim racjonalnym rozumowaniem. Było to jakby przecucie.

Dłonie Goodricha znajdowały się kilka milimetrów nad twarzą Bena.

Musnął palcami czoło chłopca, a w jego umyśle pojawił się obraz — ujrzał Bena Greenfielda, mniej więcej dwudziestoletniego, skaczącego na spadochronie.

Wizja nie trwała długo i Garrett niemal natychmiast stracił więź ze światem przyszłości.

Zmęczony tym eksperymentem, usiadł na moment przy chłopcu, żeby dojść do siebie, po czym zapiął płaszcz i opuścił szpital.

W jakich okolicznościach dwudziestoletni Ben Greenfield będzie skakał na spadochronie? Tego oczywiście nie wiedział. Jednego natomiast był pewien: chłopiec nie umrze i wkrótce obudzi się ze śpiączki.

*Manhattan, Dworzec Centralny, 21 grudnia*

Nathan zdecydował się przejść piechotą sto metrów dzielące jego biuro od dworca. Kiedy dochodził do potężnego Metlife Building, spojrzął z niepokojem na zegarek.

11.41.

Doskonale, nie jest spóźniony. Na Dworzec Centralny wszedł nawet cztery minuty przed czasem.

Ogromny hol z wielkimi witrażami, przez które wpadało białe światło, przywodził na myśl katedrę. Miejsce to, ze złożonymi lustrami i marmurowymi posągami, przypominało

muzeum i naprawdę zasługiwało na opinię najpiękniejszego dworca na świecie.

Nathan przeszedł przez obszerną poczekalnię i stanął pod sławnym okrągłym zegarem z czterema tarczami, wiszącym nad stanowiskiem informacji. To tu Creed Leroy wyznaczył mu spotkanie. Zazwyczaj zachwycał się tym miejscem, które już zawsze będzie mu się kojarzyło ze sceną ze sławnego filmu Hitchcocka *Północ, północny zachód*.

W poczekalni jak zwykle roilo się od ludzi. Każdego dnia przewijało się tutaj ponad pół miliona pasażerów, którzy albo przyjeżdżali na Manhattan, albo wracali do swoich domów na przedmieściach.

Doskonale miejsce, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Nathan stał jakiś czas bez ruchu, potrącany przez tłum, który spieszył przez poczekalnię w różnych kierunkach. Sprawdził, czyjego komórka jest włączona. Wiedział, że Abby czeka w pogotowiu, żeby nagrać całą rozmowę i dzięki temu pomieszać Leroyowi szyki.

Był zdenerwowany. Nie wiedział nawet, jak wygląda człowiek, na którego czeka. „Poznam pana”, zapewnił go szantażysta. Stał tak jeszcze ze trzy minuty, gdy nagle ktoś klepnął go mocno w ramię.

— Miło mi pana poznać, panie Del Amico.

Nathan zauważył już wcześniej tego mężczyznę, ale nie przyszło mu do głowy, że to może być Leroy. Stojący przed nim typ nie przypominał ajenta stacji benzynowej. Ciemny, dobrze skrojony garnitur, płaszcz z materiału dobrej jakości, nowe buty, gdyby miał krawat, nie różniłby się niczym od członków kancelarii adwokackich w tym mieście. Wszystko w nim było przeciętne: wzrost, tusza, rysy twarzy... Tylko ten przenikliwy błysk w szmaragdowozielonych oczach...

Facet nie był zbyt rozmowny. Ruchem głowy dał Nathanowi znak, by szedł za nim.

Minęli liczne sklepiki znajdujące się w przejściach prowadzących na perony. Zeszli w ten sposób na najniższe piętro

pełne kafejek, barów i restauracji. Żeby ograniczyć hałas i zanieczyszczenie powietrza, perony Dworca Centralnego zostały zepchnięte do podziemi. Nathan, zaproszony gestem, pchnął drzwi Baru Ostrygowego.

Lokal znany był z tego, że podawano w nim najlepsze w mieście owoce morza. Nathan uwielbiał tutejszą piwiarnię z wielką, sklepioną salą.

— Przejdźmy najpierw do toalety — rzucił nerwowo Leroy.

— Słucham?

— Bez dyskusji.

Nathan posłusznie poszedł za nim. Creed odczekał, aż w toalecie zrobi się pusto, i rozkazał:

— Proszę mi dać swój płaszcz.

— Co takiego?

— Proszę zdjąć płaszcz i marynarkę, muszę sprawdzić, czy nie przyniósł pan jakiegoś aparatu nagrywającego.

— Nie mam niczego takiego! — oburzył się Nathan, widząc, że jego plan może spalić na panewce.

— Pospiesz się pan — ponaglił go Creed.

Nathan zdjął płaszcz i marynarkę. Z kieszeni marynarki wyjął telefon i wsunął do kieszonki koszuli. Warto spróbować, to nic nie kosztuje.

— Niech pan zdejmie zegarek. Nathan wykonał i to polecenie.

— Proszę rozpiąć koszulę.

— Pan zwariował.

— Nie będę powtarzał.

Nathan rozpiął guziki koszuli. Leroy obmacał jego tors.

— Chce pan coś jeszcze zobaczyć? — zapytał Nathan prowokująco. — Niech się pan nie krępuje, mam na sobie kalesony Calvina Kleina.

— Pański telefon proszę.

— To śmieszne!

Leroy sam wyciągnął jego telefon. A niech to cholera!



— A teraz obrączka.

— Niech pan jej nie dotyka.

Creed zawahał się na moment, a potem dotknął ręki Nathana.

— Dawaj, pan!

Nathan błyskawicznie chwycił Creeda za gardło i przyparł do drzwi.

Leroy usiłował coś wychrypieć. Nathan zacieśnił uścisk.

— Niech pan jej nie dotyka! Jasne?

— Chrr... jas... ne.

Nathan gwałtownie odjął rękę.

Leroy zgiął się wpół, odkaszlnął kilka razy, żeby złapać oddech.

— Kurwa mać... zapłaci mi pan za to, Del Amico.

— No, jazda stąd, Leroy — rozkazał Nathan, wychodząc z toalety. —

Mam nadzieję, że nie zaprosił mnie pan na degustację zupy z krabów...

Siedzieli nad martini przy małym stoliku nakrytym kraciastym obrusem.

W sali panował ożywiony gwar. Leroy, który oddał do szatni płaszcz i

marynarkę z komórką Nathana, odzyskał pewność siebie. Wyjął z

kieszeni talię kart do tarota.

— Dziewięć pierwszych kart tworzy numer konta w banku na Bahamach

— wyjaśnił. — Zadzwoń pan do swojego banku i wyda polecenie

przelewu pieniędzy na to konto. Bank nazywa się Excelsior.

Nathan opuścił głowę.

Jaka szkoda, że Abby nie może tego nagrywać. Za wszelką cenę musi

odzyskać komórkę. W tym celu jednak trzeba uspić czujność Leroya.

— Niezły pomysł z tymi kartami, Creed.

— Prawda?

— Tak... żadnych śladów... Wystarczy pomieszać karty i nie ma już

dowodu szantażu.

Leroy nagle zrobił się nieufny:

— Dobra, dobra, niech pan przestanie pisać hymny na moją cześć i czym prędzej dzwoni do banku.

— Czy muszę panu przypominać, że nabrał mi pan telefon?

— Może pan skorzystać z aparatu w restauracji.

— Jak pan sobie życzy.

Nathan posłał Leroyowi uśmiech, po czym wstał z ostentacyjną ulgą, żeby skierować się do baru. Ta niespodziewana gorliwość wzbudziła niepokój Creeda.

— Zgoda, niech pan pójdzie po swoją komórkę, chcę słyszeć, co pan mówi.

Nathan wyjął komórkę z kieszeni marynarki i sprawdził, czy jest włączona. Wszystko w porządku.

Pomyślał o Abby z magnetofonem na drugim końcu linii.

Teraz to on przejął prowadzenie. On jest górą. Czy Na-thanowi Del Amico, znakomitemu adwokatowi, uda się zmusić do mówienia Creeda Leroya? Oczywiście, jeśli jest tym „najlepszym”, jak lubił o sobie myśleć. Wrócił i położył niedbale telefon na stoliku. Czuł, że Leroy zaczyna się denerwować.

— Mam dzwonić dziś czy jutro rano? — podniósł telefon, udał, że już wystukuje numer, ale po sekundzie przerwał. — Prawdę mówiąc, mój bankier ma zwyczaj jadać lunch bardzo wcześnie...

— Niech pan skończy z tym cyrkiem, Del Amico! Nathan podrapał się w głowę.

— Umówiliśmy się na dziesięć tysięcy dolarów, czy tak?

— Niech pan nie robi ze mnie idioty!

— Proszę się uspokoić, ostatecznie w ciągu jednego dnia dostanie pan forszę, na którą ja musiałem pracować przez wiele lat...

— Niech się pan pospieszy.

— Co się czuje, gdy jest się tak blisko sukcesu? Pewnie mówi pan sobie w duchu: „Udało się, jestem bogaty”. A może...

— Niech mnie pan nie prowokuje!

— A może powinniśmy odłożyć to na inny dzień, Creed. Nie wygląda pan dobrze...

Leroy walnął pięścią w stół i wypowiedział słowa, na które czekał

Nathan:

— Dzwonź pan do tego kurewskiego banku i kaź przelać milion dolarów na moje konto!

— Dobra, dobra, pan tu rządzi. Ale to ja okazałem się lepszy.

Nathan wziął telefon, wyłączył i natychmiast znowu włączył. Wybrał numer Phila i pod czujnym okiem Leroya polecił mu dokonać transferu.

— Zrobione. Pieniądze zostały przelane.

Ledwie zdążył to powiedzieć, Creed zerwał się z krzesła i wmieszał w tłum. W ułamku sekundy Nathan stracił go z oczu. Creed wyparował.

Leroy opuścił restaurację bez pośpiechu. Był człowiekiem tak mało zwracającym na siebie uwagę, że Abby omal go nie przeoczyła. Przeszedł kilka kroków chodnikiem i przywołał taksówkę.

— Lotnisko w Newark — powiedział, otwierając drzwiczki. Abby pospieszyła za nim.

— Ja też jadę do Newark, mogę się z panem zabrać? Wsiadła tak szybko, że Leroy nie zdążył zaprotestować. Ledwie taksówkarz ruszył, odezwał się telefon Abby.

— To chyba do pana—powiedziała, podając aparat Leroyowi.

— Zaraz, co to wszystko ma znaczyć?

— Sam się pan przekona. Jeśli chodzi o mnie, wysiadam. — Postukała w szybę, by uprzedzić o tym kierowcę. — Szczęśliwej podróży, panie Leroy.

Taksówka się zatrzymała, Abby wysiadła, odprowadzana osłupiałym wzrokiem Creeda. Wahał się, czy wziąć do ręki telefon, ale ciekawość przeważała nad ostrożnością.

— Halo?

Ze zdumieniem usłyszał własny głos: „Dzwoń pan do tego kurewskiego banku i każ przelać jnilion dolarów na moje konto!”. A potem: „Dobra, dobra, pan tu rządzi”.

— Cholera, jaką grę pan prowadzi, Del Amico?

— Grę człowieka, który zgadza się płacić raz, a nie dwa razy.

— Co zamierza pan zrobić z tym nagraniem?

— Nic, po prostu zachować, tak jak pan zachował kasetę. Zatrzymam tę taśmę na „wszelki wypadek”. Od pana zależy, czy jej kiedyś użyję.

— Nie mam zamiaru szantażować pana po raz drugi, jeśli o to panu chodzi.

— Mam taką nadzieję, ze względu na pana, Creed, bo zabawa przestaje być przyjemna, gdy za człowiekiem zamyka się brama więzienia.

— Nie będzie drugiego razu.

— Chciałbym panu wierzyć. Aha, jeszcze jedno, Creed: one nie dotrzymują żadnych obietnic.

— O czym pan mówi?

— O pieniądzach, Creed, o pieniądzach. I to był koniec rozmowy.

W Nantucket zachodziło słońce. Przez cały dzień wiał wiatr od wschodu. Pod koniec dnia wielkie fale rozbijały się z hukiem o skały koło willi Wexlerów.

Jeffrey i Mallory siedzieli na krytej werandzie, z której roztaczał się wspaniały widok na ocean.

Mallory wróciła z Brazylii porannym lotem. Kiedy przyjechała do San Diego, od razu zadzwoniła do rodziców, do ich domu w Berkshires.

Służący powiadomił ją, że pan i pani wyjechali do Nantucket, by tam spędzić Boże Narodzenie. Zaniepokojona tą zmianą planów, poleciała samolotem do Bostonu, a na wyspę dotarła zaledwie godzinę temu.

— Teraz, Mallory, znasz już całą historię.

Jeffrey zrelacjonował jej szczegółowo wydarzenia ostatnich dni. Nie ominął niczego od momentu, gdy, pijany, potracił Bena Greenfielda. Podkreślał poświęcenie Nathana. Wspomniał również o historii z Creedem Leroyem, o której dowiedział się od zięcia. Wyznał, że nadal ma problemy z piciem, przez które dwadzieścia lat temu oskarżył matkę Nathana o kradzież, której nie popełniła.

Powiedział wszystko oprócz tego, że Nathan ma umrzeć. Mallory ze łzami w oczach zapytała:

— Masz wiadomości o tym chłopcu?

— Dzwonię do szpitala dwa razy dziennie. Jego stan jest stabilny.

Wszystko może się zdarzyć.

Jeffrey chciał objąć córkę, ale ona wysunęła się z jego ramion.

— Jak mogłeś? — wykrztusiła. — Jak mogłeś pozwolić, żeby Nathan wziął na siebie twoją winę?

— Nie... nie wiem... — wyjąkał. — To on tego chciał. Uważał, że tak będzie lepiej dla wszystkich...

— Zwłaszcza dla ciebie!

To oskarżenie zabolowało Jeffreya.

Nie wiedział, jak ma się usprawiedliwić. Czuł się związany obietnicą daną Nathanowi i zamierzał jej dotrzymać, choćby w oczach córki miał uchodzić za tchórza. Brał na siebie tę część ciężaru. To była jego pokuta.

— Nie dopuścisz chyba do tego, żeby poszedł do więzienia?

— Nie dopuszczę, kochanie — zapewnił ją Jeffrey. — Obiecuję ci, że go z tego wyciągnę. To chyba jedyna rzecz, jaką potrafię robić dobrze, i zabiorę się do tego solidnie.

Jeffrey spojrzał na swoje ręce, które drżały niepokojąco — znak, że potrzebuje alkoholu. Już trzy razy w ciągu kwadransa otwierał stojącą na stoliku butelkę wody mineralnej i popijał z niej w nadziei, że przyniesie mu podobną ulgę jak łyk wódki.

— Wybacz mi, Mallory.

Czuł się podle, paraliżował go wstyd. Jego ukochana, krucha

córeczka, tonęła we łzach, a on nie miał nawet prawa jej przytulić.<sup>1</sup>  
Mallory podeszła do okna i zapatrzyła się w odległą linię horyzontu.  
Kiedy była mała, bała się tu przychodzić podczas burzy, gdy głośno huczały fale i wył wiatr. Przerazał ją rozkołyszany żywioł, wydawało jej się wówczas, że jest w samym środku huraganu.

Jeffrey odważył się zrobić krok w jej kierunku.

— Kochanie...

Mallory odwróciła się, spojrzała na niego i w końcu wtuliła się w jego ramiona, jak wtedy, gdy miała dziesięć lat.

— Jestem bardzo nieszczęśliwa, tatusiu, że rozstaliśmy się z Nathanem.

— Porozmawiaj z nim, kochanie. Myślę, że ma ci coś do powiedzenia.

— Na początku naszej separacji odczuwałam dziwną mieszaninę bólu i ulgi.

— Ulgi?

— Cały czas żyłam w lęku, że przestanie mnie kochać, że któregoś ranka obudzi się i zobaczy mnie taką, jaka jestem — słabą i kruchą. W tym sensie rozstanie z nim było pewnym rozwiązaniem: skoro już go straciłam, to niczego nie ryzykuję.

— On tak samo potrzebuje ciebie, jak ty jego.

— Nie wydaje mi się. On mnie już nie kocha.

— To, co zrobił, dowodzi czegoś zupełnie przeciwnego. Mallory popatrzyła na ojca z nadzieją.

— Jedź do niego — poradził Jeffrey. — Ale pospiesz się, bo czas nagli.

*Zamknij oczy, tupnij trzy razy i wysił umysł.*

*Dobrze czujemy się tylko u siebie w domu.*

**Z filmu Victora Fleminga *Czarodziej z krainy Oz***

*24 grudnia*

— Mogę sobie kupić hot doga? — zapytała Bonnie, stojąc przy wózku ulicznego sprzedawcy na rogu 5. Alei i 58. Ulicy.

— Jest szósta wieczór, kochanie, może lepsze byłyby owoce?

— Och nie! — zawołała mała, kręcąc główką—uwielbiam hot dogi z mnóstwem musztardy i smażoną cebulką! Są przepyszne!

Nathan zawahał się — takie jedzenie nie jest zbyt zdrowe, ale w końcu kiwnął głową na znak zgody.

— *¿Cuanto cuesta esto?*<sup>10</sup> — zapytała Bonnie najpoważniej w świecie, wyjmując z kieszeni małą portmonetkę, w której trzymała swoje oszczędności.

— Nie mów do wszystkich po hiszpańsku — zwrócił jej uwagę ojciec.

— *Son dos dólares*<sup>11</sup> — odpowiedział sprzedawca, puszczając do niej oko.

---

<sup>10</sup>*¿Cuanto cuesta esto?* (hiszp.) — ile to kosztuje?

<sup>11</sup>*Son dos dólares* (hiszp.) — dwa dolary.

Nathan wyjął portfel z plikiem banknotów.

— Schowaj pieniądze.

Zapłacił dwa dolary, a córeczka podziękowała mu najmilszym ze swoich uśmiechów. Złapała hot doga i pobiegła do grupy ludzi śpiewających kolędy. Powietrze było rześkie, słońce rzucało jaskrawe światło na fasady budynków. Nathan poszedł za córką. Przepychając się wśród różnych przebierańców występujących na ulicy, nie spuszczał z niej oka, dostrzegł więc na jej kurteczce żółtą plamę z musztardy. Posłuchali pięknych melodii, śpiewanych przez zespół Negro Spirituals, Bonnie zanuciła razem z nimi kilka piosenek, po czym pobiegła do innej grupy. Nie oparła się pokusie i dała dwa dolary skrzypkowi przebranemu za Świętego Mikołaja, który kwestował na Armię Zbawienia. Potem pociągnęła Nathana do południowo-wschodniego wyjścia z Central Parku, na wprost Grand Army Plaza.

Mimo zimna panującego w to piękne popołudnie ogromny zielony plac był pełen ludzi. Jedni spacerowali, inni jechali na rowerach lub dorożkami, a niektórzy nawet urządzili sobie bieg narciarski!

Gdy przechodzili przed transparentem informującym, że można „zaadoptować” drzewa w parku, Bonnie zapytała:

— Czy mogę zaadoptować jakieś drzewo na moje urodziny?

— Nie, to głupie, nie adoptuje się drzew — odrzekł kategorycznie Nathan.

Bonnie nie nalegała, ale zatrzymała się przed następnym ogłoszeniem.

— Czy pójdziemy na Times Square w Nowy Rok?

— To nie jest miejsce dla małych dziewczynek.

— Proszę, zgódź się, Sarah mówiła, że nigdzie nie wita się tak Nowego Roku, jak tam.

— Zobaczymy, kochanie. Zapnij się dobrze, bo zaczyna robić się zimno.

Bonnie nasunęła swoją peruwiańską czapeczkę aż na oczy. Nathan owinał jej szyję szalikiem i wytarł nos. Była uroczym



dzieckiem i opiekowanie się nią traktował jak bezcenny przywilej. Bonnie doznała szoku, widząc w dzień wypadku, jak policja aresztuje jej ojca niczym pospolitego przestępcę, ale nazajutrz dziadkowie opowiedzieli jej całą prawdę. Dziś wspominała o tym tylko po to, by zapytać o zdrowie rannego chłopca. Ostatnie wieści na ten temat były uspokajające: Jeffrey powiadomił dziś Nathana telefonicznie, że Ben obudził się ze śpiączki. Obaj odczuli ogromną ulgę, bo poza wszystkim innym Nathanowi nie groziło już więzienie.

Bonnie spędziła z ojcem trzy cudowne dni na nieróbstwie i zabawie. Nathan pragnął przeżyć te cenne chwile tylko z nią, by miała potem co wspominać. Pokazał jej zabytki starożytnego Egiptu i płótna Picassa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Poszli też do ogrodu zoologicznego w Bronksie, by zobaczyć ogromnego goryla, doszli aż do parku Fort Tryon, gdzie Rockefeller zbudował dokładne rekonstrukcje kilku klasztorów z południowej Francji.

Nathan spojrział na zegarek. Obiecał córce przejażdżkę na karuzeli, ale należało się pospieszyć, bo była czynna tylko do osiemnastej trzydzieści. Pobiegli więc w tamtym kierunku. Wszędzie panowała świąteczna atmosfera. Bonnie świetnie się bawiła.

— Pojedziesz ze mną? — zapytała zadyszana.

— Nie, dziecinko, to nie jest zabawa dla dorosłych.

— Ale tam jest dużo dorosłych — powiedziała, wskazując na drewniane konie.

— Idź już.

— Proszę cię, tatusiu — nalegała.

Dziś nie był w stanie niczego jej odmówić. Zajął więc miejsce obok niej na jednym ze wspaniałych malowanych koni.

— Ruszyła! — wykrzyknęła dziewczynka, gdy karuzela zaczęła się kręcić i jednocześnie zabrzmiała wesoła muzyka.

Po przejeździe na karuzeli rzucali chleb kaczkom pływającym po spokojnym stawie, a potem znaleźli się przy lodowisku Wollman Ring. O tej porze roku było to jedno z najprzyjemniejszych miejsc na Manhattanie. Tor obsadzony był drzewami, nad którymi dominowały drapacze chmur Midtown. Bonnie przyglądała się przez kratę dzieciom, które piszcząc z radości, ślizgały się, wykonując przeróżne figury.

— Chcesz spróbować?

— Mogę? — zapytała Bonnie, nie wierząc własnym uszom.

— Jeśli czujesz się na siłach.

Jeszcze pół roku temu odpowiedziałyby: „Nie, boję się, jestem za mała”, ale od jakiegoś czasu nabrała więcej wiary w siebie.

— Myślisz, że dam radę?

— Oczywiście — odrzekł Nathan, patrząc jej w oczy. — Jesteś mistrzynią w jeździe na rolkach. Na łyżwach jeździ się tak samo. Zapłacił siedem dolarów za wejście i wypożyczenie łyżew, pomógł Bonnie je założyć i wprowadził na lód.

Ruszyła z wahaniem, a chwilę potem zaliczyła pierwszy upadek. Zła na siebie, szybko się podniosła, szukając wzrokiem ojca. Stojąc na skraju lodowiska, zachęcił ją, by się nie poddawała. Spróbowała jeszcze raz, a potem znacznie pewniej przejechała kilka metrów. Kiedy już zaczynała się rozpędzać, zderzyła się z jakimś chłopcem w jej wieku. Nie rozplakała się, tylko głośno roześmiała.

— Doskonale! — zawołał Nathan z daleka, pokazując gestami, jak ma hamować.

W odpowiedzi uniosła kciuk do góry. Dzieci w tym wieku uczą się bardzo szybko.

Nathan, uspokojony, poszedł do pawilonu, gdzie sprzedawano napoje. Zamówił kawę, nie spuszczać oka z córki. Z policzkami zaróżowionymi od zimowego chłodu, ślizgała się już z większą pewnością w rytm rock'n rolla.

Pochuchał w ręce dla rozgrzewki. Dziś Manhattan przypominał kurort narciarski. Z daleka lodowisko błyszczało niczym srebro. Na zboczu otaczającym ślizgawkę widniał wyryty w śniegu napis: I V NY. Nathan lubił tę zimową atmosferę, gdy całe miasto wydawało się jakby zamknięte w kryształowej szkatułce. Przeszedł się wzdłuż żelaznego ogrodzenia, by nacieszyć oczy popołudniowym słońcem. To niesamowite, jak ważne dla niego jest to, że czuje promienie słońca na twarzy!

Ta refleksja wywołała natychmiast cały potok myśli. Niedługo wszystko się skończy. Nie będzie już czuł cudownego, łaskoczącego nos zapachu kawy ani ciepła słońca, grzejącego skórę. Do oczu napłynęły mu łzy, ale szybko je otarł. To nie najlepszy moment, żeby się rozklejać.

Dano mu przecież czas na pożegnanie z córką i żoną. Nie wszyscy umierający mieli taką szansę.

Wkrótce potem złociste promienie słońca zniknęły za dachami wieżowców. Natychmiast zrobiło się ciemno. Rozbłysły latarnie i oświetliły niczym świece ośnieżony park, nadając mu bajkowy wygląd. Był jeszcze dzień, ale za wieżowcami ukazał się sierp księżyca. W tej właśnie chwili Nathan ją zobaczył.

Mallory.

Jej sylwetka odcinała się na tle pomarańczowego światła. Wiatr rozwiewał jej włosy, a zimno zaróżowiło policzki.

Gdy go dostrzegła, zaczęła biec w jego kierunku i zdyszana rzuciła się w jego ramiona. Czuli się, jakby znowu mieli po dwadzieścia lat, gdyby nie to, że kiedy się odwrócili, zobaczyli małą dziewczynkę, która zdjęła już łyżwy i biegła do nich z okrzykiem radości.

Wszyscy troje mocno się objęli. A gdy tak stali, mała zapytała:

— Robimy kwiat?

Była to zabawa, którą wymyślił], kiedy Bonnie była jeszcze bardzo malutka.

Najpierw stawali blisko siebie, obejmowali się i mówili: „kwiat zamknięty”, a potem puszczaali się, wołając: „kwiat otwarty”.

Przypomnieli sobie tę zabawę i powtórzyli ją kilka razy. Kwiat zamknięty, kwiat otwarty. Kwiat zamknięty, kwiat otwarty...

Zwykła zabawa, symbol ponownego połączenia się rodziny, w której od jakiegoś czasu wciąż kogoś brakowało.

*Zawsze cierpimy z powodu miłości,  
nawet wtedy, kiedy wydaje nam się,  
że już nie cierpimy.*

**Christian Bobin**

*Apartament w San Remo Building, noc 24 grudnia, kilka godzin potem*

Leżąc we dwoje na łóżku, oglądali gwiazdy.

Niebo było tak czyste, że księżyc oświetlał ich sypialnię niebieskawym światłem. Mallory muskała wargami szyję Nathana. Znowu połączyła ich fala gorącego pożądania, a ich oddechy stały się szybsze.

Mallory pogłaskała męża po włosach.

— Wiesz, że jestem od ciebie starsza — wyszeptała do jego ucha.

— Tylko o kilka dni — odrzekł z uśmiechem.

— Myślę, że zostałeś stworzony specjalnie dla mnie — zażartowała.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał, kładąc rękę na jej piersi.

— Sądzę — kontynuowała swoją grę — że gdy zostałam poczęta, jakaś życzliwa istota pochyliła się nad moją kołyską i postanowiła dać mi kogoś, z kim będę pokonywała trudności życia.

— I w tym momencie — zaśmiał się Nathan — tam wysoko, w niebie, zdecydowano o moim istnieniu?

— Właśnie. Powinieneś mi za to gorąco dziękować — szepnęła, całując go. — Beze mnie z pewnością nie przyszedłbyś na świat.

Odpowiedział na to długimi pocałunkami. Pragnął czuć jej zapach. Był wrażliwy na wszystko, na najmniejsze drgnienie jej skóry, na najlżejszy oddech. Można wygrać na loterii, wygrać proces stulecia, mieć na koncie w banku kwotę z siedmioma czy ośmioma zerami, ale tego nie zastąpi nic. Przytulił ją jeszcze mocniej, całował w kark, pieścił biodra, potem przywarł do jej pleców, jakby była jego ostatnią więzią z życiem. Przed jego oczami przemknęło wszystko, co przeżył w ostatnich dniach, i nagle uświadomił sobie, że nigdy nie czuł się tak pełny życia, jak od momentu, gdy pojął, iż niedługo umrze.

A potem niespodziewanie znowu wyczuł krążącą wokół niego śmierć. Tego wieczoru po raz pierwszy gotów był ją zaakceptować. Oczywiście lęk nie minął, ale towarzyszyła mu pewna niecierpliwość. Był ciekaw śmierci tak, jak ciekawi jesteśmy nowego kontynentu. Czekala go wprawdzie podróż w nieznane, ale teraz towarzyszyła mu miłość.

„Pogodzony z sobą samym i pogodzony z innymi”. To słowa Garretta. Jego ciało było rozpalone, jakby miał gorączkę. Znowu poczuł w piersi ból, o którym już zdążył zapomnieć, i odezwała się rana w pokąsanej przez psa nodze. Miał także wrażenie, że jego ciało płonie, a kości się rozsypują. Czuł, że stopniowo wykluczany jest ze świata żywych, spychany w otchłań.

Pomyślał, że żył tylko po to, by umrzeć. Była druga nad ranem, gdy wreszcie zasnął, a ostatnia jego myśl związana była z Goodrichem. Wkrótce już go przy mnie nie będzie.

Już go więcej nie zobaczę ani nie usłyszę.

On będzie nadal operował jednych ludzi, a innych przygotowywał na śmierć.

A ja, jak ci, którzy umarli przede mną, znajdę w końcu odpowiedź na pytanie: czy jest jakieś miejsce, do którego wszyscy zmierzamy?

Sto kilometrów od Nowego Jorku Jeffrey Wexler wstał z łóżka, starając się nie robić hałasu. Otworzył drzwi ukryte pod schodami salonu, zapalił nieosłoniętą zakurzoną żarówkę pod sufitem i zszedł ostrożnie po stopniach wiodących do piwnicy.

Na jednej z drewnianych półek stała skrzynka z sześcioma butelkami whisky, dostarczona kilka dni wcześniej. Była to dwudziestoletnia chivas, świąteczny prezent od klienta, którego wyciągnął z poważnych kłopotów. Kiedy Jeffrey kładł się do łóżka, uświadomił sobie, że nie zaśnie, dopóki te butelki znajdują się pod jego dachem. Operacja zajęła mu kilka minut, podczas których obserwował w zadumie, jak alkohol, niczym woda po odcedzeniu makaronu, spływa do zlewu. Potem odkręcił kran, aby spłukać zlew i nie ulec pokusie wylizania go.

Jak człowiek jego pokroju mógł doprowadzić się do takiego stanu? To pytanie zadawał sobie codziennie i wiedział, że nigdy nie znajdzie na nie odpowiedzi.

Na razie potrafił oprzeć się pokusie. Ale jutro walka zacznie się na nowo. I następnego dnia także. Ta wojna wymaga ustawicznej czujności, bo gdy jej zabraknie, on zdolny będzie wypić cokolwiek: wodę kolońską, dezodorant, spirytus.... Niebezpieczeństwo czyhało wszędzie.

Wrócił do łóżka, położył się obok żony, ale był zbyt pobudzony. Uderzył pięścią w poduszkę. Może powinien spróbować zbliżyć się do Lisy, więcej z nią rozmawiać, powiedzieć jej, jak bardzo jest załamany. Teraz albo nigdy.

Tak, porozmawia z nią rano. Jeśli starczy mu odwagi.

*Gdzieś w Brooklynie, po północy*

Connie Booker otworzyła ostrożnie drzwi, by nie zrobić hałasu. Nachyliła się nad Joshem, spoglądając na niego z czułością. Jeszcze dziesięć dni temu był to chłodny, bezosobowy pokój gościnny. Teraz w ciepłym łóżeczku spało dziecko. Ciągle jeszcze nie mogła w to uwierzyć.

Wszystko odbyło się tak szybko. Najpierw tragicznie zginęła jej siostrzenica, Candice, w napadzie na bank. A potem, po kilku godzinach, zadzwoniono do niej z opieki społecznej z propozycją, by zaopiekowała się dzieckiem. Connie zgodziła się bez wahania. Wkrótce skończy pięćdziesiąt lat. Po kilku poronieniach straciła nadzieję na własne dziecko. Była już w wieku, kiedy nie można oczekiwać zbyt wiele od życia. Przez ostatnie lata czuła się coraz bardziej zmęczona i stara. Jednak odkąd pojawił się Josh, wszystko się zmieniło. Jej życie nabrało sensu. Nie wątpiła, że będzie dobrą matką. Joshowi nie zabraknie niczego. Razem z mężem ciężko pracowali, a Jack, bardzo dumny z nowej roli ojca, poprosił w koszarach o godziny nadliczbowe.

Zaniepokoiła ją jednak jedna rzecz. Tego ranka w skrzynce na listy znalazła paczkę z elektrycznym samochodzikiem i kilkoma banknotami. Załączony liścik, podpisany po prostu „Nathan”, informował ją, że pieniądze przeznaczone są na prezenty świąteczne dla małego.

Przeczytali z Jackiem ten list wiele razy i zupełnie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Był to jakiś nieznany im Święty Mikołaj. Connie ucałowała delikatnie chłopczyka i po cichu wyszła.



Zamykając drzwi, po raz kolejny zadała sobie pytanie, kim jest ten tajemniczy ofiarodawca.

### *Greenwich Village*

Abby Coopers wróciła właśnie do domu z pasterki. Sama. Miała piekielny ból głowy i jednego była pewna: i w tę noc nie spotka swojej prawdziwej, wielkiej miłości. Pod jej drzwiami portier położył paczkę. Otworzyła ją zaintrygowana. W środku znajdowała się butelka francuskiego wina i kartka. Nathan życzył jej wesołych świąt i dziękował za wszystko, co dla niego zrobiła.

Abby zrzuciła szybko buty, włożyła do gramofonu swoją ulubioną płytę *Songs*, tria jazzowego Brada Mehldau, a potem przygasiła nastrojowo światło. Usadowiła się wygodnie na kanapie.

Po raz drugi przeczytała kartkę z życzeniami. Było w tych słowach coś dziwnego, jakby to był list pożegnalny, jakby nigdy nie mieli się zobaczyć.

Nie, to głupie. Co ten Nathan wymyśla? Gdzie on teraz może być?

Intuicyjnie czuła, że ze swoją była żoną.

Szkoda.

To on mógłby być jej wielką miłością.

Garrett Goodrich wyszedł z hospicjum na Staten Island.

\_ Wskakuj, Cujo, mój staruszk! —powiedział, otwierając tylne drzwi samochodu.

Olbrzymi pies wskoczył do środka, poszczekując radośnie.

Garrett usiadł z przodu, przekreślił kluczyk w stacyjce i włączył radio.

Pokręcił gałką, skrzywił się, słysząc Britney Spears, zachmurzył, trafiając na refren Eminema, aż wreszcie znalazł swoją ulubioną stację z muzyką klasyczną. Nadawano właśnie operę *Nabucco* Verdiego.

Ruszył wolno w kierunku domu, podczas gdy chór żydowskich niewolników śpiewał *Va, pensiero, sull'ali dorate*. Na pierwszym czerwonym świetle zerknął na śpiącego na tylnym siedzeniu psa. Ziewnął szeroko. Sam już nie pamiętał, kiedy spał tak beztrosko.

To musiało być bardzo dawno temu.

Bonnie Del Amico, leżąc w swoim pokoju, nie mogła zmrużyć oka. Była taka szczęśliwa, że jej rodzice znowu są razem. Tego właśnie zawsze pragnęła. Od dwóch lat każdego wieczoru modliła się o to. A jednak nie była spokojna, jakby jej rodzinie groziło jakieś niebezpieczeństwo.

Wyskoczyła z łóżka, wzięła z krzesła swoją peruwiańską czapkę i przytuliwszy się do niej, w końcu zasnęła.

Trzecia nad ranem. Cmentarz w Queens.

Grób Eleanory Del Amico pokrywała gruba warstwa zlodowaciałego śniegu. Tego ranka jej syn postawił tu kwiaty — bukiet róż w cynowym wazonie. Gdyby wazon był przezroczysty, dałoby się dostrzec, że łodygi kwiatów są w coś wsunięte.

Była to bransoletka z czterech rzędów pereł, ze srebrnym zameczkiem wysadzonym brylancikami.

W miasteczku Mystic panowała jeszcze noc.

W pobliżu plaży stał pusty dom, w którym znajdował się pokój z metalowymi półkami. W wielkim kartonowym pudle leżał album, do którego ktoś niedawno zaglądał. Album zawierał przeróżne rzeczy: teksty, rysunki, zasuszone kwiaty, zdjęcia... Na jednym z nich widać było biegnącą plażą kobietę.

Pod spodem napisała: „Biegnę tak szybko, że śmierć nigdy mnie nie dogoni”.

Nazywała się Emily Goodrich i dobrze wiedziała, że śmierć w końcu ją dopadnie. Nie wierzyła w Boga. Ale może wierzyła w coś innego. Że istnieje miejsce, do którego wszyscy zmierzamy?

Mallory otworzyła oczy.

W ciemności nocy wsłuchiwała się w oddech męża, śpiącego u jej boku. Po raz pierwszy od dawna zaczęła myśleć z ufnością o przyszłości, o tym, że mogłaby mieć jeszcze jedno dziecko. Ta perspektywa nappełniła ją bezbrzeżną radością.

Zanim ponownie zasnęła, nagle przypomniała sobie, że z powodu wyjazdu do Brazylii nie odebrała wyników badań, które wykonała na polecenie lekarza w zeszłym tygodniu.

Trudno, można z tym poczekać jeszcze parę dni. Zresztą doktor Albright zawsze martwi się na zapas.

Na wyspie Nantucket wstawał dzień.

O tej godzinie nad jeziorem Sankaty Head, za mokradłami otaczającymi plantacje żurawiny nie było nikogo.

W tym regionie jeziora i stawy już od wielu dni pokrywał lód. Mimo to po wodzie, pod którą znajdowała się cienka warstewka lodu, płynął biały łabędź. Jak to możliwe, że zabłąkał się tu w środku zimy? Tego nikt nigdy się nie dowie.

Nikt też go więcej nie zobaczy, bo ptak zaraz wzniesie się do góry, bijąc ciężko skrzydłami.

By odlecieć w inne strony.

30

*Nigdy nie mów: ja to utracilem.*

*Mów: ja to ofiarowałem.*

*Twoje dziecko umarło?*

*Nie, ono zostało złożone w ofierze.*

*Twoja żona umarła?*

*Nie, ona została złożona w ofierze.*

**Epiktet**

*25 grudnia*

Najpierw poczuł na twarzy ciepłą falę i nie od razu otworzył oczy. Bał się tego, co zobaczy.

Potem usłyszał w oddali muzykę. Znał tę melodię. Co to mogło być? Pewnie coś z Mozarta. Tak, to jego ulubiony *Koncert fortepianowy nr 20*.

Potem wydało mu się, że w powietrzu unosi się zapach naleśników.

Wtedy Nathan zdecydował się otworzyć oczy: na tamtym świecie z całą pewnością nie jada się naleśników.

Rzeczywiście, w dalszym ciągu był w swoim mieszkaniu, w kalesonach i bawełnianej koszulce, w sypialni, gdzie zasnął minionej nocy. Choć trudno mu było w to uwierzyć, wciąż żył. Odwrócił głowę w stronę okna — w ten świąteczny dzień Bożego Narodzenia była piękna pogoda.

Zuchwałe słońce załało jaskrawym światłem cały pokój.

Bonnie pchnęła drzwi sypialni i wsunęła głowę.

— *¿Que tal?*<sup>12</sup> — zapytała, widząc, że ojciec się obudził.

---

<sup>12</sup>*¿Que tal?* (hiszp.) — jak się czujesz?

— Witaj wiewióreczko, jak się masz?

- świetnie! - zawołała, biorąc rozpęd, żeby wskoczyć na jego łóżko.

Złapał ją i przytulił.

— Gdzie mama?

- Smaży naleśniki. Będziemy jedli śniadanie w łozku, we Przepelniona radością Bonnie, traktując łóżko rodziców jak trampolinę, zaczęła skakać i fikać koziołki

Nathan nadstawił ucha. Z parteru dochodziły dźwięki muzyki zmieszane ze szczękiem garnków i naczyń kuchennych. Mallory zawsze lubiła pracować, słuchając radia.

Stanąwszy przed dużym lustrem w sypialni, obejrzał się bardzo uważnie, wierzchem dłoni potarł zarost na brodzie, jakby nie wierzył własnym oczom. Nie ulegało wątpliwości, że to on we własnej osobie.

Poprzedniego wieczoru sądził ze umrze tej nocy. Ale teraz nie czuł ani gorączki, ani bólu, jakby grożące mu niebezpieczeństwo gdzieś się ulotniło.

Jak to wyjaśnić? Przecież nie wymyślił tego wszystkiego.

Z kuchni dobiegł ich głos Mallory:

— Czy ktoś przyjdzie mi pomóc?

— Pędzę — zawołała Bonnie, lądując na podłodze. Córka żona i on są nareszcie razem i nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. To było zbyt piękne. Za dużo szczęścia naraz.

Miał niejasne przeczucie, że zaraz coś się wydarzy. Musi porozmawiać z żoną. Zaproponował pomoc.

— Potrzebujesz mnie, kochanie?

\_ Damy sobie radę, najdroższy - odpowiedziała Mallory. Stał przed szklaną ścianą, by popatrzeć na Central Park, który właśnie się budził.

Poranna mgła już się rozplynęła. Bonnie weszła po schodach, niosąc tacę z talerzem pełnym naleśników.

Postawiła tacę na łóżku i zanurzywszy paluszek w dzbanuszkę z syropem klonowym, polizała go, puszczając do ojca oko.

— Mniam, mniam — pogłaskała się po brzuchu.

Nathan usłyszał kroki na schodach. Odwrócił się, oczekując wejścia Mallory.

Najpierw nie zauważył niczego szczególnego. Na rozradowaną Mallory padło światło z okna. Trzymała w rękach dużą tacę, na której stał dzbanek z kawą, owoce i rogaliki.

Kiedy jednak weszła do pokoju i ruszyła w stronę łóżka, Nathan zadrzał, poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Wokół głowy Mallory widniała świetlista aureola.

*To nie śmierć jest zła.*

*Źle jest, gdy się nie wykona zadania.*

### **Rozmowy z aniołem**

Roztrzęsiony, dręczony rozpaczliwymi myślami Nathan jechał z ogromną szybkością w kierunku Soho.

Musi się dowiedzieć. A tylko Garrett zna odpowiedź.

Kątem oka spojrzął na zegar na tablicy rozdzielczej. O tej godzinie w świąteczny dzień Goodrich będzie prawdopodobnie w domu.

Wjechał całym pędem w ulicę Houston, zostawił wóz na środku ulicy i wpadł do budynku, w którym mieszkał Goodrich. Przejrzawszy nazwiska na skrzynkach na listy, wbiegł, przeskakując po trzy stopnie naraz, na ostatnie piętro.

Stanąwszy przed drzwiami lekarza, głośno w nie zabębnił.

Nikt nie zareagował.

Wściekły, walnął pięścią w drzwi, które aż zadźwięczały. Pojawiła się zaalarmowana hałasem zgarbiona sąsiadka.

— To pan robi ten raban? — zapytała słabym głosem.

— Doktora nie ma? Spojrzała na zegarek.

— O tej porze spaceruje z psem.

— A może pani wie gdzie? — zapytał Nathan, starając się nad sobą zapanować.

— Nie wiem — odpowiedziała wystraszona kobieta. —

Czasami chodzi do...

Ostatnie słowa usłyszał już na schodach: — ...parku Battery.

Wskoczył do samochodu. Nacisnął pedał gazu i ruszył w kierunku Dolnego Manhattanu. Choć ruch był jeszcze niewielki, wydawało mu się, że jedzie zbyt wolno. Przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i skręcił w Broadway. Zżerany niepokojem, prawie nie widział drogi.

Przed oczami miał obraz Bonnie skaczącej po łóżku i okoloną świetlistą aureolą twarz Mallory. Podszedł do niej wtedy, dotknął jej włosów, ale światło nie zniknęło.

I tylko on je widział.

Pędził jak szalony. Gdy znalazł się w dzielnicy TriBeCa, postanowił pojechać na skróty, ale uliczka, w którą skręcił, okazała się jednokierunkowa. Przejechał pod prąd kilkadziesiąt metrów, wpadając na chodnik i słysząc za sobą ostrzegawcze trąbienie. W końcu udało mu się zawrócić. Wtedy zwolnił — w jego sytuacji nie mógł dopuścić, by ruszyły za nim w pościg wszystkie wozy policyjne miasta.

Nathan wysiadł w końcu z samochodu na ulicy Fulton, nie zamknąwszy nawet drzwi. Pieszko dotarł na południowy kraniec Manhattanu. Przeciął zadrzewione aleje parku Battery, by znaleźć się na promenadzie nad rzeką. Nad jego głową przeleciało stado mew. Przed nim rozpościerała się smagana wiatrem od morza zatoka. Na cyplu utworzonym przez rzekę było prawie pusto. Tylko kilku samotnych biegaczy usiłowało usunąć skutki szampańskiej zabawy poprzedniego wieczoru, a jakiś starszy człowiek, korzystając z nieobecności promów, zarzucił na przystani wędkę. We mgle, która unosiła się mimo słońca, niewyraźnie rysowała się sylwetka Statuy Wolności.

W końcu dojrzał Garretta.



Z rękami założonymi z tyłu, spacerował wolno z psem, groźnym Cujo, który biegł truchtem kilka kroków przed nim.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zawołał Nathan z daleka.

Garrett się odwrócił. Nie był specjalnie zaskoczony jego widokiem, jakby zawsze przeczuwał, że ta historia skończy się tu, w taki właśnie sposób.

— Domyślam się, że już pan wszystko wie, Nathanie.

— Ale tego mi pan nie powiedział. — Nathan zrównał się z Goodrichem.

— Dawał mi pan do zrozumienia, że to ja mam umrzeć!

Garrett pokręcił głową.

— Nigdy tego nie mówiłem. To pan tak myślał.

— Ależ nie, pan mi to sugerował.

Pamiętał, że zadał wtedy pytanie: „Czy przyszedł pan z mojego powodu?”.

Kiedy się jednak zastanowił, pojął, że Garrett miał rację. Nigdy nie powiedział mu, że to on ma umrzeć. A raz, podczas dyskusji w szpitalnej kawiarni rzekł: „Tak naprawdę, nie to panu mówiłem”.

Teraz Nathan przypomniawszy sobie inne słowa Goodricha:

„Istnieją ludzie przygotowujący tych, którzy mają umrzeć, do przeniesienia się do innego świata.

Ich rolą jest ułatwić spokojne rozdzielenie żywych i umierających.

Tworzą oni rodzaj bractwa.

Świat pełen jest Posłańców, ale niewielu ludzi wie o ich istnieniu.

Nie jestem półbogiem. Jestem tylko człowiekiem, takim jak pan”.

Teraz Nathan zwrócił uwagę na ostatnie zdanie. „Takim jak pan”.

Zadrżał. Że też niczego nie podejrzewał. Spojrzał Garrettowi w oczy.

— Pan nie przybył do mnie, by zapowiedzieć moją śmierć.

— Tak — przyznał lekarz zrezygnowanym tonem — nie dlatego nawiązałem z panem kontakt.

— Chciał mnie pan uprzedzić, że ja też stanę się Posłańcem, prawda? Goodrich skinął głową.

— Tak, miałem panu odsłonić ukrytą stronę rzeczywistości. Moim zadaniem było upewnić się, czy jest pan zdolny pełnić rolę, która została panu wyznaczona.

— Ale dlaczego ja?

Garrett rozłożył bezradnie ręce.

— Niech pan nie próbuje zrozumieć tego, czego nie da się zrozumieć. Zerwał się wiatr. Nadszedł czas, by Nathan otrzymał potwierdzenie tego, po co tu przyszedł.

— To Mallory ma umrzeć, prawda?

Garrett położył mu rękę na ramieniu i powiedział łagodnie:

— Tak, Nathanie. Obawiam się, że tak. Nathan strącił brutalnie jego rękę.

— Ale dlaczego?! — zawołał z rozpaczą. Garrett westchnął głęboko.

— Pierwsze zadanie, jakie czeka nowego Posłańca, jest dla niego bardzo trudne, bo musi być przy śmierci najbliższej mu osoby.

— To podłe! — krzyknął Nathan ze złością.

Kilku zaintrygowanych przechodniów zatrzymało się, by zobaczyć, o co chodzi.

— Niech się pan uspokoi, to nie ja ustalam reguły — powiedział smutno Goodrich. — Sam przez to przeszedłem, Nathanie.

— Dlaczego? — powtórzył bezsilnie Nathan. — Dlaczego trzeba być świadkiem śmierci najukochańszej osoby, żeby zostać Posłańcem?

— Tak się dzieje od zawsze. Taką cenę płaci się za to, że jest się Posłańcem.

— Jaką cenę? Nie dano mi wyboru! — buntował się Nathan.

Garrett spodziewał się tego argumentu.

— Nie ma pan racji, Nathanie. Przecież postanowił pan tu wrócić.

— Co mi pan opowiada!

Goodrich spojrział na Nathana ze współczuciem. Wydało mu się, że cofnął się do czasu, kiedy miał dwadzieścia pięć lat, był młodym lekarzem i doświadczył tego samego. Pragnął go pocieszyć, ponieważ rozumiał, że to, co na niego spadło, jest trudne do przyjęcia.

— Pamięta pan pańskie doświadczenie bliskości śmierci?

— Kiedy o mało nie utonąłem i zapadłem w śpiączkę?

— Tak. Co pan wtedy zobaczył? Dlaczego zdecydował się pan powrócić do życia?

Nathan przypomniał sobie elektryczny wstrząs, który przebiegł przez jego ciało, zanim znalazł się w tunelu ze światłem.

— Co pan zobaczył? — zapytał ponownie Garrett. Nathan pochylił głowę.

— Zobaczyłem twarz, która zdawała się nie mieć wieku... Tak, teraz wszystko sobie przypomniał. Ujrzał samego siebie, gdy miał osiem lat, w dniu, o którym nie chciał pamiętać. Pamiętał dobrze białe, słodkie światło wabiące go nieodparcie ku śmierci. A potem nagle, w ostatnim momencie, kiedy już sądził, że znalazł się po drugiej stronie, zrozumiał, iż dano mu wybór. Pójść dalej lub wrócić.

Żeby pomóc mu w podjęciu decyzji, przesłano mu wizję, niewyraźny obraz, migawkę z przyszłości.

Ujrzał twarz tej, która po latach została jego żoną. Wyglądała inaczej, ale on w głębi duszy wiedział, że to była ona. Cierpiała. Była sama i przyzywała go. I dlatego wrócił, żeby być u boku ukochanej kobiety, gdy przyjdzie po nią śmierć.

Garrett zapytał po raz trzeci:

— Nathanie, co zobaczyłeś?

— To była Mallory... Bała się. Potrzebowała mnie.

Lekkie podmuchy wiatru marszczyły powierzchnię rzeki Hudson. Mgła się rozeszła i widać było zatokę od Brooklynu do New Jersey.

Nathan Del Amico wrócił piechotą do północnej części Manhattanu.

Wiedział, że czekają go bardzo trudne dni.

W głowie miał zamęt.

Co powie Mallory? Czy się nie załamie? Czy stanie na wysokości zadania, które przed nim stoi?

Jedno było pewne: otoczy ją miłością, miłością głęboką, silną, nieprzemijającą, która przetrwa wszystko.

A co do reszty... Nie miał siły, by myśleć o tym, co stanie się potem, gdy nie będzie już Mallory, kiedy będzie musiał pomagać innym ludziom w dokonywaniu tego wielkiego skoku.

Teraz musi myśleć tylko o niej.

Będzie dla niej busolą, przewodnikiem w ostatnich chwilach. Posłańcem, który, trzymając ją za rękę, będzie jej towarzyszył aż do samego progu tamtego świata. Tego nieznanego, groźnego miejsca. Do którego wszyscy zmierzamy.

Gdy doszedł do kościoła Świętej Trójcy, przyspieszył kroku,

W domu czeka na niego ukochana kobieta.

Potrzebuje go.